

**Zło kryje się
pod powierzchnią**



JĘDRZEJ PASIERSKI

**WIMIE
NATURY**

Jędrzej Pasierski

W Imię Natury



Wołowiec 2019

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13

14 15 16 17 18 19 20 21 22 23

24 25 26 27 28 29 30 31

32 33 34 35 36 37 38

Od autora

Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Dana Jongolo / EyeEM / Getty Images; Vadim Koroluch / unplash.com

Fotografia Autora © by Mikołaj Starzyński

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2019

Redakcja Tomasz Zając

Korekta d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-884-6

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Wołowiec 2019

Wydanie I

Dla M.

1

– Iga, nie rób dzióbków! – zagrzmiałem zza kółka.

Zerknąłem w lusterko. Córka nie raczyła na mnie spojrzeć, ale w skierowanych w ekran telefonu oczach dostrzegłem kielkującą urazę.

– Bo ci tak zostanie – nieudolnie próbowałem obrócić sprawę w żart.

Niestety, groźby tego rodzaju nie działały na nastolatkę. Za to z drugiej strony tylnej kanapy napotkałem zaniepokojony wzrok Stasia i nie mogłem się powstrzymać przed wybuchem śmiechu. Naprawdę się przestraszył, że siostra zostanie z tym głupawym wyrazem twarzy.

– Nie na zawsze, oczywiście – pocieszyłem synka, a na jego pucółowatej twarzy natychmiast odmalowało się poczucie ulgi. Wystarczyło popatrzeć na tego gościa, żeby poprawił mi się humor. Powiedzieć, że siostra była dla niego bóstwem, to za mało: stanowiła sumę wszystkich bóstw świata. Tak łaskawe, jak rzadkie objawy wspaniałomyślności z jej strony witał zawsze z radością szczeniaka, którego ktoś zabiera ze schroniska. Przez to zdany był również na jej mniej empatyczne nastroje, a w wieku dwunastu lat Iga potrafiła być wyjątkowo wyrefinowana: raz już prawie udało jej się brata wyekspediować z domu, zorientowaliśmy się w ostatniej chwili. No ale sami sobie byliśmy winni, że na drugie dziecko zdecydowaliśmy się po sześciu latach. Pewnie jeszcze dekada zejdzie, zanim ci dwoje zaczną się dogadywać.

Staś wylądował w przedszkolu; rozpiął się z fotelika i wyrwał do kolegów, jakby go ścigały psy gończe, a mnie i Igę jak zwykle czekała samotna trzydziestominutowa podróż do szkoły i pracy. Podróż, którą prawie co dzień starałem się wykorzystać, by budować więź z córką, podczas gdy ona przeznaczała ją na poranną inspekcję swoich licznych kont

w mediach społecznościowych. Zajmowało jej to kilkakrotnie więcej czasu niż mnie przegląd prasy, będący przecież częścią obowiązków w Naturze.

W równoległym cudownym świecie córka mogłaby mi ten przegląd przeprowadzić w aucie. Takie pół godziny prasówki na tematy prawne i środowiskowe oznaczałoby, że wychodziłbym wcześniej z pracy. Igę jednak zdecydowanie bardziej interesowało, ile zebrała polubień za swoje ostatnie *selfie* – i miała do tego święte prawo. Ale jakże byłbym szczęśliwy, gdybym widział ją zaczytaną, a nawet gadającą przez telefon, byle tylko nie robiła przeklętych dzióbków.

Resztę drogi do szkoły Igi przejechaliśmy więc w milczeniu. I jak zawsze budziło to we mnie dyskomfort, poczucie, że nie umiem spożytkować tych wspólnych chwil. Bo po pracy, kiedy udawało mi się dotarabanić do domku pod lasem, miałem ochotę pobiegać w Kampinosie z naszym labradorem Febusem, pograć w kosza ze Stasiem, obejrzeć serial albo film z Mają. Brakowało mi już energii na przełamywanie lodów z Igą. Więc to właśnie nazywam marnowaniem czasu. Wiem, ile jest wart: przez piętnaście lat bilowałem klientów za każdą minutę. Bilowałem grubo.

Opuściła mnie bez pożegnania, kolejny element naszych codziennych rytuałów. Ze szkoły odbierała ją Maja, nie mieliśmy zatem nic do uzgadniania. Moja rola w życiu Igi jako kierowcy się skończyła; miała zostać podjęta następnego dnia rano. Obserwowałem, jak wytrenowanie obojętnym krokiem swoich chudych, długich nóg podchodzi do towarzyszek. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak się zauważają, bo wszystkie trzymały nosy w telefonach. Może dzięki nim właśnie wiedziały, że zbliża się kolejna z sióstr.

Często zaskakiwało mnie podobieństwo Igi do koleżanek, a przecież owoc mojego związku z Mają powinien być wyjątkowy, tak jak wyjątkowa była namiętność między nami. Tymczasem Iga wyglądała dokładnie jak rówieśniczki: ta sama fryzura, te same wąskie spodnie i buty EMU. Ta sama ładna, młoda, lekko rozmyta twarz. Jakbyśmy stworzyli jakiegoś potwornego klona!

To musiało być po mnie, to nie mogła być Maja. Mimo to kochałem tego naszego potwora i za każdym razem, kiedy Iga tak wysiadała bez pożegnania, ogarniał mnie lęk, że pozostaniemy sobie obcy. Westchnąłem i odpaliłem silnik, puszczając *Starmana* Davida Bowiego; wreszcie miałem do tego prawo.

Założona przez mnie fundacja W Imię Natury zatrudniała na stałe dziesięć osób, z których większość była już w pracy. No ale oni nie musieli dojeżdżać aż z Izabelina.

Siedzibę mieliśmy w kamienicy na Mariensztacie. Jako szef i założyciel wykorzystałem swoje zbójckie prawo do zaanektowania miejsca parkingowego przewidzianego dla Natury. Nie żeby to stanowiło jakiś problem: pozostali pracownicy prawie bez wyjątku dojeżdżali rowerami. Usprawiedliwiało mnie bycie jedynym dzieciatym reprezentantem naszego biura, tylko dlatego nie patrzono na mnie krzywo. Istniała taka groźba, bo zwerbowałem większych radykałów od samego siebie – odpadki z prawniczego mainstreamu, straszące warkoczykami, arabskimi spodniami, groźnie lewicowymi poglądami i wojującym weganizmem. W pracy obowiązywał luźny styl, ale gdy wychodziliśmy na zewnątrz, każdy wiedział, jak się ubrać i zachować: bądź co bądź ci ludzie byli przedtem poważnymi prawnikami z sektora prywatnego albo państwowego i zanim przeszli na stronę oszołomów, dorobili się kilku porządnych garniturów i garsonek.

Powitała mnie typowa atmosfera wtorkowego poranka, swobodnych przechadzek, rozmów przy kawie, tych ulotnych chwil, gdy każdy próbuje odroczyć moment, kiedy odpali komputer i weźmie się do roboty. Tylko Ania Piskorska, moja prawa ręka, a właściwie też lewa i głowa zarazem, pisała coś na klawiaturze i nawet na mnie nie spojrzała.

Nie miałem nic przeciwko żadnej z tych postaw, dopóki bilans wychodził na plus. Niewiele istnieje gorszych rzeczy na świecie niż biurowy small talk. Rzuciwszy kilka „cześć”, zrobiłem sobie podwójne espresso

w podarowanym przez sponsorów saeco, następnie zaszyłem się w mikrym, ale własnym pokoiku. Włączyłem laptopa.

Media pełne były doniesień o tajemniczej śmierci Macieja Rusa w szwajcarskiej klinice. Miliardera z czołówki polskich bogaczy, albo nawet najbogatszego ze wszystkich. Przekupywał kolejne rządy, ale śmierci nie przekupił. Ekscentryczny facet w dobrych garniturach najszybciej po przemianie gospodarczej zrozumiał, że najłatwiej dorobić się na interesach z własnym krajem.

Rosyjski oligarcha nie powstydziliby się stylu, w jakim – nomen omen – Rus zakupił i sprywatyzował liczne zakłady przemysłowe, a potem z zyskiem sprzedał. Już wtedy koncentrował się na energii, bo wiedział, że w tym sektorze leżą największe pieniądze i władza. Wkrótce zdobył prawdziwy monopol na budowę elektrowni węglowych. Zamiast jednak skrócić w kierunku źródeł odnawialnych, a choćby i energetyki gazowej czy jądrowej, w ścisłej współpracy z politykami podtrzymywał hegemonię węgla w Polsce.

Mimo to kraj rozpaczał, bo Rus sypnął nieco grosza na kulturę i był lubiany w świecie, głównie za sprawą majątku. A teraz nagle zszedł, lecz jego energetyczne królestwo w najlepsze truło nasz kraj.

Elektrownia Jabłoczno. Wielka inwestycja spółki Rusa; smrodzili na całe Mazowsze, pół Polski, a teraz zamierzali dobudować dwa dodatkowe bloki węglowe. Zabawnie będzie zmierzyć się z dawnymi kolegami, o ile kancelaria Matter & Gulenbaum ponownie zostanie zaangażowana. Mielibyśmy naprzeciw siebie hordę finansowo zmotywowanych zawodowców o przekrwionych oczach i bladej cerze.

Znałem ten gatunek, do niedawna byłem jego wybitnym reprezentantem. Prawdopodobnie wciąż dzierżyłem niechlubny rekord zabilowanych tam godzin: czterysta dwadzieścia dwie godziny w kwietniu roku Pańskiego dwa tysiące czternastego. Biorąc pod uwagę, że średnio w miesiącu pracuje się na pełnym etacie około stu osiemdziesięciu godzin, te czterysta dwadzieścia dwie godziny stanowiły dwieście pięćdziesiąt procent normy. No ale w mojej działce w Matter & Gulenbaum pracowało się też w weekendy.

Czterysta dwadzieścia dwa podzielić przez trzydzieści daje ponad czternaście godzin dziennie. I tak przez miesiąc. Zajmowałem się wówczas dużą spółką, energetyczną zresztą. Koszty dla firmy nie grały roli. Grał ją czas. Mój czas.

Prawdopodobnie w ogóle nie spałem w tym okresie, a przynajmniej sobie tego nie przypominam. Kiedy zamknęliśmy fuzję, poszedłem do naszej futurystycznej kuchni w wieżowcu na Emilii Plater i odruchowo zrobiłem sobie kawę. Ale jej nie dokończyłem, bo niesamowicie rozboleła mnie głowa. A potem musiałem stracić przytomność. Ocknąłem się na podłodze. Wiedziałem, że to podłoga, bo się potłukłem i czułem na policzku chłód posadzki.

Nic nie widziałem. Pozbierałem się z ziemi i ostrożnie stąpając, powlokłem do pokoju, z którego dobiegały jakieś głosy. O ile dobrze pamiętam, było po drugiej w nocy. W budynku dyżurował oczywiście ochroniarz, no i miałem telefon. Wybranie 112 na klawiaturze dotykowej nie jest takie proste, skonstatowałem. W pokoju było jeszcze kilkoro naszych, a także prawnicy z drugiej kancelarii, która obsługiwała transakcję. Nie zwrócili na mnie uwagi. Odchrząknąłem.

– O kurwa – powiedział ktoś, chyba mój młodszy kolega z Mattera. – Mateusz, strasznie wyglądasz.

– Czuję się jeszcze gorzej. Nic nie widzę – wyjaśniłem.

Teraz dopiero wzbudziłem prawdziwe zainteresowanie. Ktoś do mnie podszedł, poczułem zapach dobrych perfum i wielogodzinnego potu; wody kolońskiej i papierosów. Ktoś złapał mnie za ramię, a ktoś, czułem to, zaglądał mi w twarz. Chyba budziłem fascynację.

Miałem dość. Prawdę mówiąc, pogrążyłem się w panice. Myślałem o Mai, o Idze i Stasiu. Jak wrócę do nich jako ślepiec?

– Mógłby ktoś wezwać karetkę? – zapytałem.

Dopiero teraz tłumek ludzi, których średnia przepracowanych godzin nie odbiegała znacząco od mojej, ocknął się. Szkoda, że nie mogłem tego widzieć. Człowiek z zewnątrz uznałby nas za członków sekty: wymięci, zmęczeni, o spowolnionych reakcjach i z szaleństwem w oczach.

– Jasne – powiedział mój kolega i słyszałem, jak próbuje się dodzwonić, następnie, jak podaje moje dane osobowe: Mateusz Chabrowski, lat trzydzieści dziewięć. A potem znowu strasznie rozboleła mnie głowa. Wymacałem kawałek stołu i na nim usiadłem. Ktoś wręczył mi butelkę wody, ktoś, chyba jakaś kobieta, trzymał za ramię, nie wiadomo po co.

Lekarze żywo zainteresowali się moim przypadkiem. Następnego dnia profesor Moczarski, największy ponoć specjalista od schorzeń okulistycznych w mieście, zaglądał mi w oczy tak czule, że czułem na policzkach jego oddech. Pachniał płynem do płukania ust i obiadową chińszczyzną.

– Jak się pan tak załatwił? – zapytał.

– Myślałem, że wy mi to wyjaśnicie.

Milczenie.

– Sporo pracowałem – dodałem.

– Panie, ja też dużo pracuję – zaśmiał się lekarz.

– Czternaście godzin dziennie...

– To jeszcze nie aż tyle w dzisiejszych czasach.

– Bez weekendów – dokończyłem.

Wiedziałem, że odchylił głowę, bo przestałem czuć jego oddech.

– Niech pan zwolni – zaproponował.

Przytaknąłem słabo.

– To i tak nie tłumaczy krwotoku – kontynuował z ciekawością w głosie. – Nie zażywał pan środków odurzających?

– Nie rozumiem...

– Narkotyki. Kokaina w połączeniu z takim natężeniem pracy, stresem, brakiem snu i odpoczynku mogłaby rozwiązać naszą zagadkę.

Poczerwieniałem i zamilkłem. Co gość wiedział o pracy na najwyższych obrotach, o terminach, o odpowiedzialności za zespół, o wymaganiach biznesu? O tym, jak to jest, gdy organizm już nie ma z czego ciągnąć, gdy trzeba mu pomóc.

Sądząc po głosie, Moczarski miał z siedemdziesiątkę i na pewno odcinał kupony od sławy... To było oczywiście niesprawiedliwe, ale ogarnęła mnie złość.

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska – powiedział spokojnie, ale głos aż drżał mu z podniecenia.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, potem pomyślałem, że to jedyna droga, i wyznałem prawdę.

Spędziłem w szpitalu trzy dni. Dni, które przespałem – w końcu byłem kilkadziesiąt nocy do tyłu. Maja czuwała przy mnie niemal cały czas, Iga wpadała na kilka godzin, a trzyletni Staś został naszą wspólną decyzją oszukany. Usłyszał, że tata wyjechał w delegację.

Drugiego dnia zdawało mi się, że widzę kontur uniformu pielęgniarki, i krzyknąłem z radości, budząc Maję przysypiającą w fotelu obok. Ale chwilę później wszystko zniknęło i znowu pogrążyłem się w rozpacz. Łkałem w rękaw Mai, pachnący kremem do rąk i terpentyną. Potem chyba zasnąłem, a kiedy obudziłem się następnego dnia, Mai nie było w fotelu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, skąd to wiem.

Pokój tonął w szarzyźnie, ale mogłem rozpoznać szafkę nocną, drzwi do łazienki, okno. Mogłem zobaczyć siebie! Zerwałem się, oszołomiony, na równe nogi; wybiegłem na korytarz szpitala. Chciałem pobudzić nieznanym, rozmawiać z nimi, obserwować ich twarze – a kiedy zobaczyłem śpiących na wersalkach pielęgniarzy, dotarło do mnie, jak wczesna musi być godzina. Zamiast zaczepiać ludzi, wróciłem do pokoju i wybrałem numer Mai. Pech, że musiałem odzyskać wzrok akurat wtedy, kiedy była poza szpitalem. Odebrała zaspanym głosem, przez chwilę chyba nie wiedziała, co się dzieje, ale kiedy powtórzyłem, że widzę, wrzasnęła, omal nie powodując uszczerbku na kolejnym moim zmyśle.

– Przepraszam, ale tak się cieszę – powiedziała. A potem rozbeczała się i to ja musiałem ją pocieszać.

To był punkt zwrotny. Wróciłem do Mattera po wykorzystaniu zaległego urlopu, który przeznaczyłem na wędrówki po lesie z psem, zabawę ze Stasiem, przytulanie się do Mai i – już wtedy nieskuteczne – nagabywanie Igi. Ale wracając, wiedziałem, że nie chcę dłużej tak żyć. Od dwunastu lat pracowałem dla korporacji, z tego dziewięć ostatnich w stanie wypalenia. Byłem przed czterdziestką, miałem dobrą, wrażliwą żonę, dwójkę dzieciaków i pękate konto oszczędnościowe, bo ani Maja, ani ja nie byliśmy specjalnie rozrzutni. Miałem też – owszem – kredyt na domek w Izabelinie pod Kampinosem, ale wzięty z solidną wpłatą własną, a w Matterze w ostatnich latach zarabiałem bardzo dobrze, choć naturalnie były to grosze w stosunku do zysku firmy, jaki generowałem swoją harówką.

Po powrocie pracowałem na pół gwizdka, co z początku wywołało zrozumienie, później lekką irytację, w końcu zaś jawną wrogość. „Zapierdalaj albo odejdz”: tak mogłaby brzmieć maksyma Mattera. Czułem, że atmosfera wokół mnie robi się coraz bardziej nieprzyjemna, kiedy wychodziłem o siedemnastej czy osiemnastej i beczelnie spychałem zlecenia. Mój czas w kancelarii był policzony i lekceważyłem to trochę, choć nie miałem alternatywy.

Życie jednak czasem daje ci kopa, a potem szansę. Pracowałem akurat dla klienta z branży samochodów elektrycznych. Nazywał się Sójka, fajny młody chłopak, polska wersja Elona Muska. Jego firma Power Mobils produkowała stacje dokujące, a także raczkowała w dziedzinie projektów samych aut.

Zgadaliśmy się co do jednego: w polskiej energetyce, opartej na trującym węglu, idea samochodów elektrycznych miała wydźwięk makiaweliczny. Ich akumulatory potrzebowały ogromnej ilości energii, a jej produkcja odbywała się kosztem środowiska. Co nie tylko wywoływało kontrowersje wśród ekologów i naukowców, ale też było świetną wymówką dla polityków, uparcie trzymających się węglowej retoryki. Zeszliśmy z tematów zawodowych, gderając na polską ochronę przyrody, a potem ekologów, o których, jak się okazało, żaden z nas nie miał najlepszego zdania.

– Prawo jest najsilniejszą bronią – oznajmiłem. – Tego potrzebuje środowisko, a nie kolejnej bandy postrzelenców.

– Na czystym powietrzu nikt nie zarabia.

– To kwestia rozwoju cywilizacyjnego.

– Co masz na myśli? – zaśmiał się Sójka.

– Na Zachodzie są już ośrodki zajmujące się prawną ochroną środowiska.

A u nas? Mamy instytuty, które bronią pracowników czy praw człowieka.

A co z przyrodą? Pewnie masz rację, tu nie ma pieniędzy. Nikt tego nie będzie sponsorował.

Sójka zaśmiał się, a potem zapatrzył w Aleje Jerozolimskie za oknem.

– Ja bym się dołożył – powiedział. – Można to uzasadnić w firmie. Gdyby dorzucić do tego inwestorów z energetyki odnawialnej... a przecież na pewno są inne sposoby zdobywania środków na działalność. To byłoby *non profit*, nie?

Idea zakiełkowała w mojej głowie. Jasne, była w jakimś stopniu wyrazem tęsknoty za czystym powietrzem, tęsknoty, z powodu której przeprowadziliśmy się z centrum Warszawy do Izabelina, czym zniechęciliśmy do siebie Igę, ale zdobyliśmy dożywotnią sympatię naszego psa Febusa. Jakby i do tej pory nas nie ubóstwiał. Za tym wszystkim stał jednak mój egoizm: to ja chciałem wędrować po lesie i oddychać powietrzem bez spalin. Dlatego spędzałem teraz godzinę w korkach, dlatego co rano narażałem się na gniew córki.

Przez długi czas nie dzieliłem się moimi pomysłami z Mają, nie chciałem jej straszyć, zamierzałem przedstawić gotowy projekt. Skontaktowałem się z Sójką, potwierdził zainteresowanie i namówił jeszcze dwie firmy na rozsądne datki. Założyłem W Imię Natury, a potem zdobyłem nawet skromną dotację od dużego grantodawcy.

Nadszedł czas rozmowy z Mają. Moja żona jest artystką, maluje obrazy w stylu Jacksona Pollocka. To niekoniecznie oznacza odklejenie od rzeczywistości, choć w tym wypadku tak jest. Pokochałem to jej lekko nieprzytomne spojrzenie, kiedy ujrzałem ją w Brazylii trzynaście lat temu,

i takim samym spojrzeniem obrzuciła mnie teraz, kiedy roztoczyłem przed nią wizję think tanku środowiskowo-prawnego.

Po latach konsekwentnego podążania wytyczoną ścieżką Maja zdobyła odbiorców swojej trudnej sztuki, ale to ja byłem motorem finansowym rodziny: kredytu, wakacji, szkoły Igi, przedszkola Stasia i wszystkich innych kosztów sprawiających, że bez dwudziestu tysięcy miesięcznie nasze domowe przedsiębiorstwo nie miało prawa bytu.

Ale rozumiała, bo taka jest: ufająca, wspierająca i empatyczna. Poza tym, jak oświadczyła, nie chce mieć za męża ślepcę, bo się zaniedba.

Więc wystartowałem. Oszczędłem razem z Anią, która również pracowała za długo, a za którą wskoczyłbym w ogień. I *vice versa*. Pieniądzy na utrzymanie i małe biuro mieliśmy mniej więcej na rok.

Szybko okazało się, że we dwoje niewiele zdołaliśmy. Musieliśmy zaistnieć w świadomości społecznej, publikować, wyjaśniać – i procesować się w imieniu przyrody. Do tego niezbędni byli ludzie, i to nie tylko tacy, których trzeba wszystkiego uczyć. Nie mogliśmy też funkcjonować jako mała organizacja. Początkowe wsparcie okazało się oczywiście niewystarczające: błyskawicznie zaczęły nam się kończyć środki, a ja głowiłem się, jak zapewnić pensje ludziom, których tak ambitnie zatrudniłem.

A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Kurs franka szwajcarskiego, w którym podobnie jak tysiące innych naiwniaków wzięliśmy kredyt na dom, zniecka poszybował w górę. Hipoteka rozrosła się jak balon. Z moimi kilkukrotnie mniejszymi zarobkami staliśmy się nagle niewypłacalni.

Maja patrzyła na mnie z niepokojem, gdy przewracałem się z boku na bok i łykałem środki nasenne. Próbowałem być idealistą, ale byłem również ojcem, mężem, no i wreszcie szefem fundacji. Nie mogłem zawieść rodziny ani oszukiwać pracowników, oni też mieli swoje kredyty i pożyczki.

Podjąłem decyzję o powrocie na ścieżki komercyjne. W Matterze byłem już spalony, więc – choć z bólem – myślałem o rozpoczęciu pracy w mniejszej kancelarii. I wtedy zainterweniował los. Spora fundacja

grantodawcza, do tej pory obojętna na nasze umizgi, wreszcie odpowiedziała pozytywnie na jeden z wniosków. Pozytywnie to mało powiedziane. Przyznała nam środki pozwalające na utrzymanie całego biura. Oczywiście miała swoje wymagania, ale skakałem z radości.

Może prawdą jest to, co mówią. Jeśli czegoś naprawdę się chce, to się ziści; prawo przyciągania i podobne wynalazki. Od tego momentu frunęliśmy. Wygrane procesy przesłoniły kilka porażek, cytowano nas nawet w sejmie i przebiliśmy się ze swoimi postulatami do polityków z partii po obu stronach barykady, a także paru opiniotwórczych mediów. Życie było dobre.

2

Po symbolicznym zapukaniu do mojego pokoju wkroczyła administratorka biura, Eliza. Nosiła dredy i miała nieco błędne spojrzenie, wbrew temu zachowywała się jednak całkiem przytomnie. W ręku trzymała kopertę.

– Nie za wcześnie na łapówki? – zapytałem. – Poczekajmy choćby do końca dnia.

Nie zaśmiała się. Położyła kopertę na biurku. Białą, ale wydawało mi się, że widziałem na niej ślady brudnych paluchów.

– Co to? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Dostałam ją od jakiegoś gościa. Kręcił się przed naszymi drzwiami, nie wiem, kto go wpuścił do budynku. Bełkotał, że chce coś przekazać osobiście. Waliło od niego jak z gorzelni i wyglądał na nieprzytomnego. W końcu zostawił kopertę na parapecie i poszedł sobie. Nawet nie zaadresował.

– Jak to?

– A widzisz tu jakieś nazwisko? – odparła zmęczonym głosem.

Obróciłem kopertę w palcach.

– Nie – przyznałem. – Co to za facet? Poza tym, że pijany?

– Dres.

– Dres? Masz na myśli dresiarza?

– Tak. Niewysoki i chudy. A, i miał szramę, jakby ktoś mu przejechał nożem po gardle, ale podejrzewam raczej tarczycę, bo równiutka była ta blizna.

Gapiałem się na Elizę przez chwilę, po czym wzruszyłem ramionami. Podniosłem kopertę pod światło, które akurat dziś za oknem było całkiem imponujące.

Wydawało mi się, że widzę coś ciemnego w środku, większego niż banknot. I sztywniejszego, oceniając po dotyku.

– Może to list z pogrózkami? – zaryzykowałem. – Albo węglik?

– Obawiam się – oznajmiła Eliza – że nie jesteśmy jeszcze tacy ważni.

Faktem było, że spuściliśmy z tonu w ostatnim okresie. Mniej się procesowaliśmy, bardziej koncentrując na pracy analitycznej. Taką podjęliśmy decyzję, bo nie chcieliśmy zasłynąć jako mąciwody. To podejście zadowalało również sponsorów, a nam zapewniało spokojniejsze noce.

– Otworzyć? – zapytałem. Na twarzy dziewczyny zobaczyłem przelotną panikę, ale zaraz potem ulgę. Przecież teraz mogła wykorzystać przywilej niedecyzyjnego stanowiska. I zrobiła to.

– Nie mam pojęcia – oświadczyła i to był chyba koniec rozmowy. Wychodząc, dodała: – Wpisz do kalendarza swoje terminy spotkań w salce konferencyjnej. Szachujesz całe biuro.

Zostawiła mnie samego. Koperta była cieniutka i raczej nie było w niej pieniędzy. Bardziej prawdopodobne, że ktoś chciał przekazać Naturze istotne informacje.

Wahałem się jeszcze przez chwilę, po czym przeciąłem papier nożykiem i sięgnąłem dłonią do środka. Nie umarłem, nie wtedy. Poczulem za to pod palcami śliską powierzchnię. To było zdjęcie.

Zwykła odbitka dziesięć na piętnaście centymetrów. Facet leżący na śniegu w pozie, jakby szykował się do zrobienia orła. W tle skute lodem jezioro, ostre słońce i drewniana chatka.

Niemal poczułem na skórze, jak fotograf uchwycił czysty, mroźny, wyżowy poranek. Jeden z tych, które lubiłem najbardziej. Wyborny na biegówki z Mają albo zimowy jogging z Febikiem.

Tylko z leżącym na śniegu facetem coś nie grało. Wpatrywałem się w niego, zanim to do mnie dotarło. Było coś niepokojącego w sztywności sylwetki, w zamkniętych oczach, w nienaturalnej bledkości twarzy.

Mężczyzna, całkiem jeszcze młody – z pełnymi policzkami, wysoki, o mocnej budowie ciała, widocznej nawet przez grubą, czerwoną kurtkę

puchową – wydawał się martwy.

Obracałem fotkę w palcach jeszcze przez chwilę – nie znalazłem żadnego podpisu. Nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić, umieściłem zdjęcie w skanerze. Zgrałem plik na pulpit komputera i wysłałem na firmowego maila.

„Do wszystkich: czy ktoś zna tego pana?” – zapytałem.

Zostałem konsekwentnie zlekceważony, co, paradoksalnie, było oznaką zdrowej atmosfery w biurze. Nikt nie zamierzał odpowiadać szefowi na hejnał. Dopiero po godzinie młoda prawniczka od bioróżnorodności zapytała: „A warto?”.

No tak, ponoć od dawna szukała partnera na Tinderze. Umarlak nie umarlak, lepszy taki niż żaden, byle pokazać mamie i babci.

Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie i wsunąłem je do teczki. A wkrótce o tym zapomniałem.

Minęła już jedenasta, kiedy wyruszyłem na poszukiwanie Ani. Najlepsze w niej było to, że zmiana globalnej firmy prawniczej na naszą fundację w ogóle nie zmieniła jej postawy. Z taką samą determinacją, z jaką pracowała dla wielkich spółek, teraz usiłowała dotrzeć z naszymi raportami i analizami do parlamentarzystów. Po godzinach niezmordowanie spotykała się zaś z całym tabunem współpracujących z nami ludzi.

Wszystko to bez emocji, bez neofickiego radykalizmu. Ubierała się elegancko, jadła mięso oraz wszystko inne i kopciła papierosy. W garażu trzymała zaś prawdziwą bestię: land rovera z trzylitrowym silnikiem, bo uwielbiała wielkie terenówki. Chociaż wiedziałem, że wypalała się trochę w Matterze, jej motywacja była dla mnie niejasna. Niektórych ludzi nie potrafiłem zrozumieć, mimo to bardzo szanowałem moją współpracowniczkę.

– Będiesz na sprawie Jabłoczna? – zagailem.

Nikt nie miał czasu na wykonywanie wszystkich czynności procesowych, więc reprezentował nas młodszy o dekadę adwokat. Ufaliśmy mu, ale wolałem skontrolować sytuację.

– Nie dasz rady? – zapytała Ania, lekko zirytowana.

– Maja prosiła, żebym odebrał małego – zagrałem swoją dzieciątą kartą raz jeszcze.

– Yhmm.

Trudno było coś z tego wywnioskować. Sama nie miała dzieci. Może jak tysiące kobiet z mojego pokolenia nie trafiła jeszcze właściwie. Dawno temu była zamężna, o jej facecie wiedziałem tyle, że prowadził jakieś dziwne interesy. Czy stanęły na drodze małżeństwu Ani? Mogłem tylko zgadywać, bo choć wiedziałem, że mnie lubi, nie była wylewna.

– Dobra, pójdę – mruknęła.

– Zawsze możesz...

– Załatwić sobie twoją wymówkę? – przerwała mi. – Dziękuję.

Na widok Stasia, który uznawał każdą żywą istotę za przyjaciela, co zazwyczaj owocowało wzajemnością, potrafiła się tylko krzywo uśmiechnąć.

Wyszedłem z biura o trzynastej. Przy wszystkich moich trudnościach zawodowych to dobre dziesięć godzin wcześniej, niż wychodziłem z Mattera. Październikowy wtorek był słoneczny i ciepły; Warszawa cieszyła się wyjątkowo późnym babim latem.

Miałem dziś szansę odebrać córkę; po krótkiej analizie uznałem jednak, że na pewno poszła na jakieś zajęcia. Z poświęceniem woziliśmy Igę na kolejne kółka, usiłując choć trochę zrehabilitować się za wyprowadzkę w podwarszawską głąszę.

Ruszyłem w stronę Kampinosu, a jadąc puściutką Wisłostradą, rozkoszowałem się słońcem i perspektywą spaceru po lesie. Wszystko w tym momencie w moim życiu było takie, jak należy. Miałem sensowną pracę, która pozwalała mi na wyjście w porze lunchu, kochającą żonę, fajne dzieci i psa, który kochał mnie bardziej niż żona.

3

Gdy przyjechałem do przedszkola, Staś był akurat w ferworze zabawy z kolegami; zabrało mi dobre dwadzieścia minut, zanim mogłem go zgarnąć. Cały był uchachany i rozgrzany. Cudem udało mi się wcisnąć syna w kurtkę i zmusić do założenia czapki, bo czoło miał mokre. Kusilem obietnicami, że pogramy w piłkę z Febusem. W duchu liczyłem, że mały przyśnie na trochę, co w aucie zdarzało mu się w momencie przekręcenia kluczyka w stacyjce.

Kiedy jednak zaparkowałem na naszym zamkniętym osiedlu bliźniaczych, jednopiętrowych domków, okazało się, że wciąż jest pełen energii. Tylko otworzyłem drzwi, a już wystrzelił do przodu jak rakieta, aby męczyć Febika. Położyłem teczkę na krześle przy kuchennym stole. Gdzieś w oddali słyszałem psi szczek z nutą ambiwalencji: z jednej strony Febus chciał się bawić, bo wynudził się przez cały dzień leżenia na kanapie. Z drugiej strony entuzjizm Stasia był dla naszego labradora dość zatrwajający.

Jedną z zalet wcześniejszych powrotów z pracy okazał się rozwój moich zdolności kulinarnych. Zacząłem ostrożnie, by nie narazić się na kpiny najbliższych, ale działałem konsekwentnie i wkrótce pałeczki z kurczaka zostały zastąpione policzkami wołowymi z pastą z selera, risotto z szynką parmeńską, eksperymentowałem nawet z makaronem własnej roboty. Przez żołądek nie trafiłem jeszcze do serca córki, która pozostawała obojętna na moje starania, ale gotowanie pozwalało mi realizować potrzebę samodoskonalenia bez uszczerbku dla zdrowia rodziny.

Dziś, po dobrze przyjętym ostatnio zielonym curry, zamierzałem zaskoczyć rodzinę pad thaim, którego przygotowałem na ostro i z krewetkami. Gotując, raz na jakiś czas rzucałem okiem na ogród.

Głównie by wiedzieć, co z Febikiem, który miał do Stasia wręcz podejrzaną cierpliwość.

Dzień skracał się nieubłaganie i zastanawiałem się, czy po obiedzie dam radę jeszcze wyjść na spacer. Niczym wywołany myślami, pies przywłókł się w końcu do kuchni. Patrzył na mnie, jakby myślał o tym samym. Kilka kilometrów przebieżki stało się naszym wspólnym, acz nieregularnym zwyczajem, od kiedy zamieszkaliśmy w Izabelinie i rzuciłem Mattera.

– Nie teraz, przyjacielu – powiedziałem. – Nie mamy z kim zostawić małego.

Wydawało mi się, że pokiwał łbem z rezygnacją. Z westchnieniem położył się na ziemi, mając nadzieję na realizację swojego drugiego, poza przebieżkami po Kampinosie, hobby. Nie liczyłbym na to na jego miejscu. Od kiedy dowiedzieliśmy się, że labradory są wiecznie nienażarte, szanse Febika na nadprogramową miskę wyraźnie się zmniejszyły.

Usiłowałem sobie przypomnieć, na które ze swoich licznych zajęć poszła dzisiaj moja córka. Miałem kłopot ze śledzeniem pasji Igi, co nie przysparzało mi jej względów. Byłem prawie pewien, że na tapecie wylądował taniec street jazz, ale wolałem nie zaczynać o tym rozmowy, zanim nie upewnię się u Mai. Raz jeden pozwoliłem sobie na żart z powodu zmieniających się zainteresowań Igi. W odpowiedzi córka zafundowała mi kilka cichych dni. Tak naprawdę nie miałem nic przeciwko, rozumiałem ideę poszukiwania własnej drogi. Podejrzywałem jednak, że efektowne hobby służy Idze do zbierania polubień na Facebooku i Instagramie – towarzyskich wyrazów akceptacji.

Czy to dlatego, że sam nie dałem jej wystarczająco dużo ciepła? I Maja, raz na jakiś czas pogrążona w mrocznych nastrojach? A może nie powinienem się o to obwiniać, może nasz wpływ na osobowość Igi był minimalny w porównaniu z wpływem chytrych informatyków z Doliny Krzemowej?

Gotowanie było prostsze, wystarczyło pomieszać składniki, a przy zachowaniu należytej staranności efekt okazywał się przewidywalny. Kiedy pad thai zaczął nabierać pomarańczowych barw, a nasza kuchnia pachnieć

jak food market w Bangkoku, usłyszałem warkot terenowca Mai. Moja żona była fatalnym, nerwowym i nieprzewidywalnym kierowcą i właśnie dlatego musiała mieć duże i bezpieczne auto.

Wkrótce zmaterializowała się w kuchni, w brązowym płaszczu i szarym szaliku z jakiegoś zwiewnego materiału. Niesamowicie, jak niewiele zmieniło się jej spojrzenie, od kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w dwa tysiące czwartym roku. Po tych wspólnych latach wciąż dostrzegałem w jej oczach delikatność, sympatię z nutą rozbawienia, a także niepewność – wszystko, co wzbudzało we mnie potrzebę roztoczenia nad nią opieki. Od tamtej chwili w Brazylii wiedziałem, że nie będzie mi się łatwo z nią rozstać. Nikt nie patrzył na mnie w ten sposób ani wcześniej, ani później, a za tym spojrzeniem kryło się czułe serce.

Ale czy tego ostatniego mogłem być pewien? Poczułem ukłucie gdzieś w środku, przypominając sobie jej zdradę i to, co sam potem zrobiłem. Mimo że sprawa wydawała się zakończona, wciąż wzbudzała we mnie poczucie winy.

A może wystarczyło wtedy porozmawiać?

Moja żona jest kobietą o szwedzkim typie urody: blond włosy, jasna cera, trochę piegów. Ma około metra siedemdziesięciu, szczupłą twarz i oczy, których odcień balansuje między zielonym i piwnym, a nawet niebieskim. Tak jakby artystyczna natura Mai miała odzwierciedlenie w wiecznie zmieniających się barwach jej tęczówek. Nic dziwnego, że osiągnęła sukces.

Pocałowałem żonę w policzek, wdychając cytrynowo-terpentynowy zapach jej skóry i włosów. Zapach, który uspokajał mnie i pozwolił przetrwać mroki kilkudniowej ślepoty.

Iga nie zajrzała do nas, jej patykowate nogi mignęły mi w przelocie, a potem usłyszałem odległy dźwięk zamykanych na piętrze drzwi. Coraz częstszy niestety i odrobinę przygnębiający odgłos w naszym domu „otwartych pokojów”. Maja uciniała moje próby poruszenia tematu, twierdząc, że Iga potrzebuje teraz prywatności, i wiedziałem, że się nie myli oraz że jeśli Iga ma do nas wrócić, to tylko z własnej woli.

Przynajmniej Staś był blisko i Maja pocałowała go w głowę, usiłując przy tym przytulić, wyslizgiwał się jednak z objęć. Niewdzięczna rola matki chłopca, pomyślałem. W momencie, kiedy odejdzie taki od piersi, już unika dotyku. W spojrzeniu Mai, którym obrzuciła naszego pięciolatka, czaił się dobrze mi znany niepokój.

Minęło ledwo kilka miesięcy, od kiedy pewnego wiosennego popołudnia ujrzałem przez okno, jak Staś otwiera furtkę i wychodzi na naszą osiedlową ulicę. Na plecach miał tornister ze Spider-Manem. Nie pytał przedtem o zgodę na odwiedzinę u swojego przyjaciela Aleksa, mieszkającego kilka domów dalej. Zapadał zmrok i nie puściłbym go samego, tak samo Maja. Wyszedłem przed dom i zawołałem. Syn obrzucił mnie smutnym spojrzeniem, a w jego oczach dostrzegłem łzy. Następnie przyśpieszył kroku. Kiedy był już na drodze, wybiegłem za nim.

– Stasiu! – zawołałem. – Dokąd idziesz?

Popatrzył na mnie z dziwną melancholią w oczach, a potem płacz wykrzywił mu usta i dzieciak rozbeczał się na dobre.

Smarki jak stalaktyty leciały mu z nosa, otarłem je wierzchem dłoni. Nie był w stanie nic powiedzieć, wstrząsały nim ataki spazmatycznego płaczu. Nagle dotarło do mnie, że był przygnębiony ostatnio, coś dziwnego jak na dziecko w tym wieku. Lewa dłoń zaczęła mu chodzić nerwowo, co wywołało u mnie wspomnienie własnych tików z młodości. Ponadto dwa razy zmoczył się w nocy. Zbagatelizowaliśmy to z Mają, szczególnie że synek był bardzo zawstydzony, ale teraz wszystkie te fakty dotarły do mnie.

– Dokąd szedłeś, Stasiu? – zapytałem nieco bardziej stanowczo.

– Poszukać... – odpowiedział i załkał ponownie.

– Czego? – drążyłem.

– Poszukać... poszukać moich prawdziwych rodziców – dokończył z trudem.

Zatkało mnie i poczułem, że potrzebuję wsparcia. Uniosłem to kilkunastokilowe, zapłakane ciało i wróciłem do domu, gdzie zawołałem Maję. Zeszła po chwili i w momencie, gdy nas spostrzegła, zrozumiała, że stało się coś złego. Przygotowałem kakao, a Maja zafundowała Stasiowi

liczne czułości, po których zaczął się otwierać. Choć czasem myślałem, że wolałbym nie usłyszeć, co miał do powiedzenia, i chciałbym zapomnieć o swoich emocjach oraz zachowaniu po spowiedzi Stasia.

„Adoptowany” – to nie jest słowo, które zna każdy pięciolatek wychowywany w swojej naturalnej rodzinie. Ale Staś znał je doskonale i nawet potrafił odmieniać. Nic dziwnego, skoro od miesiący karmiła go nim Iga.

Opowiedział nam wszystko: o tym, że adoptowaliśmy go, kiedy miał dwa lata, że nie kochamy go tak jak jego prawdziwi rodzice, że nie należy do naszej rodziny.

Byłem zszokowany, wysłuchując tej opowieści, i nie mogłem wymówić słowa. Wiedziałem, że Maja również przeżywa ciężkie chwile, co dostrzegałem w jej rozszerzonych źrenicach i nerwowym falowaniu nozdrzy. W miarę jak wzrastała we mnie wściekłość, coraz bardziej zdumiewała mnie perfidia planu naszej córki.

Iga kombinowała to od miesiący, podrzucając bratu informacje kreujące fikcyjny świat. Utknęła wiarygodną opowieść i uwiodła nią Stasia, wykorzystując całą naiwność pięciolatka i bezgraniczne zaufanie do starszej siostry. Ale chyba najbardziej zszokował mnie cel, prosty i zimny jak sople lodu: pozbyć się brata z domu. Na dobre.

Zanim potrafiłem to sobie wyjaśnić, gniew wypłynął gdzieś z dolnego odcinka moich pleców i wspinał się do góry, ogarniając szyję i głowę. Poczulem, jak tężeją mi mięśnie, i zerwałem się gwałtownie. Maja dotknęła mojej dłoni, ale odepchnąłem ją i wbiegłem po schodach na górę.

Drzwi do pokoju Igi były zamknięte. Otworzyłem je tak, jakbym chciał je wyważyć. Moja córka leżała na łóżku, z twarzą w laptopie. Spojrzała na mnie ze złością, która błyskawicznie przeszła w strach. Chyba nie wyglądałem zbyt dobrze.

Ręka mi się trzęsła i zrobiłem krok w jej kierunku. Skuliła się, przerażona teraz na dobre. Wstrząsały mną dreszcze i toczyłem wewnętrzną walkę, ale zrobiłem następny krok. Byłem w takim stanie, że nie słyszałem zbliżającej

się Mai. Zanim wykonałem kolejny ruch, poczułem dotyk na plecach i znajomy zapach. Wtuliła się we mnie całym ciałem.

– Proszę, wyjdź – wyszeptała cicho. – Usmaż Stasiowi naleśniki z nutellą. Idźcie do ogrodu, pobawcie się z psem. Proszę.

Przez moment stałem jak sparaliżowany, a potem poczułem dziwną niemoc. Rozum z trudem torował sobie drogę przez emocje, lecz wiedziałem, że Maja ma rację. Trzymała mnie mocno, tak mocno nie obejmowała mnie nawet w łóżku. Trzymała mnie, jakby chciała przeniknąć do moich myśli.

– Porozmawiam z nią – powiedziała.

Każdy ruch był trudny, czułem się, jakbym był unurzany w smole. Ale wiedziałem, że Staś tam na dole czeka na mnie i potrzebuje jak nigdy dotąd.

Nie mogłem patrzeć na moją córkę, a Iga panicznie się mnie bała w tym momencie. Odwróciłem się i wyszedłem. Maja zamknęła za mną drzwi.

Od tego czasu monitorowaliśmy zachowanie Stasia tak starannie, jak obserwuje się program nuklearny Korei Północnej. Wiedzieliśmy, że zoczył się jeszcze trzykrotnie, raz nawet śpiąc w naszym łóżku. W środku nocy obudziła mnie wilgoć na piżamie. Za każdym razem błyskawicznie zmienialiśmy mu pościel i ubranie, zapewniając, że nic się nie stało.

Zaangażowana została psycholożka: a właściwie kilka, bo druga do Igi, a z kolejną nawet ja odbębniłem parę sesji. W moich relacjach z córką pojawiła się zaś wyrwa. Tygodniami nie byłem w stanie z nią rozmawiać, a kiedy uznałem, że już mogę, bałem się, że w moim głosie wciąż wybrzmiewać będzie wściekłość.

Wreszcie pewnego dnia zapytałem Igę o szkołę. Nie ofuknęła mnie, a nawet rozgadała się w odpowiedzi. Poczułem ulgę i zrozumiałem, że nie jestem już na nią zły. Miała moje geny oraz geny kobiety, z którą się związałem. Wychowaliśmy ją wspólnie, wszystko, co zrobiła, było konsekwencją naszych zachowań. Do nas należała naprawa sytuacji.

Sztorm przeszedł, lecz wciąż obawiałem się o przyszłość naszego syna, o jego wiarę w siebie i przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa, tak poturbowane na starcie przez starszą siostrę.

Najlepsze, że cała ta historia nie zmieniła stosunku Stasia do Igi. Wciąż darzył ją szczenięcym, bezwarunkowym uwielbieniem. Nie tylko kuksańce, złościwości, lecz nawet próba pozbycia się z domu nie zdołały tego zniszczyć.

I mnie, i Mai bardzo zależało na wspólnych posiłkach, szczególnie od „epizodu”, jak to nazywaliśmy. Po pewnym czasie zgodziliśmy się na zamknięte drzwi u Igi, ale nie jedliśmy już obiadów przy telewizorze: psycholog polecił nam tego bezwzględnie pilnować, jak również nie zmuszać Igi do rozmowy, nawet kiedy uparcie milczała.

Miałem tylko nadzieję, że moje gotowanie wyraża, co czuję do nich wszystkich. Wkładałem w to uczucie, trud i staranność. Tyle byłem w stanie zrobić i liczyłem na to, że mój wysiłek, a także niepodejmowanie drażliwego tematu i starania Mai stopniowo scalą naszą rodzinę z powrotem.

Czułem wdzięczność do Mai za to, że nie pozwoliła, bym uderzył Igę. Być może swoim refleksem uratowała naszą rodzinę. Nie chciałem myśleć, co by było, gdyby nie zatrzymała mnie wtedy w drzwiach.

4

Kiedy pad thai był gotowy, Maja nakryła do stołu i zawołała dzieciaki. Iga zeszła jak zwykle chwilę po trzecim lub czwartym wywołaniu, zajęła swoje ulubione miejsce, ale nie wyjęła telefonu. To była jedna z obiadowych reguł, obok niewstawania od stołu, dopóki inni nie skończą. Poza tym nie naciskaliśmy na nią, mogła milczeć i rzucać karcące spojrzenia. Kiedy zaś była w dobrym nastroju i rozgadywała się na temat swojego dnia, nie przerywałem jej. Kątem oka zerkąłem na Maję, sprawdzając, czy cieszy się z tej rozmowności tak samo jak ja.

Dziś obie dziewczyny były dziwnie ciche i miałem tylko nadzieję, że to nie jest jakaś zaplanowana akcja. Po obiedzie Staś dostał zgodę na obejrzenie disneyowskiego *Króla Artura*. To był przyjemny klasyk, poza tym zgodnie uznaliśmy z Mają, że bardziej współczesne animacje są dla Stasia zbyt brutalne. Iga również przysiadła na oparciu kanapy i oglądała film, udając, że znalazła się tam tylko przypadkiem. Dzióbki dzióbkami, ale nie chciała jeszcze opuścić świata dzieciństwa na dobre.

Dobrze opłacana psycholożka dziecięca, wbrew moim obawom, chyba jednak okazała się skuteczna, bo Iga odnosiła się do Stasia z łagodnością, której wcześniej nie można było dostrzec. Oczywiście i przed „epizodem” jasno widzieliśmy jej wrogość wobec młodszego brata, ale sądziliśmy, że sprowadza się ona do trzepnięcia smarkacza w ucho, a nie planu wywalenia go z domu.

Zaparzyłem zielonej herbaty, żeby porozmawiać z Mają. Wtedy przypomniałem sobie o zdjęciu. Dziwne, jaki dyskomfort wzbudziła we mnie ta fotografia przed kilkoma godzinami i jak łatwo wyleciało mi to później z pamięci. Kiedy postawiłem dzbanek na stole, Maja kończyła

właśnie pisać sms-a. Do swojej agentki albo do Natalii. Taką miałem nadzieję.

– Zapomniałem na śmierć – powiedziałem. – To przyszło dziś rano. Trochę niepokojące, co nie?

Wyjąłem fotografię z teczki i położyłem na stole przed żoną. Powolnym, lekko roztargnionym ruchem podniosła ją i wbiła spojrzenie w mężczyznę na śniegu.

Kiedy później wspominałem ten moment, usiłowałem sobie wmówić, że coś wtedy dostrzegłem w jej oczach, że jakaś utajona emocja wydostała się na zewnątrz. Maja poświęciła fotografii kilka sekund i odłożyła ją, lecz nie przesunęła z powrotem w moją stronę. Nie zwróciłem na to wówczas uwagi. Gdybym to zrobił, pomyślałbym pewnie, że zwyczajnie zapomniała. Tak więc zdjęcie wciąż leżało na stole przed moją żoną, która teraz sprawiała wrażenie, jakby kontynuowała naszą rozmowę tylko z uprzejmości.

Wydawała się jakaś zmęczona. Oczy miała podkrążone i lekko przekrwione. Z dłoni, o które bardzo dbała, nie zmyła resztek farby. Wiedziałem, że pracuje ostatnio zbyt intensywnie. Oraz że nie powinienem się w to mieszać. Malowania, choć ją wypalało, potrzebowała do życia tak bardzo jak całej naszej trójki.

– Niepokojące – skomentowała w końcu.

Głos miała lekko zachrypnięty tym rodzajem chrypki, który nazywają seksowną. Przypadkowo okazało się, że to problem laryngologiczny i musiała rzucić długie mentole, za którymi przepadała. Wtedy, solidarnie, i ja rzuciłem swoje pięć papierosów dziennie.

– Wiesz, kim jest ten mężczyzna? – zapytała.

– Nie mam pojęcia.

– Pokazywałeś to komuś?

– Tylko w biurze.

– Czemu?

Wzruszyłem ramionami.

– Koperta nie była zaadresowana. Eliza mi ją przyniosła. Nikt nic nie wie. Ten człowiek na zdjęciu wygląda dziwnie – powiedziałem.

– Co masz na myśli?

– Jak trup.

Zapadła dłuższa cisza.

– Być może – skomentowała w końcu Maja. A po chwili zapytała: – Przyszła pocztą?

– Nie, Eliza spotkała jakiegoś faceta i przekazał jej kopertę. Podobno był kompletnie nawalony.

– Jak wyglądał?

Uśmiechnąłem się na myśl, że mimo zmęczenia Maja bierze mnie w krzyżowy ogień pytań.

– Eliza określiła go jako dresika. – Zrobiłem cudzysłów w powietrzu.

– Młody? Stary?

– Coś ponad dwadzieścia lat... a, i miał prawdziwy znak rozpoznawczy: bliznę na szyi, jak po operacji. Mówi ci to coś?

– Słucham? – znienacka lekko podniosła głos. – Dlaczego miałoby mówić?

Spojrzała na mnie wrogo. Dawno udało nam się zminimalizować wykańczające wojenki małżeńskie; prawie nie pamiętałem już tego zimnego wzroku.

– Nie wiem, taki żart – odparłem, nieco zbity z tropu.

– Aha – rzuciła cierpko. Uznałem, że zdecydowanie nie jest dziś w sosie.

– Ta fotografia jest jakimś głupim prankiem – powiedziałem. – Tak to chyba nazywają... Ktoś robi sobie dowcipy i na dniach okaże się kto. No, nie ma o czym gadać. A jak twój dzień, kochanie? Jak postępy?

Maja od roku pracowała nad obrazem dla jakiegoś nowobogackiego klienta. Czy przykro było jej rozstawać się ze swoimi płótnami na zawsze? Twierdziła, że największe wytchnienie daje jej sam proces twórczy. Poza tym z czegoś trzeba żyć, a w Muzeum Narodowym jeszcze nie chcą jej wystawiać.

Nie, nie robiła sobie nic z tego, że jej obraz o przekątnej kilku metrów będzie wisiał w jakimś nuworyszowskim gargamelu. Jeśli dzieło ma zdobyć rozgłos, to tak się stanie, twierdziła. Sądziłem, że przez tajemniczość, która

otaczała jej projekty, i przez ich elitaryzm uznanie Mai w świecie artystycznym tylko rośnie. Tak jakby moja żona była niezwykle wytrawnym graczem marketingowym.

Owa tajemniczość stanowiła jednak efekt uboczny spokoju, którego potrzebowała do pracy, a może i lekkiej fobii społecznej. Maja utrzymywała stały kontakt tylko z kilkoma osobami i nie wszyscy z tych ludzi wiedzieli, że to właśnie ona kryje się pod pseudonimem uznanej w świecie malarskim artystki Julii Rodeckiej.

Bo taki właśnie pseudonim przybrała moja żona. Nie organizowała wystaw, mimo to jej obrazy cieszyły się powodzeniem, a w prasie poświęconej sztuce pisano o niej całe artykuły. Wiedziałem, że ta prywatność jest Mai potrzebna, aby jej sztuka zachowała integralność – a raczej żeby moja żona nie rozpadła się na tysiąc kawałków pod prężaniem krytyki, którą tak łatwo można dzisiaj człowieka zaszczuć.

Maja nie była jednak akurat rozmowna, a ja nie miałem jej tego za złe, bo wiedziałem, że jej nastrój nigdy – no, prawie nigdy – nie jest skierowany przeciwko mnie. Rzuciła jeszcze kilka zdawkowych słów i na chwilę zniknęła w swojej domowej pracowni. Drugą miała na Żoliborzu, w zaadaptowanym poddaszu kamienicy przy placu Inwalidów, który to lokal udało nam się kiedyś okazji kupić od tamtejszej wspólnoty.

Miejskie poddasze miało kilkanaście metrów szerokości, a średnią wysokość ledwo dwóch metrów, ale było słoneczne, a Maja swoje obrazy i tak malowała w poziomie. Podejrzewałem jednak, że ukrytym sensem pracowni na placu Inwalidów jest to, że dawała ona pretekst do ucieczki z domu raz na jakiś czas.

Zabawne, jak każde z nas, niezależnie od siebie pragnące wyprowadzki bliżej natury i czystego powietrza, wciąż powracało do miasta. Ja miałem prawniczych ekologów i misję ochrony polskiego środowiska, a Maja swoją sztukę.

Gdy Maja wróciła, pocałowałem ją, a ona przytuliła się do mnie, mierzwiąc mi włosy. Następnie, z kubkiem parującej senchy w ręku, dołączyłem do dzieciaków na kanapie. Załapałem się na drugą część kreskówki. Wykorzystałem też moment, aby zgodnie z zaleceniami psycholożki przytulić Stasia, a nawet udało mi się położyć rękę na ramieniu Igi. Wciąż udawała, że nie ogląda, ale jej oko częściej zerknęło w ekran telewizora niż smartfona.

Spojrzałem na zegarek. Zdziwiłem się, że jest już po osiemnastej. Staś skłonił swoją jasną jak u Mai czuprynę w moją stronę, a Iga wydała się bardzo łagodnym i miłym dzieckiem, przynajmniej przez moment. Ciepło rozlało mi się w okolicach brzucha, pomyślałem, że jakoś to się między nimi ułoży, że epizod ze spiskiem Igi złagodnieje w zbiorowej pamięci Chabrowskich, nabierając humorystycznego charakteru, może nawet stając się rodzinnym klasykiem, rodzajem anegdoty. W miejsce niezagojonej rany, którą był do tej pory. Przymknąłem oko, a po chwili ogarnęła mnie przyjemna lekkość.

Zdawało mi się, że słyszę warkot auta, ale to mógł być sen... Kiedy się ocknąłem, Stasia przy mnie nie było. Czuję, że cały zdrętwiałem, zaległszy na kanapie w pozycji, w której nie powinien zasypiać żaden czterdziestolatek.

Ktoś z rodziny, pewnie Maja, przykrył mnie kołdrą. Przespałem z pół nocy na sofie, a moja kochająca żona nie obudziła mnie, narażając tym samym na uraz. Nie rozebrała mnie też, pewnie ze względu na dzieciaki. Wciąż miałem na sobie dżinsy, T-shirt i nawet skarpetki.

Obolały, usiadłem na kanapie. Chwilę bezmyślnie wgapiałem się w przestrzeń za oknem, w ciemną ścianę Kampinosu.

Nie byłem śpiochem. Wręcz przeciwnie, całe życie spałem maksymalnie sześć godzin, a za czasów Mattera, przed oślepieniem, potrafiłem funkcjonować nawet po trzech godzinach snu. Nagle nabrałem ochoty na zakazanego papierosa i wypalenie go w ogrodzie. Przegrzebałem szafki w salonie, mając nadzieję, że Maja gdzieś chowa paczkę – tego, że ukradkiem popala, byłem pewien. Nic nie znalazłem. Napiliśmy się więc tylko

wody w kuchni i powlokłem na górę, aby jak najszybciej przytknąć policzek do włosów żony.

W sypialni spotkało mnie jednak kolejne rozczarowanie. Puste łóżko. Było bardzo wcześnie, lecz kiedy Maja kończyła obraz, zdarzało jej się zarywać noce, przeciwko czemu protestowałem między innymi dlatego, że musiała potem regulować sen za pomocą farmakologii. Ale prawda była też taka, że ten obraz miał dla nas strategiczne znaczenie. Przy dwojgu prywatnie edukowanych dzieciaków nasz budżet wciąż trzeszczał w szwach. Rezygnując z pracy w korporacji, odłączyłem się od kurka z pieniędzmi, a płótna Mai przynosiły nam kilkadziesiąt tysięcy złotych, jeśli nie euro.

Położyłem głowę na poduszce mojej żony i wkrótce zapadłem w kolejny, zaskakująco głęboki sen. Śniło mi się, że wobec dewastacji środowiska naturalnego ziemia zastosowała nieznaną ludzkości mechanizm obronny: wyprodukowała broń biologiczną i zaczęła dziesiątkować społeczeństwo.

Z jednej strony niezwykle się z tego cieszyłem, z drugiej martwiłem o swoją rodzinę. Sen pełen był przygód, lecz za każdym razem kogoś w naszym gronie brakowało, a to Stasia, a to Mai, a to Igi. Gdy ocknąłem się z ulgą, byłem w łóżku sam jak palec. Moja żona musiała zostać na noc w pracowni. Westchnąłem, a potem spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma. Najwyższy czas rozpocząć batalię o obudzenie dzieciaków.

5

Rozprawa przeciwko Elektrowni Jabłoczno nam nie poszła. Sąd nie zamierzał uchylić decyzji środowiskowej dotyczącej rozbudowy bloków i trzeba było postanowić, co dalej.

Wstyd przyznać, ale w ostatnim okresie bardziej niż na naszą działalność analityczno-procesową liczyłem na rzeczy pozostające poza moim wpływem. Od pewnego czasu śledziłem nie tylko branżowe media energetyczne, ale i zerkąłem do prasy gospodarczej. Wydania „Forbesa” i „Harvard Business Review” zalegały na moim biurku, budząc zdziwienie kolegów; podejrzewali pewnie, że już mi się znudziła zabawa w NGO-sy i zatęskniłem za biznesem i prawdziwymi pieniędzmi.

Prawda była inna. Łąpczywie wertowałem czasopisma, w których nieodmiennie brylował młody człowiek o banalnej twarzy i modnie zaczesanych do tyłu włosach, w garniturach wyglądających na takie, za które można by kupić mojego saaba i przez rok go tankować.

Łukasz Orski, przyszły król polskiej energii i nie tylko. Syn zmarłej żony miliardera Macieja Rusa i jego spadkobierca. Rus umarł nagle i bez testamentu, co pasowało do ekscentryczności, którą przejawiał w życiu i biznesie. Nie pozostawił bliskich krewnych. A ponieważ w 2009 roku do grona spadkobierców ustawowych dołączono pasierbów, z zamożnego człowieka Łukasz Orski stał się arcybogaty.

Skierowały się na niego światła reflektorów. Media informowały: Kawaler. Prawnik z wykształcenia, a biznesmen z nadania. Niewiele poniżej czterdziestki. Absolwent świetnych szkół, przyjaciel możnych, obywatel świata.

I takie tam brednie.

Mnie jednak Łukasz Orski się podobał. Podobał bardzo i spijałem jego słowa z licznych wywiadów. Znałem je tak dokładnie, że pamiętałem całe frazy.

Łukasz Orski spotykał się z księciem Karolem i Alem Gore'em. Łukasz Orski miał w Niemczech i Wielkiej Brytanii przyjaciół, którzy razem z nim kończyli prestiżowe szkoły podyplomowe, najlepsze z najlepszych studia MBA. I Łukasz Orski wcale nie wydawał się związany wizją swojego ojczyma, który zbił fortunę na tanim węglu i kontaktach z rządem. Wyglądało na to, że teraz ta wielomiliardowa zdaniem „Forbesa” fortuna może zostać przesunięta w bardzo interesujące miejsce.

Kilkukrotnie w wypowiedziach młodego bogacza pojawiała się stwierdzenie: „Niemcy potrafią uzyskać z energii odnawialnej taką moc jak my z całej naszej konwencjonalnej energetyki opartej na węglu”. Wiadomo, Niemcy to nie my. Ale od czego jest się młodym, wyedukowanym dziedzicem fortuny. Nie od powielania błędów, ale od zmieniania świata.

Łukasz Orski miał plan. Plan, na który pewnie nigdy by sobie nie pozwolił za życia ojczyma. Plan, którym zyskiwał poklask takich właśnie prominentnych piewców energetyki odnawialnej jak następca brytyjskiego tronu i niedoszły amerykański prezydent. Teraz Orski wyjawiał swój pomysł światu, a jego hasło wzbudzało we mnie radość nie mniejszą niż każdy z uśmiechów Igi.

Morska farma wiatrowa.

Pierwsza w Polsce. Zakładana moc: czterysta tysięcy megawatów.

Czterysta tysięcy megawatów rocznie! Najpewniejszej energii wiatrowej, bo wiatry na morzu są silniejsze i stabilniejsze. Czyściutkiej, taniej mocy. I nawet jeśli jedna farma nie wystarczy, żeby przewrócić do góry nogami polski koszyk energetyczny, to przecież kiedy nasi włodarze zobaczą, że się da...

Oczywiście pozostawała jeszcze cała mafia górnicza, brudne interesy rządowe i wszystkie inne pełzające patologie. Ale politycy pękną w końcu pod wpływem społeczeństwa, bo tego, że Polacy w ogromnej większości

popierają energię odnawialną, nie można było dłużej ukrywać. To był fakt, nasza krajowa tajemnica poliszynela.

Bez takiego potężnego i pewnego źródła zielonej energii panował jednak pat. Powietrze powietrzem, ale w ostatecznym rozrachunku żaden Polak nie chciał zostać bez prądu, nawet przez chwilę. Wszyscy mieli swoje telewizory, lodówki i pralki. A zagrożenie choćby i przejściowym niedoborem mocy mogło być świetnie wykorzystane przez polityków.

Lecz taka potężna farma wiatrowa dostarczająca mocy dla całego regionu mogła być tą wyczekaną forpoczta postępu w dziedzinie energii odnawialnej. Prąd, który wygeneruje elektrownia, oczywiście trzeba będzie jeszcze sprzedać.

Czy jednak spadkobierca człowieka, który najsprawniej w dziejach Polski biznesowo dogadywał się z rządem, mógłby tego nie ugrać? Ostatecznie kombinacja unijnych nacisków prawniśrodowiskowych, kontaktów i znaczenia nazwisk Rus i Orski, a także zwyczajnej, choć niezwykle powolnej ewolucji w stronę zielonej energii w Polsce musiały zaowocować czymś dobrym.

Byłem podekscytowany i zakładałem, że moi współpracownicy też o tym rozmawiają, lecz profesjonalizm kazał nam działać tak, jakbyśmy nie mogli liczyć na żadne ułatwienia czy zdawać się na tego młodego dandysa. Ale jakim wsparciem byłaby dla nas pomoc pierwszoligowego gracza biznesowego!

Spotkania się przeciągały, ledwo miałem czas pójść do toalety. Dlatego dopiero po południu uświadomiłem sobie, że nie zamieniłem słowa z Mają, a i ona nie dała dzisiaj znaku życia.

Dzwoniła natomiast Iga. Trzy razy. Poczułem jakiś dziwny niepokój. Od czasu krótkotrwałej ślepoty świat wydawał mi się trochę mniej pewnym miejscem. Wypadek, szpital, choroba. Oddzwoniłem do córki. Odebrała po drugim sygnale i od razu wyczułem, że jest zła.

– Gdzie jesteś, tato? – zapytała.

– W pracy, jak to o czternastej. A gdzie powinienem być?

Miałem niemalże stuprocentową pewność, że Igę dziś również odbiera Maja, a Staś po przedszkolu pojedzie do Aleksa. Przecież zamieniłem o tym rano dwa słowa ze Swetrową, mamą tego chłopca i pewnie z sześciorga innych dzieci mieszkających w dokładnie takim domku jak nasz. Nigdy nie doliczyłem się, ile dokładnie nasza sąsiadka ma potomstwa. I nawet jeśli wiedziałem, dawno już zapomniałem, jak Swetrowa ma właściwie na imię.

Maja, zdolna czasem do celnych złośliwości, nadała jej ksywkę po jednej z wywiadówek, podczas której Swetrowa przez cały czas głośno i irytująco perorowała, i to do niej przyłgnęło. Matczyne swetry zasłaniały jej biust, którym można by wykarmić połowę żłobka. Wydawała się całkowicie poświęcona misji odmłodzenia polskiego społeczeństwa; jej nikt nie będzie mógł zarzucić, że nie pracuje na nasze emerytury.

Jako niepracującej mamie najlepszego kolegi naszego syna sporo jej jednak zawdzięczaliśmy. Często odbierała Stasia z przedszkola i to zawsze Staś szedł do Aleksa, a nie odwrotnie. Tak jak i dziś. Żadne z nas, a zwłaszcza Febik, nie przeżyłoby najazdu potomstwa Swetrowej.

– Dlaczego nikt po mnie nie przyjechał? – spytała Iga.

– Gdzie jesteś?

– Poszłam do Nero. Odrabiam lekcje. Mama ma wyłączony telefon, ty nie odbierasz... – oznajmiła z wyrzutem w głosie.

Wyrodni rodzice zmuszają dziecko do przesiadywania w modnych kawiarniach. Mógłbym to jakoś skomentować, gdybym miał humor. Ale nagle straciłem ochotę.

– Jak to wyłączony? – zapytałem głośniejszym głosem, niż chciałem. Maja, nawet jak pracowała, była pod telefonem.

– Tak to. Dzwoniłam ze dwadzieścia razy, aż mi się odechciało. To kiedy możesz po mnie przyjechać? Czy mam się tłuc autobusem?

Stary wyrzut przeprowadzki pod las zabrzmiał w głosie Igi, lecz nie miałem ochoty na utarczki. Nie teraz.

– Mama nie wspominała, że nie da rady cię dzisiaj odebrać? – upewniłem się.

– Nie, tato.

– Poczekaj chwilę, zadzwonię do niej. I nigdzie już nie łaż, wyjdę z pracy w ciągu dwudziestu minut. Wyślij mi SMS-em adres kawiarni.

– Lepiej pinezkę ci wyślę – skomentowała Iga.

Nauczyła mnie tego ostatnio: wysyłania lokalizacji i przede wszystkim odczytywania jej w telefonie. Dobrze, bo nie miałem czasu na dodatkowe objaśnienia.

Ręka mi drżała, kiedy wciskałem jedynekę na klawiaturze. Maja nie korzystała z poczty głosowej, więc odpowiedział mi tylko suchy stęk i – bach – połączenie zostało przerwane. Bezmyślnie spróbowałem jeszcze raz. I jeszcze raz, na nic. Napisałem SMS-a: „Odezwij się, jak tylko będziesz mogła. Martwię się”.

Mieliśmy jeszcze jedno spotkanie, z zaprzyjaźnioną organizacją ekologiczną. Pracowaliśmy nad wspólną kampanią, bo oni dysponowali zasobami personalnymi i promocyjnymi, by wesprzeć naszą wiedzę i umiejętności analityczne. Wciąż jednak zastanawiałem się, czy to właściwy krok, tak bardzo różniły się nasze podejścia. W każdym razie pojawiła się teraz doskonała wymówka, żeby opuścić tę naradę – a może myślałbym tak, gdybym nie był pogrążony w niepokoju.

W trzech słowach opowiedziałem Ani, co się dzieje. Nie było potrzeby rozwijać tematu, zrozumiała już po pierwszym zdaniu, a pewnie jeszcze wcześniej, po spojrzeniu na moją twarz. I nie wyraziła dezaprobaty dla ucieczki z biura, w ostatnich miesiącach mojego stałego grzechu.

– Nie martw się, Matek. Na pewno nic takiego się nie dzieje – powiedziała.

Pokiwałem głową.

– Jedź – dodała. – Wezmę ich na klatę.

Nasze dyskusje z partnerami mogły skończyć się wzajemnym przekrzykiwaniem, więc to nie było byle co ze strony mojej współpracownicy.

– Dzięki – rzuciłem już w drzwiach. Ruszyłem w stronę wyjścia, kierując się do saaba, bo trawił mnie lekki, ale stale narastający lęk.

Droga do pracowni Mai zajęła mi koszarne trzydzieści pięć minut; Wisłostrada stała w korkach, jak co dzień. Władowałem się w sam środek piekła i nic nie było w stanie ukoić moich nerwów, kiedy raz po raz bezsensownie wybierałem numer Mai. Wściekałem się na innych kierowców, nie śpieszyli się tak jak ja.

W końcu udało mi się przebić w kierunku Żoliborza, na placu Inwalidów zaparkowałem „na zakazie” i pogałem do atelier mojej żony.

Klątkę schodową na poddaszu oświeciła tylko jedna licha żarówka. Maja dorobiła mi kiedyś klucz do pracowni, włożyłem go do zamka i walczyłem dłuższą chwilę, napotykając zaskakujący opór.

Nic dziwnego: drzwi były otwarte. Pchnąłem je, wszedłem do środka i od razu poczułem silny zapach rozpuszczalnika. Mimo tego deprymującego aromatu panował tu porządek, moja żona nie umiała inaczej pracować. Poza tym wewnątrz było za małe, żeby pozwolić sobie na bałagan.

Obraz leżał na podłodze. Fantazyjna mozaika, namalowana jak po zażyciu kwasu albo grzybów halucynogennych. W innych okolicznościach mógłbym być dumny, że Maja umiała tak malować na trzeźwo.

Popołudniowe światło wpadało przez ukośne okno. Dostrzegłem podłużne wgłębienie w rozległym płótnie – było przerwane. Wzory skłaniały się ku sobie, jakby chciały porozmawiać.

Płótno miało kilka metrów długości, więc ubytek nie był duży. No, ale był. Zastanawiałem się, czy da się to naprawić, czy obraz nie został bezpowrotnie zniszczony.

Wątpliwe, że spadła na niego jedna z mniejszych prac, opartych o ściany. Tych obrazów było zresztą bardzo mało, tak jak i krzesel. Poza nimi Maja nie umieściła w pracowni żadnych mebli.

Pochyliłem się nad wgłębieniem. Miało sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt centymetrów długości. Wstałem, by zyskać perspektywę, i następnie kucnąłem nad obrazem, delikatnie dotykając farby. A potem instynktownie przełożyłem dłoń na drugą stronę.

Przez moment błądziłem palcami po warstwie kurzu, dopóki nie dotknąłem czegoś o ostrej krawędzi. Uchwyciłem to i równie ostrożnie

wyciągnąłem, po czym podniosłem do światła. Trzymałem w dłoni kawałek paznokcia.

Przez kilkanaście lat związku z malarką nawet taki tłuk jak ja nauczył się rozróżniania kolorów. Dlatego wiedziałem teraz, że odłamek pomalowany jest lakierem o barwie koralu.

Nie musiałem długo główkować, czyjego paznokcia był kiedyś częścią. Maja niezmiennie malowała je w tym jednym kolorze, twierdząc, że koral najlepiej gra z jej cerą. Przywiązywała do tego ogromną wagę, rzadko robiła manicure sama i chroniła dłonie w trakcie pracy.

Odłamek paznokcia znalazłem po drugiej stronie rozleglejszej z zadr na obrazie. Kilkadziesiąt centymetrów powyżej dostrzegłem na płótnie jeszcze jedno, bardziej owalne i płytsze wgłębienie, gdzie nie doszło do przerwania materiału.

Niemal położyłem się teraz na obrazie, próbując dopasować swoją sylwetkę do zniszczeń. Miałem sto osiemdziesiąt centymetrów, Maja dziesięć mniej. Ale te dziesięć centymetrów nie robiło obecnie różnicy.

Tam gdzie było owalne wgłębienie, spoczęła zapewne głowa mojej żony, a tam gdzie przebiegało ostrzejsze cięcie, Maja złamała sobie paznokieć.

Poczułem dreszcz na karku.

Moja żona upadła na własny obraz, niszcząc wielomiesięczną pracę.

6

Wydawało się to upiorne i absurdalne zarazem. Maja była jedną z tych osób, które panują nad ruchami, zawsze są czyste, rzadko mówią coś głupiego, nie strzelają gaf. Innymi słowy, nie miała cech fajtlapy; jeśli już, to w naszym małżeństwie miałem je ja. Była spokojna, małomówna, precyzyjna. Jakie istniało prawdopodobieństwo, że potknęła się i upadła na własny obraz w tej minimalistycznej pracowni? Gdzie zniknęła?

Wyjąłem telefon i wybrałem z kontaktów numer najbliższej sąsiadki. A kiedy odebrała, poprosiłem, żeby zobaczyła, czy samochód Mai stoi na podjeździe. A jeśli nie, czy mogłaby zadzwonić do drzwi. Czekałem potem długie pięć minut. Odebrałem w tej samej sekundzie, kiedy usłyszałem sygnał.

– Bez samochodu, bez odpowiedzi – powiedziała. – Czy coś się stało?

– Nic – odparłem ze ściśniętym sercem. – Dziękuję. – Rozłączyłem się.

Wpatrzyłem się w ekran smartfona, gdzie wgrałem nasze rodzinne zdjęcie. Była jeszcze szansa, że Maja jest w drodze. Że zepsuła swój własny obraz, a teraz załatwia coś ważnego i zapomniała ładowarki do telefonu. I tak dalej.

Usiadłem na wolnym krześle, czując jednak, że w miejsce nadziei pojawia się lęk. Lęk osadzony na solidnych fundamentach.

Ponad rok temu przeżywaliśmy kryzys. Wszystko zaczęło się, kiedy pewnego dnia odebrałem Stasia i wstąpiłem po drodze na pocztę po książki, które zamówiłem na Amazonie. Sympatyczna pracowniczka poinformowała mnie z lekkim wahaniem:

– Jeszcze do żony coś przyszło.

Od kiedy się przeprowadziliśmy do Izabelina, Maja nie wyrobiła mi upoważnienia. Z drugiej strony urzędniczka nas znała, po co więc listonosz

miał chodzić bez sensu.

- Odbiorę za nią.
- Upoważnienie... – zaczęła swoją starą śpiewkę.
- Zostawię przy okazji, obiecuję – dopowiedziałem.

Z westchnieniem wydała mi małą kwadratową paczkę. Nadawcą był niejaki Marek Arens. Z czymś mi się kojarzyło to nazwisko, ale nie miałem pojęcia, czy znam faceta. I czego chciał od mojej żony. Pomachałem paczką: leciutka, w środku coś się majtało.

Tego dnia nie wytrzymałem. Gdybym mógł cofnąć czas, nie sprawdzałbym, kim jest Marek Arens, i może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Internet odpowiedział mi błyskawicznie: bohater powieści Dygata *Disneyland*. Przecież czytałem kiedyś, znakomita. Wydana za głębokiej komuny, ale napisana tak, że równie dobrze mogłaby się rozgrywać w USA. Dygata najwidoczniej czytał również nadawca paczki. Kimkolwiek był, wolał ukryć swoją tożsamość pod pseudonimem rodem z literatury.

Nie namyślając się, otworzyłem paczkę: było tam jeszcze jedno pudełko. Niebieskie z żółtymi gwiazdkami po bokach. Chwyciłem za nóż i przeciąłem tasiemki.

Klejnot błysnął głęboką czerwienią. Jako chłopak z niezamożnej rodziny rzadko widywałem kamienie szlachetne. Ale teraz nie miałem wątpliwości, że to właśnie mam przed oczami. Opadłem na kuchenny stół, który zaskrzypiał i zachwiał się pod moim ciężarem. Gorączkowo analizowałem fakty.

Maja zaczęła ostatnio odbierać telefony w ogrodzie – a sam telefon zaczął dzwonić dziwnie często. Skrupulatnie zamykała swoje konto mailowe, a nawet skasowała historię wyszukiwania na domowym komputerze: zorientowałem się, szukając świetnego przepisu, który kiedyś namierzyłem. Pusto. A przecież googłowska przeglądarka, z której korzystaliśmy, nie miała opcji automatycznego usuwania historii, bo dla internetowych gigantów wiedza o użytkownikach była zbyt cenna. Tę historię usunięto więc ręcznie.

Byłem wówczas przekonany, że to Iga. Do momentu, kiedy dotarło do mnie, że Iga nie używałaby domowego komputera, gdyby miała coś do ukrycia. Nie byliśmy przecież jednymi z tych rodziców, którzy przepatrują urządzenia mobilne należące do dzieci. Po co Iga miałaby ryzykować wpadkę na domowym komputerze, skoro żyła w swoim smartfonie, który tak bezmyślnie jej sprawiliśmy?

Co innego Maja. Moja żona nie była zbyt obeznana technologicznie, z przeglądarki w telefonie korzystała rzadko, z domowego peceta – gdzie, według niej, po prostu lepiej widziała – znacznie częściej.

To nie wszystko: co najmniej cztery razy w krótkim czasie umówiła się na lunch z agentką. Z agentką, która była tak leciwa, że ledwo wchodziła na trzecie piętro, gdzie znajdowało się jej biuro, a potem najchętniej nie opuszczała go aż do wieczora. A kiedy Maja spóźniła się kiedyś po Igę, zwała to na spotkanie z klientem. Klientem!

Zdziwiłem się wtedy, przecież trzymała swoją tożsamość w sekrecie, ale nic nie powiedziałem. A teraz przyszedł pocztą ten pierścionek z rubinem i nagle wszystko nabrało sensu. Poczułem się winny. Byłem nieobecny, przez tyle lat harując w Matterze. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz wybraliśmy się na randkę, kiedy kupiłem Mai prezent. Wkrótce po urodzeniu Stasia nasze życie łóżkowe praktycznie przestało istnieć. Nie pożądałem innych kobiet, pod wpływem przepracowania spadło mi libido i sądziłem, że tak samo jest u Mai. A przecież była młodą kobietą z potrzebami i gdzie zniknąłem ja, tam musiał pojawić się ktoś inny.

Obracałem pierścionek w zwilgotniałej dłoni. Rubin, bez dwóch zdań. Dlaczego nie diament? Taka czerwień to nie był kolor Mai, wołała bardziej złamane barwy. Może ten człowiek nie znał mojej żony aż tak dobrze?

To było pocieszające i napięcie na sekundę opadło, dopóki nie przeszło mnie niemiłe podejrzenie: czy klejnoty czegoś nie symbolizują? Czy nie przypisano każdemu osobnego znaczenia?

Pognałem na piętro w poszukiwaniu książki o kamieniach szlachetnych, od kilku lat naszego „prezentu przechodniego”, który czekał na to, by trafić do kolejnej osoby. Byłem pewien, że następny właściciel zrobi to samo co

my, czyli wpakuje książkę na półkę, a w sądnej godzinie prezentowego kryzysu przekaze ją kolejnej ofierze.

Nawet nie pamiętałem, od kogo dostaliśmy ten album. Kartki były sklejone. Zacząłem je niecierpliwie rozcinać, raniąc sobie przy tym palec. Krew zaplamiła książkę, nieoczekiwanie odbierając jej przechodni status.

Szafir symbolizował sprawiedliwość. Topaz siłę, a diamenty szczęście. To miało sens, kobiety, które nosiły ich dużo, z pewnością nie uznawały tego za pech. A rubin... „Rubin symbolizuje największe z bogactw...”: ckliwie brzmiąca odpowiedź była taka, jakiej się spodziewałem. Wydałem z siebie prychnięcie, ale tak naprawdę poczułem ból. Oczywiście, czerwony kamień symbolizował miłość.

Kiedy Maja wróciła tego dnia do domu, wręczyłem jej paczkę, którą obwiązałem nową wstążką.

– Do ciebie – powiedziałem.

Spojrzała na przesyłkę. Nie powiedziała ani słowa, widząc, że ją obserwuję. Nie byłem pewien, czy przeczytała dane nadawcy.

– Wydali ci ot tak? – zapytała.

– Jak widać.

– Może od agentki.

Tak, jeśli pani Lusia zaczęła wysyłać listy jako Marek Arens. Jednak nic nie powiedziałem, mając nadzieję, że Maja sama mi to wyjaśni.

– Co ci się stało w palec? – zapytała po chwili, zmieniając temat.

– Gary – skłamałem instynktownie i bez sensu, tak jakby wertowanie książek należało do grzesznych czynności.

Pokiwała głową, ale nie spojrzała mi w oczy.

Nie umiałem podejść do niej, chwycić za ramiona i wyciągnąć prawdy. A potem zanieść na górę, do sypialni. Nie byłem takim mężczyzną.

W milczeniu patrzyłem, jak moja żona od niechcienia wkłada paczuszkę do swojej przepastnej torby i kieruje się do domowej pracowni. Ręce mi drżały, kiedy przechodziła obok, ale nie potrafiłem jej objąć, choć tak bardzo pragnąłem. Dziesiątki razy później chciałem z nią porozmawiać, ale nie odważyłem się. Wiedziałem, że jeśli skłamię, wyczytam to w jej oczach.

Z kim mogła się związać? Przecież romanse zwykle wybuchają w biurze, do którego moja żona nie chodziła... Nagle pomyślałem, że za biuro służyła jej pracownia, a współpracownikiem mógł być bogaty klient, dla którego ostatnio malowała.

To on właśnie ukradł mi żonę, na pewno. Niedługo później zapytałem od niechcienia o tożsamość tego człowieka. Maja odwróciła głowę speszona, a potem powiedziała, że agentka nie przekazała jej tej informacji.

Znałem żonę na tyle, by wiedzieć, że kłamie.

Cierpiałem w milczeniu, oddając się pracy i licząc na to, że kryzys minie sam. Pochłaniały mnie problemy fundacji i jej dalsze finansowanie, a kiedy w końcu znalazł się sponsor, na chwilę zapomniałem o romansie Mai.

Zaraz po otrzymaniu pomyslnych wieści na temat grantu popędziłem na plac Inwalidów, lecz nie zastałem żony w pracowni. W domu również Mai nie było i napisała mi, że wróci później. A wieczorem już całkiem mechanicznie zrelacjonowałem jej, co się wydarzyło.

– No i? – zapytała. – Nie jesteś szczęśliwy z tego powodu?

– Jestem.

– Bo jakoś nie wyglądasz. – Przypatrzyła mi się uważnie.

– Maja... – zacząłem.

– Tak?

Wgapiąłem się w nią intensywnie, usiłując wyobrazić sobie, jaka będzie jej reakcja. Czy znowu skłamię, czy może z ulgą się przyzna, a następnego dnia wyprowadzi z domu. Z dziećmi. Albo to ja będę musiał się z niego wyprowadzić. Bo przecież zgodziłbym się na to, choćby dla dobra Igi i Stasia. Kochałem moje dzieci, więc nawet gdyby Maja zdradziła mnie z najlepszym przyjacielem, nigdy nie położyłbym na szali ich dobra. Nie mogły wychowywać się w rozbitej rodzinie.

Maja, niewierna żona, patrzyła na mnie wciąż tak samo uważnie i szczerze, ale to przecież nic nie znaczyło. Nie mogłem tego powiedzieć, nie teraz, kiedy razem z grantem pojawiła się iskra nadziei na przyszłość.

– Nic – powiedziałem. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła, pocałowaliśmy się i to mógłby być happy end.

Ale nie był. Obserwowałem, jak wracała do domu z pracowni coraz później i jak uśmiechała się do ekranu telefonu. Maja miała teraz swój świat i na równi z zazdrością poczułem absurdalne uczucie opuszczenia, bo mnie do niego nie zapraszała.

Chyba nie byłem zazdrosny w sensie fizycznym, nie po kilkunastu latach małżeństwa i nieuchronnej rutynie. Wcześniej często jednak czułem, że staliśmy się z Mają jedną osobą. A teraz jakaś część nas uniezależniła się i miała własne życie, a ja liczyłem tylko na to, że sprawa sama się zakończy i bliskość między nami wróci. Potem sam jednak zrobiłem rzecz najgorszą.

Natalia i Grzesiek Mroczkiewiczowie. Nasi przyjaciele, a właściwie jedyna przyjaciółka Mai i jej mąż. Mąż, który – fartownie, zważywszy na zażyłość naszych żon – okazał się całkiem sympatycznym facetem. Nie miałem pojęcia, jak długo dziewczyny się przyjaźnią, ale kiedy tylko wróciliśmy do kraju z Brazylii, Natalia pojawiła się w naszym życiu i wydawało się, że znają się z moją żoną od maleńkości.

Z rodzicami Maja nie utrzymywała kontaktu, Natalia była jedyną osobą z jej dawnego polskiego życia. Świetnie się składało, bo mieliśmy wówczas siebie, malutką Igę i mój pracoholizm. Na wiele innego nie starczało miejsca, szczególnie że wolne weekendy nie były wtedy częścią życia Chabrowskiego.

Znajomych spotykałem w pracy, a życie towarzyskie wypełniały mi żona i córka, potem Febus, a na końcu Staś. Ale Natalia często bywała u nas w domu; drobna, z pełnymi ustami, seksowna i o odrobinę nerwowych ruchach. Była kosmetolożką, pracowała w firmie dermatologicznej i zajmowała się sprzedażą kremów do aptek i drogerii. Podróżowała w związku z tym po całym kraju, nie musiała się jednak zaharowywać, bo Grzesiek, wykładowca na Politechnice Warszawskiej, prowadził poza uczelnią firmę technologiczną i świetnie sobie radził.

Mieszkali w Konstancinie, w posiadłości z basenem, sauną i kortami. Kiedy tylko miałem wolne, spędzałem tam z Mają i Igą weekendy. A kiedy

nie miałem, dziewczyny jeździły do Konstancina same. Grześ był dwadzieścia lat starszy od Natalii i miał już przedtem dzieci, których nigdy nie poznałem, wspólnych się nie doczekali. Nie wiedziałem dlaczego, w każdym razie Natalia przepadała za naszym potomstwem, szczególnie za Igą.

I wtedy mniej więcej, kiedy za dnia pracowałem ciężko na rozwój Natury, a wieczorami cierpiałem z powodu zdrady Mai, Mroczkiewiczowie zaprosili nas do siebie na weekend. Weekend z okazji dziesięciolecia ślubu. Impreza była w piątek, ale my mieliśmy zostać do niedzieli.

Trochę się dziwiłem, Maja przeważnie unikała tłumów. Podobno jednak zaproszono ledwo kilka osób, bo dla Grześka – za co lubiłem go jeszcze bardziej – relaks polegał na lekturze Lema, a nie na oddawaniu się dzikiej zabawie.

Był pyszny indyjski catering i rzeczywiście zjawilo się tylko kilka par. Maja szybko ulotniła się, by położyć Stasia, a ja dostałem tym samym dyspensę i mogłem się w końcu solidnie napić, co od początku stanowiło mój tajny plan.

Impreza przeniosła się do sauny, zostało nas pięcioro niedobitków i flaszka ziemniaczanego chopina pośród błyskawicznie topniejącego lodu. Zanim jednak stopniał, stopniało też nasze grono. Kolejne osoby uciekały od gorąca i już nie wracały. Bawiłem się świetnie i niemal zapomniałem o zdradzie Mai, aż do momentu, kiedy zorientowałem się, że zostaliśmy tylko we dwoje, ja i Natalia.

Gadaliśmy nie wiem o czym, a stres zszedł ze mnie i mimo że Natalia zdecydowanie była przyjaciółką Mai, a nie moją, bardzo ją w tym momencie lubiłem. Niewiele z tej rozmowy pamiętam, ale wiem, że pozwoliłem sobie na sporo szczerości.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę. Wdychałem zapach rozpływających się drogich kosmetyków. Zerkąłem na subtelny profil Natalii, zarys piersi pod szlafrokiem i krople spływające jej z czoła.

I nagle zapragnąłem spić te krople. Zamilkłem. Siedziałem nieruchomo jak mokry głąz. Głowa pulsowała mi od ciepła, w brzuchu odczułem

falowanie, w gardle urosła mi gula.

Nie wiem, czy Natalia też to czuła, ale i ona zamilkła. A ja, zanim zorientowałem się, co robię, przytknąłem wargi do jej policzka, a potem do ust. Czułem słoną wodę, smak kremów i pomadki – ryzykowna mieszanka w stanie upojenia alkoholowego, teraz jednak pociągająca.

Przez chwilę wydawało mi się, że Natalia odwzajemni mój pocałunek. Widziałem, jak jej usta rozchylają się, ale potem nagle odwróciła głowę, a ja zostałem w idiotycznej pozycji, wciąż mając w ustach owocowy posmak. Bez słowa patrzyła na palenisko. Potem wstała i podeszła do drzwi.

Otrzeźwiony, pojąłem, co zrobiłem. Zaraz wpadnie tu Grzesiek z rozwichrzonym włosiem i wywali mnie na zbity pysk. A potem Maja i Iga. Czy moja żona zrozumie, że jestem nieszczęśliwy? Wybaczy mi, jeśli się zorientuje, że wiem o jej zdradzie? Przecież nic się nie stało, cokolwiek Natalia powie, będę się wypierał. Usiłowałem coś wykombinować, ale myśli kotłowały mi się w głowie bez ładu i składu. W końcu wybąkałem:

– Natalia, przepraszam...

Nie odpowiedziała.

– Natalia – powtórzyłem bezmyślnie.

Zrobiła jakiś ruch. Wiedziałem, że uchyli drewniany skobel i pójdzie prosto do Grzeška. Czułem się jak kompletny idiota i nie wiedziałem, czy powinienem stawiać teraz czoło wściekłemu mężowi. Tchórzliwy, ale może trafny instynkt mówił mi: uciekaj! Ale jak? Samochodem po pijanemu? Wypiłem kilkanaście kieliszków. Znienacka czułem się trzeźwy, ale przecież to była ułuda.

Nagle uświadomiłem sobie, że Natalia jeszcze tam jest, że stoi przy drzwiach. Co najmniej sekundę, dwie za długo.

Zsunęła z siebie biały, puszysty szlafrok, a ja ujrzałem krągłe ramiona, zgrabne, choć niespecjalnie długie nogi. Kaskada włosów spadała jej na odsłonięte plecy. Nie odwróciła się. Zachłyśnięty nagłym poczuciem ulgi wstałem i podeszedłem do niej.

Zdaje mi się, że do ranka, który nastąpił, nie wiedziałem, co to wyrzuty sumienia. Zdradziłem gospodarza, zdradziłem rodzinę i nie miało znaczenia, że Maja zrobiła to pierwsza, czułem się po prostu podle. Za to Natalia kwitła, piękna i ponętna. Może gdyby prezentowała się tego poranka równie paskudnie jak ja, widziałbym w niej swoje odbicie i swoje poczucie winy. Tymczasem ona rzuciła mi kilka spojrzeń, które wcale nie sugerowały końca znajomości.

I tak też się stało: kilka dni później zrobiliśmy to znowu. I znowu. Stałem się cudzołożnikiem i miałem kochankę. Wcale nie czułem się lepiej, że się zemściłem, i z każdym dniem coraz bardziej tęskniłem za Mają. Marzyłem, by skończyła romans, wtedy i ja błyskawicznie zerwałbym swój.

Z czasem dostrzegłem, że i Natalia nie czuje się z tym wszystkim dobrze. Była przestraszona, a raz nawet upierała się, że ktoś ją śledzi. Zbyłem to śmiechem, bo Grzesiek był ostatnią osobą, która wynajęłaby detektywa. Natalia odparowała, że mógłbym się zdziwić. Dopytywana, nabrała jednak wody w usta, a ja odpuściłem: wystarczająco dużo już namieszałem w ich małżeństwie.

W końcu los zdecydował za mnie: nie pojawiłem się na spotkaniu, bo wyskoczyło mi coś innego. Była zła i oznajmiła, że teraz piłka po mojej stronie. Nie podjąłem jednak gry i nie odpisałem na kolejną wiadomość. Zrozumiała.

Niebawem skończyły się też telefony Mai, kasowanie pamięci komputera i zamykanie konta mailowego. Uznałem, że to koniec jej romansu i że jesteśmy kwita. Natalię widywałem niemal tak samo regularnie jak dawniej i nasze stosunki wróciły do jako takiej normy, choć czasem łapałem na sobie jej uważne spojrzenie.

Może był w nim wyrzut, a może podpowiadała mi to paranoja. Natomiast wobec Grześka miałem poczucie winy i trudno było mi podejmować dyskusję na temat kolektorów słonecznych, które na skalę globalną produkowała jego firma Solvex, choć miałem na to ogromną ochotę. Kiedy my w Naturze ślęczeliśmy nad naszymi analizami, które mało kto czytał, Grzesiek wprowadzał postęp w praktyczny i życiowy sposób.

A teraz, ponad rok później, siedziałem na krześle w pracowni mojej żony, wdychałem zapachy farb olejnych oraz rozpuszczalnika i miedliłem w głowie myśl, czy Maja mogła ode mnie odejść. Czy wiedząc o moim romansie, podjęła decyzję o ucieczce.

Już wieki temu dotarłem do przykrej dla mężczyzn prawdy, że kobiety opowiadają sobie wszystko. Natalia była najlepszą, ba, jedyną przyjaciółką Mai. Ich relacja miała charakter wręcz siostrzany. Mogła Mai wyznać prawdę, a Maja mogła podjąć decyzję, na jaką mnie nigdy nie byłoby stać.

Lecz przecież to wszystko działo się dawno. Ostatnie miesiące między nami były niezłe, jeśli nie bardzo dobre. Poza tym co z dziećmi? Nigdy nie pozostawiłaby ich tak z miejsca, bez słowa.

Coś musiało się stać. Zerknąłem na wieszak: wisiał na nim szalik. Czy przyjechała tu wczoraj? Wróciła pewnie do pracowni po obiedzie, kiedy zasnąłem. Szalik z delikatnej, cielistej bawełny należał do niej, choć mógł znaleźć się tu wcześniej. To tylko głupi szalik.

Co jednak z uszkodzeniem obrazu?

Podszedłem do wieszaka i zanurzyłem dłoń w miękkim materiale. Skupiłem się ze wszystkich sił, żeby przypomnieć sobie wczorajsze popołudnie.

Maja wychodząca z Igą z auta, Maja wchodząca do kuchni. Wysokie buty... nie, traperki, poza tym ciemnoszare dzinsy, brązowy płaszcz. Wreszcie szary szalik. Zastanowiłem się, czy to myślenie życzeniowe. Nie, na sto procent miała go na sobie. Do swojej fotograficznej pamięci, która wspierała mnie przez żmudne osiem lat wkuwania kodeksów, mogłem mieć zaufanie.

Odczułem dziwną ulgę, jakbym cokolwiek z tego zrozumiał. Ten szary szaliczek był jedynym stałym punktem w rzeczywistości, która nagle zaczęła się rozpadać.

Jeśli Maja tu wczoraj przyjechała, myślałem, musiała upaść na własny obraz, to jedyne wytłumaczenie. Z pewnością powiedziałyby mi, gdyby upadła na niego wcześniej. Tyle szczerości jeszcze między nami pozostało.

A więc ja zasnąłem na kanapie, a Maja przyjechała tutaj. Potknęła się, zniszczyła własne dzieło, po czym wybiegła, zapominając szalika?

Spojrzałem na telefon. Iga wysłała mi kolejną wiadomość: „Czy mam wrócić sama?”.

Nie należałem do panikarzy, nawet gdy oślepiłem w Matterze, nie straciłem kontroli nad sobą. Teraz jednak poczułem się bezradny.

Zesztywniałymi palcami wbiłem na ekranie 997.

7

Dyspozytorka skierowała mnie do komisariatu na Rydygiera. Na miejscu pozostawiłem zdjęcie Mai, które nosiłem w portfelu. Było sprzed kilku lat. Uśmiechała się do mnie, w sierpniowym słońcu wyglądała jeszcze bardziej skandynawsko niż zwykle.

Poinformowałem, że nie odebrała córki ze szkoły, co zdarzyło się po raz pierwszy. Powiedziałem o obrazie. Całkiem uprzejmy dyżurant przyjął moje zgłoszenie. Potwierdził: to normalne, że poszukują ludzi przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Maja Chabrowska została oficjalnie uznana za osobę zaginioną.

– Jeszcze jest sprawa z obrazem – dodałem, przełykając ślinę. – Nie wiem, czy nie doszło do przestępstwa.

– Jakiego?

– Porwania.

Zależało mi, żeby tak na to spojrzeli. Sprawą zająłby się wtedy pion dochodzeniowo-śledczy. Dyżurant nie wyglądał na przekonanego, ale polecił mi powrócić do pracowni i czekać.

Tak zrobiłem. Siedziałem teraz, spoglądając przez okno; słońce zaczęło powoli zachodzić, kąpiąc poddasze w szarości szybko przechodzącej w czerń. Nie miałem siły zapalić światła. Nagle się ocknąłem. Musiałem zadzwonić do Igi. Już ze dwie godziny siedziała w tej kawiarni.

– Iga – powiedziałem od razu, kiedy odebrała. – Weź taksówkę do domu.

– Co się stało? – zapytała. – Gdzie jest mama?

Zdało mi się, że słyszę drżenie w głosie córki.

– Coś ją zatrzymało. I mnie również. Taksówka, żadne autobusy. Prosto do domu. – Mówienie przychodziło mi z trudem.

– Nie mam żadnych pieniędzy.

Oczywiście.

– Robię ci przelew – powiedziałem.

– Co ze Stasiem? – zapytała.

– Zadzwoń do pani... yyyhhh... mamy Aleksa – powiedziałem, nie przypominając sobie nawet nazwiska Swetrowej.

– Ja mogłabym go zabrać – zasugerowała Iga.

Odczekałem chwilę. To brzmiało zachęcająco i Iga była wystarczająco duża, lecz od próby eliminacji Stasia z naszego życia nie minęło jeszcze pół roku. Nie zapomniałem.

– Nie, poleć prosto do domu.

– Mogę go odebrać od Aleksa – upierała się Iga, wcale mi nie pomagając.

– Kochanie, ja to zrobię, Staś na pewno będzie chciał się jeszcze pobawić – powiedziałem. – W domu odgrzej sobie tajskie, jak będziesz miała ochotę. Chyba trochę jeszcze zostało. A jak nie, w zamrażarce jest pizza z Biedronki. Ta z serem po bokach. Okej? – Próbowałem nadać głosowi neutralny ton, ale prawdę mówiąc, bliski już byłem płaczu. Nie obawiałem się utraty szacunku, ale nie chciałem przerazić córki.

– Ale z mamą wszystko dobrze? – chciała wiedzieć Iga.

– Tak, niedługo przyjedziemy – skłamałem. – Będziemy zaraz po tobie. I weź jakąś porządną korporację, Lux albo Wawa. Wawę wpisałem ci kiedyś do kontaktów w telefonie. Przeleję ci dwie stówki, starczy.

Nie czułem się komfortowo, wysyłając dwunastoletnią córkę z taksówkarzem do Izabelina, ale nie miałem nikogo innego. Moja mama nie żyła, ojciec... szkoda gadać. Znajomi byli w pracy. Poza tym nie chciałem wzbudzać paniki, nie, kiedy jeszcze wszystko mogło się dobrze skończyć.

To się jednak nigdy wcześniej nie zdarzyło. Maja była artystką, niewiele mówiła o swojej twórczości, bardziej wyczuwałem jej kryzysy, niż o nich słyszałem. Czy miała nagłą zapaść z powodu tego nieszczęsnego obrazu? Przeżywa załamanie nerwowe? Może jest w szpitalu? Czy jednak lekarze nie powinni mnie wtedy poinformować? Dbałem przecież, żebyśmy wszyscy mieli siebie nawzajem wpisanych w kontaktach pod hasłem „ICE”.

Od wizyty na komisariacie minęła już godzina. Wyrzależem na korytarz. To był jeden z tych starych budynków pełnych kobiet, które pochowały mężów i od ćwierć wieku mieszkają samotnie. Czemu ludzie tak długo żyją? Nie, korekta: czemu kobiety żyją znacznie dłużej niż mężczyźni? Takie energiczne babki często poruszają się od judasza do parapetu, wciąż żądne życia, wciąż ciekawe, co dzieje się dookoła.

Zapukałem do drzwi naprzeciwko. To również było poddasze, ale mieszkania po drugiej stronie korytarza miały większą powierzchnię niż klitka Mai. Drzwi otworzyły się całkiem szybko. Wyrzała z nich kobieta pod siedemdziesiątkę, bardzo życzliwa z twarzy.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziałem. – Żona ma pracownię naprzeciwko.

Rozpromieniła się, tak jakby jej radosne przeświadczenie, że jestem znajomym, znalazło potwierdzenie.

– No oczywiście, znamy się z Majeczką – oznajmiła, marszcząc jednocześnie brwi. – Coś się stało?

Poczułem się tak samo pokrzepiony tą oznaką zażyłości, jak zbity nią z tropu. Ja nigdy o sąsiadce nie słyzałem.

– Nie – powiedziałem. – Ale Maja nie odbiera telefonu, w domu też jej nie ma. Widziała ją pani może?

– Kiedy? Wczoraj? – zapytała.

– Tak – odparłem bez większej nadziei, ale mimo wszystko rad, że nie pada hasło karetki i ratowników.

Zastanowiła się.

– Wczoraj, kiedy sama wychodziłem z mieszkania, zobaczyłem, jak Maja zamykała drzwi. Ledwo mi mignęła.

– Sama?

– Zgadza się.

– Jest pani pewna, że zamykała drzwi? – zapytałem. Przecież zastałem je otwarte. – A nie wchodziła?

– Nie, z pewnością nie – powiedziała. – Męczyła się trochę z kluczem. Ale po chwili już schodziła po schodach.

Zamek był rzeczywiście stary, ale na siłę jakoś udawało mi się go otwierać. Myślałem, że moja żona jest w tym bardziej biegła. Przede wszystkim jednak drzwi zastałem otwarte. Czy Maja mogła się tak śpieszyć, że zrezygnowała z ich zamknięcia? Bo jeśli mocowała się z kluczem, to znaczy, że nie zapomniała go użyć.

– Spróbujcie przedmuchać zamek, jakieś paprochy mogły powłazić – doradziła kobieta.

– Tak, tak – odparłem z w roztertargnieniu. – Która to mogła być godzina?

Niemal czułem uderzenia własnego serca pod zawilgotniałą koszulą.

– Niech pomyślę, to było już po kursie malowania – poinformowała mnie kobieta i analizowała dalej. – Zapomniałam kupić proszku do pieczenia, musiałam się wrócić. No i zdążyłam obejrzeć tylko końcówkę *Wiadomości*. W takim razie nie później niż dwudziesta.

Zasępiłem się. Obiad skończyliśmy około osiemnastej. Zatem Maja musiała być w pracowni tylko chwilę. Szybko wyszła. Dokąd?

Usłyszałem odgłos kroków na schodach. Ktoś wchodził, a raczej tupał jak słoń, sapiąc przy tym ciężko. Obydwoje z sąsiadką spojrzeliśmy w kierunku klatki. Ukazała się spocona, ostrzyżona na krótko głowa, a potem potężny korpus. Mężczyzna oddychał głęboko.

– Wysoko – powiedział w końcu, ocierając czoło chusteczką. – Czemu nie ma windy?

– Obiekt zabytkowy – rzuciła krótko sąsiadka. Sama miała świetną sylwetkę i spoglądała na faceta z rozbawieniem.

– Pan zgłaszał zaginięcie? – zapytał.

Sąsiadka wyostrzyła spojrzenie.

– Tak. Mateusz Chabrowski – przedstawiłem się.

Nie wyjął odznaki. O ile to nie była moja autosugestia, miał w sobie coś z wilka. Patrzył na mnie intensywnie i jakoś tak nieprzyjemnie. A może to było tylko zmęczenie, bo wciąż ciężko oddychał.

Z bliska widziałem, że z policjanta jest kawał chłopca: nie tylko z powodu tuszy, także dlatego że mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Przy

swoich gabarytach ważył znacznie powyżej stu kilogramów, a na czerwonej twarzy miał wypisany zawał przed skończeniem pięćdziesiątki.

– Wejdziemy do środka? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzieć, zrobił krok, pchnął drzwi, których nie zdążyłem zamknąć, i już znalazł się w świątyni Mai. Otrząsnąłem się z zaskoczenia i podążyłem za nim. Zamykając drzwi, kiwnąłem głową sąsiadce, obserwującej nas z wypiekami na twarzy.

Mężczyzna stał odwrócony do mnie plecami. Zajmował pół pracowni, wydawał mi się wręcz bajkowo duży: wielkie stopy, uda, potężne plecy pod czarną jesionką.

– Przepraszam, z kim mam do czynienia? – zapytałem.

Odwrócił się, ale nie od razu.

– Podkomisarz Marcin Listek, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Bielany, Żoliborz – powiedział w końcu niechętnie, stając do mnie półprofilem. – Żona tu pracowała?

– Zgadza się.

– Nie odbiera telefonu? – zapytał. Niby patrzył na mnie, ale jednocześnie lustrował każdy kąt. Miał solidną nadwagę, ale nie nazwałbym go ospałym.

– Nie.

– Zdarzało jej się to wcześniej?

– Nigdy. I nie ma jej w domu – dodałem.

– Pracuje sama?

– Tak.

– Kiedy ostatni raz ją pan widział? – zapytał.

– Wczoraj, około osiemnastej.

– A później?

– Wyjechała. Samochodem.

– Tak po prostu?

– Tak.

– Kłóciliście się?

Stosował tę znaną mi jeszcze z praktyki adwokackiej manierę mieszania form: na „pan” i na „ty”. Tak zwracali się do mnie klienci z przydzielonych

urzędówek.

- Nie – odparłem, powstrzymując irytację.
- Ma pan świadków?
- Dlaczego? W domu były dzieciaki...
- W jakim wieku?
- Pięć i dwanaście.
- Gdzie są teraz?

Świdrował mnie głęboko osadzonymi oczkami. Zaczerwienionymi, tak jakby pił, miał alergię albo był bardzo wkurzony. Poczułem gniew. Miałem wystarczająco dużo doświadczenia zawodowego w kontaktach z policją, by ocenić, że zachowanie Listka klasyfikuje się poniżej normy. Korciło mnie, żeby wyznać, że jestem czynnym adwokatem, postawić tę górę chamstwa do pionu. Listek mógł jednak w odpowiedzi nie podjąć śledztwa.

– Starsze dziecko, córka, jedzie taksówką do domu, a synek jest u kolegi – poinformowałem, siląc się na spokój. – Jego mama się nimi zajmuje. Możemy wrócić do tematu mojej żony? Proszę spojrzeć. – Minałem go z pewnym trudem i podszedłem do obrazu. – Ktoś na niego upadł. Żona pracowała nad tym miesiącami. Jest sporo wart.

Spojrzał na obraz z powątpiewaniem.

– Tutaj jest przecięcie – kontynuowałem. – A tutaj to może być ślad głowy – powiedziałem, wskazując na owalne wgłębienie. – To zaś z pewnością jest paznokieć mojej żony. Znalazłem go pod płótnem.

Pokazałem mu odłamek. Obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

- Paznokieć? – zaśmiał się. – Skąd pan wie...
- Rozpoznaję lakier – wszedłem mu w słowo.
- Ależ pan spostrzegawczy. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie.
- Jesteśmy razem trzynaście lat. Nigdy nie użyła lakieru innej barwy.
- W takim razie obydwójce to wiecie.

Spojrzałem na niego.

- Nie rozumiem.
- Nieważne – rzucił, nagle jakby zamyślony.

Zweryfikowałem ocenę. Facet nie był poniżej normy, norma nie miała do Listka żadnego zastosowania.

– Niech pan posłucha. – Wiedziałem, że mój głos podniósł się o ton. – Jesteśmy zgodnym małżeństwem. Mamy dwójkę dzieciaków. Maja nie uciekła, mogła zostać porwana.

Po opowieści sąsiadki, która widziała Maję samą, trochę przestałem wierzyć w tę wersję wydarzeń. Wciąż jednak chciałem, żeby policja to zbadła.

– Może kogoś ma? – zapytał.

Sam przecież o tym myślałem. Trochę mnie zatkało, a on błyskawicznie się zorientował.

– Ma? – powtórzył pytanie, nagle bardziej czujny.

– Nie – odparłem, usiłując brzmieć zdecydowanie. Nie mogłem dopuścić, żeby przyjęli taką hipotezę. Listka niestety nie zmyliłem.

– Zna pan nazwisko? – Notes dyskretnie znalazł się w mięsistej dłoni policjanta, wyglądał tam jak pudełko zapalek.

– Dlaczego pan to sugeruje? – powiedziałem. – Nie, nie zniknęła.

– A kiedy pracowała?

– Bardzo rzadko, i tylko na pojedyncze noce.

– Co pan mi tutaj w ogóle pieprzy. – Nagle zrobił krok w moim kierunku, jakby chciał wyrzucić na mnie presję. Najbardziej bałem się jednak, że nadejście na obraz, niszcząc go ostatecznie.

– Na więcej niż jedną noc ani razu w ciągu trzynastu lat małżeństwa. A i na tę jedną wyłącznie wtedy, kiedy kończyła pracę nad obrazem – poprawiłem. – Mogę zobaczyć pana odznakę?

Poważnie zastanawiałem się nad złożeniem skargi. Wyglądało na to, że już nie mam nic do stracenia. Ale może właśnie tego Listek chciał: wytrącić mnie z równowagi.

Przez chwilę myślałem, że zlekceważy moją prośbę. Powolnym ruchem wyjął jednak legitymację, trzymaną razem z odznaką. Przystudiowałem ją, schował z powrotem.

– No to jak to było wczoraj? – podjął temat. – Wieczorem wyjechała z domu. Pan się o nią nie martwił, choć takie zniknięcia jej się nie zdarzały.

– Powiedziałem, że zdarzały się bardzo rzadko. To jest ten wyjątek. Zasnąłem na kanapie po kolacji i obudziłem się nad ranem. Żony nie zastałem w sypialni, w tych okolicznościach uznałem, że jest w pracowni i kończy obraz.

Przyglądał mi się. Czy byłem już w jego oczach podejrzanym? Statystyki policyjne nie są korzystne dla mężów zaginionych kobiet.

– Łóżka pan w domu nie ma? Często pan tak zasypia na kanapie?

Nie odpowiedziałem. Sam się nad tym zastanawiałem.

– Sporo pan zauważył – kontynuował Listek wobec mojego milczenia. – Szalik, pęknięcie na obrazie...

– To akurat trudno przegapić!

Nie spisywał protokołu i nie wyglądało to dobrze. Cokolwiek insynuował, kompletnie nie miał podstaw, żeby mnie zatrzymać.

– Gdzie mogłaby się udać? – zapytał.

– To nie jest ucieczka – powtórzyłem.

– Działka? Mieszkanie w mieście?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Nie mówiłem, że mieszkamy poza miastem.

Moje tętno ponownie podskoczyło.

Powiedziałem „dom”, to na pewno. A Izabelin? Na pewno nie, nawet czekałem, aż o to zapyta. Oczywiście podałem na komisariacie swoje dane osobowe i mogli mnie sprawdzić. Ale po co? Coś było nie tak. Pytania cisnęły mi się na usta, ale Listek nie pozwolił mi ich zadać.

– Proszę odpowiedzieć – zażądał.

– Mamy tylko dom. W Izabelinie.

– Ja panu powiem, co myślę, dla odmiany. – Listek zrobił krok w moim kierunku, tak że sam się cofnąłem, aż dotknąłem plecami klamki drzwi wejściowych. – Żona zaaranżowała ucieczkę, porwanie, nie ma znaczenia. Zrobiła dziurę w obrazku, zostawiła szalik i zniknęła. Potem, zgodnie z ustaleniami, wchodzi pan. Widzi pan to wszystko, dzwoni na policję.

Wysłuchuję tej nedorzecznej historii, kiwam głową, a potem zadaję pytanie – warknął i przysunął się do mnie już całkiem blisko. Górował nade mną centymetrami i kilkudziesięcioma kilogramami. – Gdzie naprawdę jest pańska żona? – syknął, aż drobinki śliny poleciały mi na twarz.

– Czy pan nas posądza o jakiś spisek? Przecież to nie ma sensu, kompletnie nie rozumiem – wymamrotałem.

Klamka wbijała mi się boleśnie w plecy. Listek zamilkł, wpatrując się we mnie uważnie.

– Szkoda czasu – oznajmił w końcu, chyba bardziej sam do siebie. Wyprostował się nieco. – Niech pan się przesunie.

Zrobił krok do tyłu, żebym mógł otworzyć drzwi. Nadepnął na ramę obrazu. Zatrzeszczała, ale nie pękła. Zaśmiał się.

– Podejmiecie śledztwo? – zapytałem, przesuając się nieco w bok.

– Och, tak – rzucił, wychodząc.

Już nie widziałem jednak jego twarzy. A po chwili usłyszałem sapanie na klatce schodowej, schodzenie szło Listkowi niewiele lepiej niż wchodzenie. Stałem otępiały, a jedyną konkretną myślą, która chodziła mi po głowie, było, aby dostał zapaści podczas następnych testów sprawnościowych.

Na twarzy Swetrowej malowała się mieszanina wyrzutu, ciekawości i niepokoju. Bardzo chciała coś wiedzieć i przetrzymała Stasia przy wyjściu, jakby dołączył już do jej stada bachorów na stałe. Mój syn był zadowolony, ale wyraźnie zmęczony. Pomyślałem, że przynajmniej Febus dostanie dziś wolne popołudnie.

Iga siedziała w kuchni przed komputerem. Na nasz widok podniosła wzrok. Nieczęsty na jej szczupłej twarzy wyraz troski sprawił, że upodobniła się do Mai. I to tak uderzająco, że na chwilę oniemiałem.

Oto nagle w naszej kuchni siedziała młodsza wersja mojej żony, jakby Iga wydorosłała znienacka w momencie zniknięcia matki. Uśmiechnąłem się do niej. Na tyle, na ile potrafiłem, obiecałem sobie nie pokazywać dzieciakom swojej bezradności. Iga chciała zadać mi pytanie, ale położyłem palec na ustach i wskazałem na Stasia.

– Tato, mogę coś obejrzeć? – zapytał syn.

Było mi to na rękę, a on musiał ochłonać po przedszkolnych igrzyskach śmierci. Kiwnąłem głową; po chwili usłyszałem, jak korzystając z chaosu w domu, odważnie puścił sobie normalnie zakazaną kreskówkę.

Nie miałem siły interweniować. Usiadłem przy stole kuchennym. Byłem zmęczony, jakby niebo zważyło mi się na głowę.

– Gdzie jest mama? – zapytała Iga. Siedziała na swoim ulubionym miejscu, przy barku oddzielającym kuchnię od przedpokoju. Z tej pozycji obserwowała życie rodzinne, choć przecież nieraz prosiliśmy ją z Mają, by dołączyła do nas przy stole. Ponownie zadałem sobie pytanie, jak taki chochlik wyrósł w naszym ciepłym i spokojnym w zasadzie domu. Mieliśmy w tym niewątpliwy udział, ale sam proces pozostał tajemnicą.

Teraz głos mojej córki brzmiał twardo i wiedziałem, że nie przyjmie żadnych banialuków. Nie miałem na nie nawet siły.

– Nie wiem – powiedziałem. – Może musiała na chwilę wyjechać. Niedługo wróci.

– Skąd wiesz?

– Bo bardzo nas wszystkich kocha i nie umiałaby bez nas wytrzymać.

Ku mojemu zaskoczeniu Iga pokiwała głową, jakby połknęła tę infantylną gadkę. Potem zapytała lekko łamiącym się głosem:

– A jeśli coś jej się stało?

Chciałem ją przytulić, ale coś mnie powstrzymało. Moment przepadł, położyłem tylko rękę na jej dłoni. Palce miała zimne.

– Nic jej nie jest – powiedziałem z mocą. – Pewnie chce popracować. Iga... potrzebuję twojej pomocy. Staś nie może się dowiedzieć.

Patrzyłem na córkę badawczo, czy na jej bladej twarzy nie pojawiają się żadne złe emocje. Nie dostrzegłem ich, wciąż była podobna do Mai, nagle starsza i jakaś taka przyjaźniejsza.

– Wiem – powiedziała.

– Jak się zapyta, powiesz, że mama pojechała ze swoim obrazem na wystawę i niedługo wróci. Okej?

– Okej – odparła. – Zawiadomiłeś policję?

– Tak – powiedziałem – i fundacje, które się zajmują zaginięciami. Myślałem... wiesz, żeby może jeszcze na Facebooku umieścić informację.

– Nie – skomentowała twardo.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Tam wszyscy robią sobie żarty – wyjaśniła.

Pokiwałem głową bez wielkiego przekonania. Sam nie miałem konta. Z drugiej strony, na co przydałby się profil Igi z tysiącami małolatów? Poza tym nie mogłem córki zbytnio w to angażować. Właściwie powiedziałem jej już wystarczająco dużo. Poczulem nagle, że ciąży na mnie obowiązek ochrony całej rodziny, i aż mnie zatkało, kiedy uświadomiłem sobie, że Mai nie ma i że nie może mi w tym pomóc. Że psychika, byt dzieci zależą teraz ode mnie, muszę o nie zadbać, bo przecież nikt mnie w tym nie wyręczy.

– W porządku, kochanie – odpowiedziałem, zastanawiając się, czy mógłbym do poszukiwań wykorzystać konto W Imię Natury. Podobno byliśmy bardzo popularni.

Żenia otarł czoło wierzchem dłoni. Zazwyczaj pocił się bardzo mało, ale tym razem trochę się wymęczył. Kobieta okazała się uparta, nawet kiedy przypiłował jej zęby metodą poznaną od czeczeńskich najemników. Trochę żałował, bo była naprawdę ładna, ale nie chciała współpracować. To niewiele zmieniało, powinna jednak wyznać prawdę.

Z tym ostatnim był problem.

Po trzech godzinach, kiedy jej twarz przypominała już krwawą maskę, wciąż nie wiedział wiele więcej i zaczynał się niepokoić. Od kiedy przyjechał do Polski, jego renoma rosła, a wraz z nią i stawki. Nie zamierzał ponieść porażki.

Już dawno zdjął kominiarkę, bo zabrudziła się krwią; co jak co, ale ciuchy motocyklowe szanował, stanowiły przedłużenie samego pojazdu. A wszystko, co wiązało się z maszynami, Żenia otaczał czcią, której nie starczało mu dla ludzi. Był w samym bezrękawniku: szczupłe, ale bardzo muskularne ramiona, pojedynczy tatuaż z krukiem w locie. Dżinsy i kowbojki. Niewiele ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ciemne włosy nad ładną chłopięcą twarzą z lekko spłaszczonym nosem. Miał dwadzieścia cztery lata, ale wyglądał na siedemnaście.

Zatamował kobiecie krew i sprawdził, czy nie odpłynęła. Jeszcze nie, jęczała cicho w kącie brudnej szopy. Do niedawna szeptała, że się pomylił. Przekonał ją, by przestała.

– Puszczę cię wolno, jeśli to powiesz – skłamał. – A potem zawiozę cię do szpitala – powiedział miękko swoją całkiem niezłą polszczyzną. – To tylko trzy pytania. Jeśli odpowiesz choć na jedno, będziesz wolna.

Nie wiedział, czy go widzi, czy postradała zmysły.

– Co się stało nad jeziorem Ochrenne?

Cisza. Odczekał chwilę.

– Kto zamordował Pawła Sępińskiego?

Przytrzymał ją za podbródek i uderzył płasko w twarz, trochę, by ją wyrwać z letargu, trochę, by znowu cierpiała. Wydała z siebie słaby jęk.

– Gdzie jest Jonasz Marzec? – zadał ostatnie pytanie.

Po czym siłą otworzył jej oczy i wpatrzył się w nie. Widziała go, ale nie znała odpowiedzi. Mówiła to tyle razy, że wreszcie jej uwierzył. Nie mogło być inaczej; zwyczajnie nie wiedziała.

Westchnął. Od wysiłku poczuł się głodny, szybka przemiana materii dała o sobie znać i zamarzył o McDonalddie na krajowej siódemce. Od kiedy Sierioża zabrał go do Maca w Odessie kilkanaście lat wcześniej, amerykańska sieciówka stała się dla niego uosobieniem kulinarnego raj. Wybrał numer na ekranie telefonu. Klient odebrał po trzecim sygnale, cyfrowo zmodulowanym głosem. Na Ukrainie nikt tego nie praktykował, gość musiał być kimś ważnym.

– Ona nie wie – powiedział krótko Żenia.

Cisza.

– Jesteś pewien?

– Tak – odparł – możesz mi zaufać.

Czekał. To była decyzja klienta, wołał usłyszeć te słowa.

Zakończył rozmowę i spojrzał na kobietę. Jakby na chwilę oprzytomniała, usiłowała się podnieść. Ale zmaltretowane kilkugodzinnym biciem mięśnie odmówiły posłuszeństwa i runęła na ziemię.

Dalsze tortury Żenia uznał za nieprofesjonalne.

Wziął nóż ze stołu, zaszedł kobietę od tyłu, złapał za włosy i zdecydowanym, krótkim ruchem poderznął jej gardło. Nie wydała z siebie nawet jęku, krew siknęła na jasną bluzkę.

Nie można było powiedzieć, że nie wykonał zadania. Teraz musiał tylko posprzątać i podrzucić kilka śladów.

Wyjął włos z koperty, którą odebrał ze swojej skrytki pocztowej. Umieścił go na ubraniu kobiety. Wystarczy, więcej nie trzeba. Na jasnej

bluzce czarny włos odznaczał się całkiem ładnie. Musiałyby mieć wyjątkowego pecha, żeby policja przeoczyła ten ślad.

Pozbierał ze stołu swoje rzeczy, a potem należało jeszcze sprzątnąć i zutylizować folię. Zwłoki miały pozostać, zgodnie z ustaleniem. Czasem to jest lepsze rozwiązanie, policja zajmie się mężem, a tak cały kraj by się zastanawiał, gdzie się podziała jakaś baba. W Polsce trąbiono o takich sprawach. Oczywiście prasa będzie się interesować, ale pojawienie się zwłok momentalnie zmniejsza napięcie i wkrótce nie ma o czym pisać.

Polska policja jeszcze o Żeni nie wiedziała. I tak miało pozostać. Nie wyciągnął informacji, poza tym jednak poszło jak z płatka.

Mimo to nie zamierzał pozostawać w Polsce zbyt długo. Był tu już trzy lata, zarobił sporo, a wydawał tylko na motocykle, które w większości naprawiał sam. Wystarczy. Zastanawiał się nad jakimś południowym krajem. Puszczali ostatnio w telewizji film o Portugalii, może tam powinien wyjechać. Na miejscu, jeśli będzie chciał, nawiąże nowe kontakty.

Usuwanie ludzi stało się dla Żeni obojętne, ale nie zamierzał gnść w więzieniu, za bardzo lubił jeździć. Poza swoją pracą na niczym się jednak nie znał. No, może tylko na motocyklach... To ostatnie mógł kiedyś wykorzystać. Założyć warsztat, żyć z maszynami i grzebać w nich.

Inne pomysły na przyszłość nie przychodziły Żeni Owieczkinowi do głowy. Czasami zdawał sobie sprawę z tego, że jest bardziej pusty w środku niż ci, których mijał na ulicy. Nigdy nie miał przyjaciół, miał za to starszych braci, z których tylko jeden odnosił się do niego z odrobiną sympatii.

Żenia urodził się jako trzeci i najmłodszy syn, siedem lat po Sierioży, dziewięć lat po Matwieju. Podobno była jeszcze siostra, zmarła w wieku kilku lat. Mama liczyła na kolejną córeczkę, ale w mieszkaniu na odeskich Czeremuszkach pojawił się on, Żenia. Taty nie pamiętał, zresztą jego ojciec nie był ojcem Sierioży i Matwieja. Kiedyś zapytał o to starszego brata.

– Nasza matka jak suka. Jak kundlica – odparł Matwiej, lecz w odpowiedzi na prośbę Żeni o wyjaśnienie tylko boleśnie zdzielił go w ucho. Łapę brat miał ciężką, przez wódkę zmarnował już niemały talent boksinerski.

Mama umarła, kiedy Żenia miał siedem lat. Zapiła się, zlał ją kochanek, a może Matwiej – nie wiedział. Pewnego dnia Sierioża powiedział mu, że mama już nie wróci – i tyle. Była bezzębna, śmierdziała alkoholem, papierosami oraz mężczyznami, ale czasem brała go na kolana, mierzwiła włosy, nazywała ukochanym synkiem. Kiedy umarła, rozbeczał się. Po raz ostatni.

Obaj starsi bracia nie chodzili już do szkół. Bardziej wytrwały Sierioża dotrwał do końca siódmej klasy. Edukacja Matwieja zakończyła się w nieznanym punkcie. Wcześniej w każdym razie niż sama jego bytność w szkole, bo łąził do niej jeszcze kolegować się i wyciągać pieniądze, dopóki ostatecznie go nie przegoniono.

Pili sporo, szczególnie Matwiej. Do śmierci matki najstarszy z rodzeństwa Owieczkinów zwracał niewielką uwagę na młodszego brata, czasem tylko wymierzając mu złośliwego kopniaka. Teraz jednak Żenia zaczął Matwieja wyraźnie wkurzać. Kopniaki stały się codziennością, tak samo jak podnoszenie za włosy, nagłe popychanie na meble i przypalanie.

Żenia nie płakał, instynktownie czując, że tylko pogorszy tym swoją sytuację. Nienawidził jednak Matwieja i trochę też Sierioży, choć ten ostatni w zasadzie nie bił, a czasem nawet zadbał o brata, przemycając jedzenie, kiedy akurat Matwiej zabronił chłopcu zbliżyć się do lodówki.

Żenia miał kilku kolegów na podwórku, ale ich matki nie lubiły „syna kurwy”, więc z reguły wałęsał się samotnie po mieście, podkradając jedzenie ze straganów – a był drobny i cichy jak kot – i unikał powrotu do domu aż do momentu, gdy Matwiej spadnie pod stół. Sztuką był potem krótki sen, żeby zdążyć wyjść, zanim brat się obudzi. Żenia przesypiał cztery, pięć godzin, wypijał czasem resztki alkoholu z libacji i wychodził na szarawe jeszcze ulice, żeby nie narazić się skacowanemu Matwiejowi.

Do „lepszej” Odessy, Odessy plaż, dyskotek i restauracji, Żenia się nie zapuszczał. Tam dopiero było co kraść: tłuste portfele zagranicznych turystów tylko czekały na jego zwinną, chudą dłoń. Po śmierci matki chłopiec nie miał jednak opiekuna. Wpadka równałaby się poprawczakowi, a co najmniej domowi dziecka. O tych ostatnich na Czeremuszkach

opowiadano okropne historie. Nie wszystkie rozumiał, wystarczyło jednak, by słowo „seks” nie kojarzyło się chłopcu zbyt dobrze.

Z Czeremuszek do nabrzeża był kawałek drogi: pokonywał ją na piechotę, a potem siadał na betonowych płytach nad brzegiem morza. Czasem rozbierał się do majtek i wskakiwał do wody, w lecie ciepłej jak zupa. A potem gapił się w nieskończoną przestrzeń przed sobą, wyobrażając sobie, że któregoś dnia odpłynie z Odessy. Stanie się bogaty jak prezydent i silny jak niedźwiedź, a jak wróci, to pobije Matwieja. Albo wsadzi go do więzienia.

Nie bardzo miał pomysł, jak dojść do tej potęgi; o sobie Żenia wiedział tyle tylko, że nienawidzi brata.

I że kocha motocykle.

Stale kręcił się koło Kruków, kiedy zbierali się przy ulicy Petrowa. Z bezpiecznej odległości podziwiał członków gangu motocyklowego: barczystych brodaczy w kurtkach lub skórzanych kamizelkach z naszywką kruka na białym tle. Gadali i rechotali głośno, palili, czasem pociągali z butelki, sporo majstrowali przy motorach. Żenię interesowały przede wszystkim same motocykle, lśniące, masywne, ale zgrabne. Amerykańskie marki, głównie harleye, pośród gorszych w jego oczach maszyn brytyjskich, niemieckich i japońskich.

Jeśli kimś Żenia chciał być, to tylko jednym z nich, należeć do Kruków.

Lecz cała sztuka mimikry zawiodła, kiedy Matwiej dorwał go któregoś dnia, złapał za twarz i przyjrzał mu się dziwnie długo. Nie strzelił go w ucho, tylko wgapił się, a potem powiedział:

– Nadasz się. Nigdzie dzisiaj nie idziesz.

Zamknął Żenię w pokoju, gdzie ten miał kawałek brudnego materaca, i rzucił bratu stary komiks z X-menami. Żenia wzruszył ramionami i chwilę przeglądał pomarszczone, pożółkłe, znane mu niemal na pamięć strony, a po chwili zasnął z nudów.

Obudził go Matwiej.

– Masz gościa – rzucił. – Rób wszystko, co powie, bo ci nogi połamię.

Za Matwiejem wszedł jakiś facet, a po chwili za bratem zamknęły się drzwi. Mężczyzna był zwyczajny, stary, jak większość znajomych Matwieja. Tylko oczy miał jakieś takie nieruchome, kamienne. Spojrzał na Żenię obojętnie i zaczął rozpinąć pasek. Żenia gapił się na niego, nie mógł odwrócić wzroku od tego, co mężczyzna robił i co wyskoczyło z jego poślódków majtek.

Przez moment nie wiedział, co to jest: ogromny i zakrzywiony, niemal czarny, nabrzmiały członek faceta sterczał w jego stronę jak kałasznikow. Ale przecież Żenia wiedział, że to ten sam organ co jego własny mały fiutek, choć trudno było uwierzyć, że ten świński ogonek może się kiedyś zmienić w takiego potwora.

Oczy mężczyzny świeciły.

– Odwróć się – polecił.

Żenia skulił się na brudnym materacu, wciąż nie mógł oderwać wzroku od jego członka.

– Rozbierz się i odwróć – polecił mężczyzna bardziej stanowczym tonem.

– Nie chcę – powiedział w końcu Żenia. Jego własny głos zabrzmiał jakby z oddali.

– Nieważne. Zapłaciłem za ciebie. Nie słyszałeś, co powiedział brat?

Mężczyzna podszedł bliżej i usiadł koło Żeni. Nagle silnym ruchem chwycił go za kark i przygniótł do materaca. Z twarzą w brudnej pościeli Żenia nie mógł oddychać i bał się, że się udusi. Miotał się, ale facet był silniejszy. Na chwilę odzyskał dostęp do powietrza, jednak nic to nie dało. Mężczyzna zsunął mu dres i majtki, a potem nastąpił już tylko ból. Dużo bólu.

Następnego dnia Matwiej był dla Żeni trochę miłszy, a zapijaczona oczka Sierioży spoglądały nawet z pewną troską. Coś Żeni mówiło, że od teraz bracia będą się do niego inaczej odnosić. Tak było aż do następnego dnia. Kiedy wrócił z podwórka, Matwiej od razu wymierzył mu policzek.

– Gdzie się szwendałeś? – zapytał.

– Matwiej... – zaczął Żenia, ale brat złapał go za kołnierz i zaciągnął do pokoju.

– Siedź tu. – Zatrzasnął drzwi. Żenia usiadł na łóżku. Pościel wciąż pachniała tamtym facetem, nie chciał w niej spać, przykrył się starym kocem. Cały dygotał. Drzwi otworzyły się i wszedł mężczyzna. Tego Żenia kojarzył, wpadał do braci na libacje. Świńskie oczka patrzyły na Żenię z pożądaniem. Za gościem wsunął się Matwiej.

– Młody, tylko nie odpierdalaj nic tym razem – ostrzegł. – Słyszałem, że nie byłeś uległy. Masz być uprzejmy dla naszych gości. Płacą za to.

Mężczyzna patrzył jak urzeczony w Żenię, oprzytomniał dopiero po żelaznym uścisku Matwieja. Wyszarpał portfel z brudnych spodni i wyciągnął zwitek banknotów. Matwiej przeliczył i powiedział:

– Starczy. Miłej zabawy, chłopaki – zaśmiał się i wyszedł z pokoju.

Sierioża zaczął uciekać przed spojrzeniem Żeni, a ten zaczął nienawidzić go prawie tak samo jak Matwieja. Próbował raz nawiać, ale szła zima, spędził noc na ulicy, gdzie o mało co nie spotkało go to samo co w domu. Kiedy zziębnięty pojawił się rano w mieszkaniu, Matwiej zbił go na kwaśne jabłko.

Przez następne miesiące Żenia był uległy. W nocy. A za dnia, kiedy się pałętał bez większego celu, podnosił na placach budowy betonowe klocki. Obserwował chłopaków z osiedla na ich zaimprovizowanej siłowni. Naśladował później ćwiczenia, które wykonywali, poza tym robił pompki i podciągał się, gdzie tylko się dało, a na targach kradł bardzo już bezczelnie i zazwyczaj nie chodził głodny.

Uderzał pięścią w ścianę, ale tylko do pierwszej krwi, bo nie chciał, by Matwiej zauważył. Przy każdym uderzeniu wyobrażał sobie, że ściana to głowa brata, że rozbija ją na kawałki, że wypada z niej mózg czy co innego tam siedzi. Matwiej ryczy z bólu, a on uderza mocniej i mocniej... Czuł, że jest silniejszy, choć wciąż mógł dotknąć swoich żeber pod koszulką.

A w nocy, kiedy go nachodzili, marzył, że ucieka na motorze, najlepiej czarnym jak śmierć harleyu fatboy, jakim jeździł odeski szef Kruków, Żmija. Daleko od Odessy, od Czeremuszek, tam, gdzie nikt go nie zna.

Kiedyś nad ranem Matwiej ocucił Żenię uderzeniem w ucho.

– Młody, budź się. Jest klient.

Stał za nim Igor, niestary facet z rzadką bródką, Żenia znał go z osiedla. Mężczyzna mieszkał z matką i podobno sypiał z nią w jednym łóżku, dzieciaki strasznie go unikały. Chyba też był pijany, Żenia słyszał odgłosy imprezy z kuchni. Igor patrzył na niego obojętnie.

– Podoba się, znasz stawkę – powiedział Matwiej.

– Zapłacę po.

– Przed.

– Nie wychujam cię, Matwiej.

Brat popatrzył na Igora i machnął ręką.

– W porządku. Nikt nie narzeka na mojego bracholka – zaśmiał się. – Tylko nie nawiej mi później.

Żenia przyglądał się facetowi. W jakiś sposób był obrzydliwszy od wszystkich poprzednich. Czuł przez skórę, że ten może zrobić mu jeszcze większą krzywdę. Cały się skulił ze strachu. Matwiej wyszedł, a gość się rozebrał. Miał cienkiego penisa i chude, nieowłosione nogi. Zdjął pasek od spodni i powiedział:

– Zawiążę ci to na ustach.

– Nie chcę.

– Nie obchodzi mnie to.

Podszedł do Żeni. Nie był zupełnym mizerakiem, ręce i dłonie miał gorylowate, ale z pewnością nie bywał na osiedlowej siłowni, nawet jeśli ktoś by go tam wpuszczał.

Uśmiechnął się do Żeni, a potem rzucił na niego z paskiem w dłoni.

Lecz Żenia był szybszy. Zrobił unik i uderzył Igora z byka w chudą klatkę piersiową, aż ten zwałił się na plecy. Żenia skoczył na niego z małpią zręcznością. Igor coś jęczał, a Żenia uniósł pięść i strzelił go w nos. Zabolalo, ale tylko za pierwszym razem. Kiedy zobaczył, że z nosa mężczyzny tryska krew, cały ból przeminął i Żenia poczuł, że może uderzać dalej.

I zaczął go tłuc, tak jakby walił w tę ścianę, w porównaniu z którą twarz zdawała mu się teraz miękką poduszką. Nie wiedział, jak długo bił, choć

widział, że wokoło jest bardzo dużo krwi. To mogło trwać sekundy, minuty, godziny, aż się zmęczył, a Igor wydał z siebie zwierzęcy skowyt. Żenia spojrzał na dłonie, były czerwone, jakby włożył je w brzuch krowy. Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Matwiej, a potem przez dłuższą chwilę gapił się w milczeniu.

Żenia przetoczył się na łóżko i skulił. Nienawidził Matwieja, ale wciąż się go bał. Wiedział, że wszystkie kary i razy, jakie otrzymał do tej pory, nie będą się równać z biciem, które go czeka teraz. Przez chwilę rozważał, czy nie wyskoczyć przez okno z szóstego piętra.

Brat musiał być już dobrze zalany. Za jego plecami Żenia ujrzał Sieriożę, ten wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

Matwiej kopnął lekko Igora, który wciąż jęczał. A potem splunął na niego. Następnie spojrzał na Żenię. Jakoś inaczej.

– Wynieś to ścierwo, Sierioża – powiedział.

Żenia nie wiedział jeszcze, że Matwiej znalazł właśnie nowy sposób na zarabianie na młodszym bracie.

Trochę to jeszcze zajęło, zanim Żenia uprzątnął i przygotował szopę na przyjście policji. Dopiero wtedy zdjął gumowe rękawiczki, odsłaniając poszatkowane bliznami dłonie. Pamiątkę po przypaleniach Matwieja.

Zamknął drzwi i wyszedł na zewnątrz, oddychając przyjemnym chłodem. Nie było nic więcej do roboty. Zgodnie z instrukcją samochód kobiety miał pozostać na miejscu.

Żenia wsiadł na motor, zapalił silnik i poczuł przypływ dobrego humoru. Zarobił dobry pieniądz, który łatwo przyszedł.

W nocy z czwartku na piątek wciąż spoglądałem na telefon. Bezduszna maszynka milczała. Spałem może z piętnaście minut; minęła już szósta i wiedziałem, że zaraz trzeba będzie obudzić Stasia, wypuścić Febusa do ogrodu, a potem powalczyć z Igą, aby wstała.

Maja zniknęła, ale życie toczyło się dalej. Dzieciaki same się do szkoły i przedszkola nie wyprawiają, śniadanie samo się nie przygotowuje. Czy powinniśmy w tej sytuacji wleźć we czworo na kanapę i wyć z tęsknoty? A może cierpliwie czekać w domu, aż Maja powróci sama?

Czy mogła karać dzieci za moje grzechy? Z czasem w każdym małżeństwie opadają mirażem wzajemnej doskonałości. Wiedziałem, że Mai nieobca jest bierna agresja, dłuższe okresy milczenia jako forma kary za moje winy. Ale dzieci to co innego. Była świetną, uważną matką, macierzyństwo nie stanowiło dla niej dodatku do kariery artystycznej. Nie zniknęłaby z ich życia tak nagle. Kiedy to pomyślałem, po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może nie żyć.

Leżałem napięty jak struna, oczy bolały mnie ze zmęczenia, język miałem zeschnięty, czułem się osłabiony, albo nawet chory. Pomyślałem, że przygotuję dzieciakom obfite śniadanie, pankejki z malinami albo racuchy. Będę udawać, że wszystko gra. Dzieci są przecież naiwne, wyczuwają fałsz, ale można je oszukać.

Włożyłem szlafrok i zszedłem na dół, do kuchni. Robiło się coraz zimniej, a Siekierki chyba wciąż urlopowwały: kaloryfery były ledwo letnie. Apogeum trucia mieliśmy jeszcze przed sobą i pomyślałem o Duńczykach, którzy podłączyli swoje krematoria do sieci ciepłowniczej. Dyskutowaliśmy o tym ostatnio w pracy, czy to nowoczesność, czy przekroczenie granic. W Naturze, oczywiście, większość była za.

Nastawiłem kawę i przez dłuższy czas bezmyślnie stałem nad kuchenką, może nawet zasnąłem na chwilę, opierając się ręką o okap. Otrzeźwił mnie dopiero zapach i hałas przelewającej się kawiarki.

Wypiłem jedną filiżankę, a zaraz potem drugą. Kofeina dotarła do układu nerwowego i świat nabrał barw. Usiadłem przy naszym kuchennym stole; ważyłem dzisiaj z tonę. Jeszcze nie tak dawno naprzeciwno miałem Maję, a teraz jej ulubione krzesło straszło pustką.

„Gdzie jesteś?”, chciałem wykrzyknąć na całe gardło.

Ostatni raz widziałem żonę przed dwoma dniami właśnie w tym miejscu. Zrobiłem pad thai i było nam tak dobrze.

O czym rozmawialiśmy? Przez chwilę kompletnie nie mogłem sobie przypomnieć. Wyteżyłem pamięć i w końcu pojawiło się wspomnienie.

Pokazałem jej zdjęcie. A potem? Oddała mi fotografię i poszedłem oglądać film.

Oddała?

Odłożyłem kubek i wbiegłem po schodach po portfel. Zajrzałem do niego: nic. Przeszukałem spodnie, też nic. Jeszcze raz skupiłem się na scenie sprzed dwóch dni. Nie, z pewnością Maja nie oddała mi zdjęcia. A potem wyjechała.

Włączyłem komputer i zalogowałem się do pracowej skrzynki pocztowej. Fotografię znalazłem w folderze Wysłane: facet, właściwie chłopak, w czapce. Na śniegu. W tle jezioro i drewniana chatka. Wszystko zmrożone, styczeń, może luty. Mężczyzna miał zamknięte oczy, a w całej jego sylwetce widziałem coś upiornego.

Kliknąłem „drukuj”, sprzęt w gabinecie zaczął się hałaśliwie budzić do życia, a ja niemal podskoczyłem, czując na kolanach ciepły, wilgotny nos. Febus, stęskniony po całonocnej rozłące, przyszedł się przywitać. Ciekawe, czy też myślał o Mai, czy zauważył jej brak.

Wypuściłem go do ogrodu, wiało już chłodem, w suchym powietrzu wyczuwałem zapowiedź zimy. Przez kolejne miesiące dzień będzie się nieubłaganie skracał, aż Polacy odniosą wrażenie, że żyją w ciemni.

Oddziały psychiatryczne zapełnią się pacjentami, wzrośnie spożycie alkoholu, a może i wskaźnik samobójstw.

Potem przyjdą święta, jeden z lepszych wynalazków ludzkości. Po tym maratonie konsumpcji dzień zacznie się wydłużać, a światło dla pogody ducha jest ważniejsze od ciepła.

Ale teraz mogłem tylko patrzeć, jak dzień podąża w stronę mroku, a wraz z nim nasza rodzina.

Febik szczechnął głośno. Patrzył na mnie z radosnym oczekiwaniem w ślepiach, widziałem w nich propozycję: „A może by tak na spacer?”. Szczechnął jeszcze raz i wytarzał się po trawniku. Jego sierść lśniła od kropelek rosy i taki był zadowolony, że otrząsnąłem się na chwilę ze swoich ponurych myśli.

Poszedłem po zdjęcie, wydruk był ziarnisty, może dlatego mężczyzna wyglądał jeszcze bardziej trupio. Wgapiłem się w fotografię, jakby mógł mi wyjaśnić, kim jest. I czy miał albo ma jakiś związek ze zniknięciem Mai.

Ktoś, kto przyniósł zdjęcie do Natury, mógł zakładać, że pokażę je żonie. Ale czy nie lepiej byłoby jej przekazać fotografię bezpośrednio? Po co ta cała zabawa? Dlaczego?

Znałem życie Mai: składaliśmy się na nie my, jej sztuka i agentka, gdzieś tam dalej byli Mroczkiewiczowie. Tyle. Nie miała miejsca na więcej i nie chciała. A przedtem?

Sięgnąłem pamięcią do naszego pierwszego spotkania. Szczupła dziewczyna z jasnymi włosami. Karnacją oczywiście wyróżniała się w tłumie plażowiczów na Ipanemie. Może dlatego podszedłem bliżej, obejrzeć to, co wystawiała.

Czułem się w Rio samotny, tęskniłem za Polską i za Starym Kontynentem. Brazylia, do której wysłał mnie Matter, to klimatycznie i kulturowo nie był mój świat. A może nie miał szans stać się moim, bo całe dnie spędzałem w zabójczo klimatyzowanym biurze, od którego już chorowałem na zatoki. Dlatego teraz całkiem przyjemnie spacerowało mi się po tej spokojniejszej z miejskich plaż Rio de Janeiro. Wdychałem zapach Atlantyku, piasek wsypywał mi się butów, nie chciało mi się ich zdejmować.

Dziewczyna nie wystawiała tandetnych bohomazów ani karykatur, które znajdziesz w każdym nadmorskim kurorcie, tylko olejne abstrakcje. Niewielkich rozmiarów płótna przedstawiały trudne do określenia motywy. Może morskie, a może nie. Wszystko było jakieś takie pofałdowane, koliste, kolory niepokojące, „postacie” zaś powyginane. Nie mogłem oderwać wzroku.

– Ile kosztują twoje obrazy? – zapytałem po angielsku.

– Ile są warte dla ciebie? – odpowiedziała, mrużąc oczy od słońca.

Spojrzałem na obrazy.

– Nie rozumiesz ich – skomentowała z żartobliwą rezygnacją.

– Nieprawda – zaprzeczyłem. – Są bardzo oryginalne.

– Mam oddane grono fanów – powiedziała i teraz nie wiedziałem, do czego się odnosi, bo była bardzo ładna.

W jej głosie wyczułem jednak lekką kpinę. Wzruszyłem ramionami.

– Ten mi się podoba. – Wskazałem na jeden z mniejszych obrazów. Wydawało mi się, że przedstawia góry. Na środku znajdowała się pomarańczowa plama, jakby ogień, a dookoła ponure granatowe kształty przypominające masyw skalny.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie sprzedam go – oznajmiła.

– Jak to?

Przyjrzała mi się.

– Jestem do tego obrazu emocjonalnie przywiązana – oświadczyła.

– Niespecjalna z ciebie bizneswoman, co? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu niepotrzebnie go wystawiłam. Nie chcę, żeby wisiał w jakimś biurze.

Uciekła spojrzeniem, ale zauważyłem, że zdążyła otaksować mój garnitur i błyszczące buty, teraz pod warstwą piasku.

– Właśnie mnie oceniłaś – powiedziałem.

Ale nie czułem złości. Bogu dzięki za angielski, w którym można zwracać się do nieznannej osoby na „ty”. Wybuchnąłem śmiechem, może

z przepracowania. A może śmiałem się ze swojego garniturku na plaży, ze swojej korporacyjnej niedoli.

Spojrzała na mnie i również zaczęła się śmiać.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu nie lecę na japiszonów.

Mimo to dała się zaprosić na kawę, i to w konkretnym miejscu i czasie. Zapisała mi też numer na karteczce.

– Nie wiem, jak masz na imię – powiedziałem.

Zawahała się. Może na imię było za wcześnie.

– Maja – odparła jednak w końcu.

– A ja Mateusz.

– Mateusz?

– Tak. Ale możesz mówić na mnie Matt, jak wszyscy tutaj.

– Nie o to chodzi – powiedziała, a przez jej opaloną twarz przeszła lekka chmurka. – Jesteś z Polski? – zapytała w rodzimym języku.

Zacząłem się śmiać, po chwili uśmiechnęła się i ona, ale odniosłem wrażenie, że trochę sztywno. Może nie lubiła mężczyzn z Polski, nie ona pierwsza ze znanych mi dziewczyn preferowała by obcokrajowców. Kiedy się żegnaliśmy, była zamyślona.

Następnego dnia zadzwoniłem pod numer, który mi dała, ale nikt nie odebrał. Zaryzykowałem więc: wystrojony w letnią marynarkę czekałem spocony i w nerwach o umówionej porze, trzymając w ręku różę, którą trudno było w Rio dostać.

Spóźniła się, lecz przyszła, to najważniejsze. Już z daleka widziałem jej jasną postać, wyróżniającą się na kolorowej brazylijskiej ulicy. Miała na sobie białą sukienkę i patrzyła mi prosto w oczy, nie uciekała spojrzeniem.

Co sprawiło, że wyjechała? Chęć przygód, odparła. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, głównie o Brazylii – nie odniosłem wrażenia, że czuje się tu dobrze. Żadne z nas nie przynudzało historiami o swoich rodzinach: osierocony przez matkę i z patologicznym ojcem nie miałem się czym chwalić, a i ona nie była skora do opowieści.

Potem nastąpiło drugie spotkanie, poszliśmy do churrascarii i podobał mi się jej apetyt przy pięknie zarumienionej picanhi: znamię temperamentu.

Umówiliśmy się na kolejną randkę i byliśmy coraz bliżej. Wiedziałem, że jeśli jej teraz nie pocałuję, przegapię tę chwilę. Kiedy to zrobiłem, napotkałem wdzięczne i życzliwe usta. A potem to ona powiedziała, że może zobacze jej mieszkanie. Ale ja zaproponowałem swoje, bo bliżej.

Byłem odrętwiały ze zdenerwowania, kiedy jednak w końcu dotknąłem jej ręki, okazało się, że ona jest gotowa. Weszła mi na kolana, a potem były już tylko usta, nogi, zapach jej skóry i włosów, krótki gorączkowy sen... Przez następne dwa dni nie wychodziliśmy z łóżka. Zadzwoiłem do firmy, że jestem chory, obrazki Mai również poczekały.

Byliśmy sobą całkowicie pochłonięci i kilka tygodni później Maja ogłosiła, że chyba jest w ciąży. A potem, że na pewno. Nasza naturalna antykoncepcja okazała się nieskuteczna. Jeśli z czyjejs winy, to z mojej. Bardziej lub mniej świadomie nie chciałem wypuszczać tej niesamowitej dziewczyny z rąk. Dostrzegłem w niej bezbronność i zmysłowość zarazem i nie mogłem pojąć, jak mogła być przedtem sama. Podobno mieszkała w Rio od niedawna i nie podobali jej się miejscowi. Powiedziała, że czekała na mnie. No i przybyłem.

W tym stanie ducha, w jakim byłem, jej ciąża nie stanowiła dla mnie problemu, choć przecież jeszcze niczego o swojej dziewczynie nie wiedziałem. Ledwo przypomniałem sobie jej nazwisko, które podała w rozmowie telefonicznej z konsulem, gdzie mieliśmy się pobrać: Pilaszek.

Maja Pilaszek.

Pracowałem ciężko, ale zarabiałem nieźle i mogłem się ustatkować. Ale mój kontrakt w Brazylii nie obowiązywał długo.

Poszliśmy do lekarza. Z ciążą wszystko było w porządku. Pełen radości oznajmiłem Mai, że możemy wracać do Polski, że transakcja, przy której pracowałem, jest zamknięta. Nie wiem, czemu sądziłem, że będzie z tego powodu szczęśliwa. Rozumowałem egoistycznie. Bo zdecydowanie nie była. Bardzo nie chciała wracać, powiedziała, że nie łączy jej z Polską nic poza pochodzeniem. Powiedziała, że jej ojczyzną jest świat.

To dlaczego wybrała średnio przystojnego Polaka w morzu pięknych Brazylijczyków? Gotowych bić jej pokłony, co do tego miałem pewnośc. No, ale wybrała i nie byliśmy już sami. Była z nami Iga. W pewnym momencie rozmawiałem nawet z szefem o przedłużeniu pobytu, ale w przeciwieństwie do Mai tęskniłem za Polską, aż mnie bebechy bolały, i nie chciałem, by moje dziecko wychowywało się w Rio. Za dużo się już naoglądałem tego miasta. Cierpiałem, a Maja cierpiała ze mną; już wtedy wiedziałem, jaka jest empatyczna.

W końcu się złamała. Powiedziała:

– Jedźmy. Wracajmy do domu.

Widziałem, jak denerwowała się w samolocie i kiedy lądowaliśmy na Okęciu. Patrzyła wokół niemal z lękiem. Trzymałem ją za rękę i obiecywałem dom, dzieci, rodzinę, a nawet psa.

I słowa dotrzymałem, pomyślałem teraz, spoglądając na nasz całkiem duży, odrobinę zaniedbany ogród. Mieliśmy to wszystko, co sobie wymarzyliśmy, a Maja jeszcze dodatkowo zdobyła uznanie zawodowe. Czy mogła być nieszczęśliwa? Dlaczego zniknęła?

Zerknąłem na zegarek, nadszedł czas na pobudkę. Poszedłem do pokoju Igi, zapukałem cicho i wszedłem. Sypialnia mojej córki, z imponującą kolekcją pluszaków na półce, tonęła w półmroku. Na ścianie wisiał duży kolaż ze zdjęciami Igi wśród najbliższych koleżanek, a obok plakat ze zdjęciem filmowego Harry’ego Pottera, Rona i Hermiony. I dalej poster z samym Danielem Radcliffe’em w prowokacyjnej pozie.

Westchnąłem. Sypialnia Igi stanowiła pomieszanie pokoju dziecięcego i nastoletniego – i zdecydowanie wołałem to pierwsze.

Pościel na łóżku w rogu, przy którym jeszcze niedawno czytywałem córce na dobranoc *Muminki*, była rozkopana. Zrzuciona na bok, odsłaniała białe prześcieradło. Najgorsze jednak, że nikogo tam nie dostrzegłem. Zakręciło mi się w głowie i mało co nie upadłem. Zaraz stracę ich wszystkich.

Rzuciłem się do pokoju Stasia, jakby tylko on jeden mi pozostał. Szumiało mi w głowie, gdy ciężko oddychając, wbiegłem do pokoju syna. Miał okno od strony zachodniej, było to jedno z ciemniejszych pomieszczeń w domu i dopiero po chwili zorientowałem się, że nieforemna postać na łóżku jest zbyt duża jak na pięciolatka.

Niezgrabne, szerokie ciało leżało przykryte kołdrą w samochody i brytyjskie autobusy piętrowe. Podeszedłem szybkim krokiem, lecz w odległości metra od łóżka zamarłem. Spod kołdry wystawał kosmyk ciemniejszych włosów, barwą podobnych do moich, a obok nich jasna czupryna Stasia. Iga spała z brzegu, jedną ręką przytulała brata.

W pokoju roznosił się łagodny zapach dziecięcego snu.

Ulga była tak duża, że chciałem się rozplakać. Moje dzieci, z których starsze jeszcze niedawno usiłowało wykopać młodszego z domu, spały razem i to musiał być dobry znak. Ta rodzina wciąż istnieje, pomyślałem.

Pod ręką poczułem schłodzony już nos Febusa. Pies zameldował się po porannej toalecie. Jak co dzień dokonał jej w ogrodzie sąsiadki, co wściekle nam kiedyś wykrzyczała. Podanie mu śniadania wciąż jednak należało do nas.

Nasypałem mu karmy, a potem obudziłem dzieciaki. Iga patrzyła na mnie z lekką złością, że ją nakryłem, a może w końcu zaakceptowała młodszego brata i nie chciała przyznać tego sama przed sobą. Miałem nadzieję, że nasza łagodna reakcja na jej przestępczy plan przekonała córkę, że jest dla nas równie ważna jak Staś.

Smażyłem placki, nie przestając myśleć o zdjęciu. Nie miałem pojęcia, jak zidentyfikować faceta na śniegu. Może odpowiednią frazą w wyszukiwarce internetowej? Jeśli coś było na ten temat w odmętach internetu. Bo niby dlaczego?

Nagle uzmysłowiłem sobie, że muszę wziąć urlop. Nie miałem wyjścia. Potrzebowałem swobody i czasu, by poszukiwać Mai. Iga nie mogła wracać sama do domu, a Staś codziennie do Swetrowej.

Nakarmiłem dzieciaki i wpakowałem je do samochodu.

– Tato – zagaiła Iga po tym, jak odstawiliśmy Stasia.

– Tak?

– Możesz puścić Davida Bowiego – oświadczyła.

W innych okolicznościach pewnie bym się rozczulił. Moja krnąbrna córka spała w jednym łóżku z młodszym bratem, a potem pozwoliła ojcu słuchać jego ulubionych rockowych kawałków. Nie zamierzałem przepuścić tej okazji. Z chropawych głośników saaba popłynęło *Where Are We Now?*. Nie usłyszałem protestów.

Ania stała przy biurku, bo zażądała ode mnie stanowiska pracy, które pozwalało na taką postawę. Z dbałości o plecy, jak wyjaśniła, a potem zganiła mnie, że sam o tym nie myślę. W jej pokoju panowała pustka. Członkowie zespołu Ani udali się na otwarte spotkanie komisji sejmowej, żeby przekonywać parlamentarzystów do naszego projektu ustawy, a potem na jakąś konferencję; głównie po to, aby się pokazać.

Posłowie, nawet z przychylnych zielonej energetyce ugrupowań, byli na tych spotkaniach oporni, ale potem widzieliśmy kopie naszych propozycji w draftach ustaw. Słowo w słowo. I dobrze, politycy nie są od tego, żeby wiedzieć, tylko żeby przepychać. A nasze o nich zdanie... no cóż, ostatecznie liczyło się tylko dobro środowiska.

Byliśmy sobie z politykami potrzebni. Z pewnością oni nam bardziej niż my im, ale jak do tej pory obustronnie korzystaliśmy z tej relacji.

Zamknąłem drzwi.

– Ania – zacząłem. – Maja zaginęła.

Spojrzała na mnie uważnie. Opowiedziałem jej wszystko. Nie zadawała pytań. Słuchała.

– Zajmę się biurem – powiedziała.

Ucieszyłem się, że nie musiałem jej o to prosić. Czas w pracy nadchodził gorący.

– Dzięki – odparłem.

Wstała i podeszła do mnie, prawie dorównywała mi wzrostem.

– Znajdzie się – oświadczyła i przytuliła się do mnie.

Przez moment wdychałem woń dobrych perfum i lekko męski, jakby dymny, ale wciąż przyjemny zapach jej ciała. Ania zaproponowała, że poinformuje kolegów, ale chciałem przekazać złe wieści osobiście.

Obmyłem w łazience twarz zimną wodą, a potem bezskutecznie próbowałem znaleźć w swojej kosmetyczce coś, czym mógłbym się przeczesać. Wyglądałem jak śmierć. Albo śmieć, obie wersje miały zastosowanie.

W pokoju zebraliśmy nasze grono było uszczuplone; reszta przepadła gdzieś w akcji albo pracowała po domach. Spoglądałem na te myślące twarze, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Zaginęła moja żona, Maja – oznajmiłem. – W związku z tym wybieram się na bliżej nieokreślony czasowo urlop, a biurem pokieruje Ania.

„Jezu, Mateusz”, usłyszałem. „Przykro mi, Matek”, powiedział ktoś. Popatrzyłem na stół i kiwałem głową. Mimo wszystko nie chciałem, aby widziano moje zaczerwienione oczy.

– Pomyślałem – skierowałem te słowa do rzeczniczki prasowej – że moglibyśmy wykorzystać nasz facebookowy profil do opublikowania ogłoszenia o Mai. To znaczy – podniosłem nieco głos – wiem, że on nie jest do tego przeznaczony, ale ja nie mam swojego konta, a sprawdzałem, że mamy na profilu Natury prawie dwa tysiące obserwujących. Czy też „znajomych”, nie wiem, jak to nazwać.

– Tak, oczywiście – odparła dziewczyna.

– Dziękuję – powiedziałem. – Zajmijmy się teraz sprawami bieżącymi, a następne spotkanie poprowadzi już Ania.

Zaczął się sprawozdanie: powietrze, lasy, bioróżnorodność, każdy mówił o swoim i niewiele go obchodziło, co u innych – ale to też dlatego, że roboty było w bród, choć połowę tego czasu zajmowało nam formalne zadowalanie sponsorów. Zarazem u niektórych z moich pracowników nie działało się prawie nic, i to też okej, bo taka była specyfika naszej pracy. Zarząd podejmie jakąś chorą ekologicznie inicjatywę i trzeba będzie „iść na materace”.

Martwym głosem udzieliłem kilku wskazówek na kolejne tygodnie. Najważniejszy był jednak los przyszłorocznego grantu, żyliśmy z niego przecież wszyscy. Złożyliśmy wniosek już przed paroma tygodniami i cisza. Za wcześnie na panikę, nie mieliśmy jednak innej sponsorskiej alternatywy.

Grant był duży, a my odnotowaliśmy całkiem niezły rok: z powodzeniem zaskarżyliśmy kilka decyzji środowiskowych w sprawie budowy lub rozbudowy elektrowni węglowych, zostawiliśmy ślad w strategicznych ustawach środowiskowych, stworzyliśmy dobrej jakości analizy.

Ale może to nie zależało od nas. Tak naprawdę nie mieliśmy pojęcia, kto nas wspiera, bo fundacja, która to robiła i stale siedziała nam na głowie, była finansowana przez inną fundację, wspieraną przez kolejne podmioty – również o profilu grantodawczym. Te z kolei utajniały swoich darczyńców... więc łańcuszek kończył się nigdzie. Ale nasz bezpośredni sponsor był bardzo poważany i nie mieliśmy powodów do obaw, choć nieprzychylny dziennikarz zawsze mógłby napisać, że stoi za nami Putin, i z trudem dałoby się wskazać argumenty, że tak nie jest.

Wiedziałem, że o tej porze roku powinniśmy otrzymać już sygnał z brukselskiej centrali. Chyba że wściekli się tam ostatecznie na nasz rozmiłowany w przyrodzie rząd? Wiadomo, jaka była motywacja, aby pompować pieniądze w Polskę: najbardziej kopający kraj kontynentu, prawdziwe Chiny Europy. Skala toksyczności płynącej z naszego kraju była tak wielka, że zagrażaliśmy nie tylko sobie, lecz także zdrowiu innych Europejczyków. Skoro więc działania fundacji okazywały się skuteczne, trudno było sobie wyobrazić, że brukselscy grantodawcy przestaną wysyłać nam fundusze. Choćby dla własnego zdrowia.

Trochę kłuło mnie jednak w brzuchu. Polegała na mnie nie tylko moja rodzina, także Ania i wszyscy pracownicy W Imię Natury – oni też byli moją rodziną. A najbardziej polegało środowisko, cierpiące na stały deficyt sojuszników.

Usłyszałem dzwonek do drzwi wejściowych.

W sumie nie miałem już nic do powiedzenia, musiałem tylko spakować laptopa i szukać żony. Tylko gdzie? Eliza wyszła, wróciła po kilkadziesiąt sekundach. Podeszła do mnie i powiedziała cicho:

– Matek, policja. Do ciebie.

Pokój był mały i miał dobrą akustykę, wszyscy się na nas gapili. W spojrzeniach widziałem niepokój, ale i zaciekawienie. Mąż pierwszym

podejrzany, tak?

Podziękowałem kolegom i lekko zaczerwieniony wyszedłem na korytarz.

Tyłem do mnie, zasłaniając okno, stał podkomisarz Listek. Zajmował tyle powierzchni, że odniosłem wrażenie, że w ciemnym korytarzu od razu zrobiło się bardziej ponuro. Obok niego stała jakaś kobieta z miłą twarzą, drobna i szczupła. Listek mógłby ją schować do kieszeni swojego płaszcza.

– Witam ponownie – uśmiechnął się niewesoło policjant. – Możemy porozmawiać?

Poprowadziłem ich do swojego gabinetu. Towarzyszka Listka okazała się bardziej uprzejma od niego, wyjęła legitymację i przedstawiła się. Aspirantka Tol. Kołatało mi się, że aspirant jest poniżej podkomisarza. Jeśli tak, to Listek był szefem.

Tol patrzyła na mnie uważnie i spokojnie; w przeciwieństwie do partnera robiła dobre wrażenie.

– Gdzie pan był przedwczoraj wieczorem i w nocy? – zapytał Listek. Ton głosu miał znów nieprzyjemny.

– W domu z dziećmi, już mówiłem.

– I wciąż nie wie pan, gdzie zgubił żonę?

– Nie.

Listek wyszczerzył zęby, były spiczaste i mysie. Kontrastowały z wielkimi ustami.

– Pojedzie pan z nami. Pobierzemy materiał genetyczny.

– Dlaczego?

– Dowie się pan na miejscu.

Zmroziło mnie. W uszach poczułem coś jak szum fal, zeszywniał mi język i przez moment naprawdę nie mogłem oddychać.

– Znaleźliście ją – wybąkałem.

Czyżby Tol spojrzała na mnie z troską?

– Dowie się pan wszystkiego na miejscu.

– Znaleźliście ją?! – podniosłem głos. Listek wpatrywał się we mnie z zadowoleniem. Sens tego, co się dzieje, docierał do mnie. Stopniowo i nieubłaganie.

Maja, moja żona. Dlaczego, kurwa? To się nie dzieje naprawdę...

Ukryłem twarz w dłoniach. Tol położyła mi drobną rękę na ramieniu.

– Proszę pojechać z nami. To konieczne.

– Czy ona tam jest? – zapytałem.

– Dowie się pan wszystkiego na miejscu.

Ziemia pode mną rozstała się na dobre, spadałem głębiej i głębiej, aż usłyszałem szorstki głos Listka:

– Proszę wziąć się w garść. Nie mamy całego dnia.

Nie pamiętam, jak wychodziłem z biura, kto dał mi płaszcz oraz teczkę, torbę z laptopem czy cokolwiek innego. Nie pamiętam jazdy na ulicę Oczki. Nie pamiętam samego Zakładu Medycyny Sądowej, a to, że przebywałem właśnie tam, uświadomiłem sobie dopiero po fakcie. Nie skuli mnie, ale szedłem posłusznie za Tol jak ślepiec. Za mną, sapiąc, maszerował Listek.

Nie pamiętam, kiedy pobierali mi wymaz z ust, choć wiem, że to robili. Nie pamiętam, kto wręczył mi kubek kawy, choć bezsprzecznie trzymałem go w dłoniach. Nie pamiętam niczego aż do momentu, kiedy wprowadzono mnie do prosektorium. Bo to był moment, kiedy się ocknąłem. Kiedy spojrzałem na osobę leżącą na stole. Bliską mi osobę, teraz okrutnie oszpeconą, ale niestety wciąż rozpoznawalną.

Znaleźli samochód mojej żony przy drodze krajowej numer 7. Na bocznej trasie prowadzącej do wsi Głusków. Nie był jakoś specjalnie ukryty, do tego otwarty, i w końcu ktoś zwrócił uwagę na pozostawionego bez opieki kilkuletniego range rovera. Numer rejestracyjny się zgadzał, inne dane też. W środku, w schowku, została nawet torebka z dokumentami. Wszystkie ślady ziemskiego istnienia mojej żony, tylko nie ona sama. Przeszukano okolice, już z udziałem psów policyjnych.

Odkrycia dokonano kilkaset metrów od samochodu, w starej szopie. Zwłoki znalazł właściciel obiektu i ponoć zwymiotował, kiedy się na nie natknął. Nic dziwnego, i mnie chwytały torsje, a przecież widziałem zmarłą w klinicznych warunkach.

Siedziałem z kolejnym już kubkiem kawy w gabinecie Listka w komendzie na Żeromskiego, dokąd przyjechaliśmy po wizycie na Oczki.

Dźwięki: energiczne kroki i podniesione głosy na korytarzu przerywane wybuchami gromkiego śmiechu, a także zapachy: zastałego dymu papierosowego, potu i starej kanalizacji, zaczęły do mnie w końcu dochodzić jeden po drugim.

Byłem bardziej przytomny, również dlatego, że odczuwałem ogromną ulgę, choć wstydziłem się do tego przyznać.

– Jak długo to trwało? – pytał Listek.

– Może dwa miesiące – relacjonowałem mechanicznie. Starłem się nie odtwarzać w głowie jej twarzy, niegdyś wypielęgowanej, teraz jakby zmielonej w maszynce do mięsa.

– Kto zakończył związek?

– Ja.

– Znaleźliśmy wiadomości w telefonie. Ona czuła do pana coś jeszcze?

– A widział pan odpowiedzi? Poza tym jaki miałbym interes, aby robić jej krzywdę?

– Bał się pan, że kochanka powie żonie.

– Zwariował pan. – Pokręciłem głową.

– Mamy ślad z ciała denatki – wtrąciła Tol. – Włos, który wygląda na pański, dłuższy, czarny, lekko kręcony.

Włosy stanowiły przedmiot mojej dumy. Nie byłem postawny ani specjalnie urodziwy, włosy miałem jednak gęste, lśniące i mocne. Nosilem je przydługie, by odrobinę zrównoważyć mój zbyt wydatny i mało zgrabny podbródek. W przyływie dobrego nastroju Maja porównywała mnie do młodego, no, młodszego Michaela Douglasa.

Zamilkłem. Wiedziałem, że przed wynikami badań nic nie będą mogli mi zrobić.

– Ciekawi nas tylko, czemu ucharakteryzował pan kochankę na swoją żonę. Podniecało to pana? – Listek przyglądał mi się z leniwym zainteresowaniem.

Nie skomentowałem.

– Zamierzacie mnie zatrzymać? – zapytałem.

Listek patrzył na mnie przez chwilę, a potem, jakby z łaską, pokręcił głową.

– Jeszcze nie – oznajmił.

Gównu na mnie mieli: gdzieś tam była osoba, której również pobierano materiał genetyczny oraz odciski palców. Grzesiek oczywiście.

Kiedy poprowadzili mnie do zwłok, przez chwilę naprawdę myślałem, że to Maja. Twarz zmasakrowano, ale rozpoznałem jej ubranie. Tylko z fryzurą coś nie grało: włosy były w kolorze blond, ale nie w odcieniu mojej żony. Podobnym, ale jakby trochę srebrzystym. Nie pytając o zgodę, uniosłem je do góry: przy skroniach, zobaczyłem inny, znacznie ciemniejszy i bardziej naturalny kolor.

Jak w transie zacząłem dostrzegać i pozostałe różnice: niższe czoło i odrobinę smuklejszy owal twarzy. Mniej wydatne kości policzkowe. Piersi nie były piersiami mojej żony, choć przecież te również dobrze znałem. Nogi nie były nogami mojej żony. Nagle nabrałem ochoty, by zmasać resztki makijażu z twarzy zmarłej, ale zamiast tego zacząłem się chwiać i przed upadkiem uratował mnie Listek.

– Niech mi pan tutaj nie mdleje – powiedział.

– To nie jest moja żona – wyjąkałem. – To jest Natalia Mroczkiewicz.

– Wiemy – skomentowała Tol.

Wiedziałem, że Grzesiek jest gdzieś w okolicy, a może wyciągają go właśnie z siedziby firmy lub z sali wykładowej. Przede wszystkim zaś zadawałem sobie pytanie, czy ten spokojny, skoncentrowany na pracy mężczyzna mógł zamordować swoją młodszą, pełną życia żonę. I czy ja mogłem być powodem tego zabójstwa.

Nie chciało mi się wierzyć, że byłem pierwszym kochankiem Natalii. Wydawała się taka doświadczona w organizowaniu spotkań, kiedy ja pociłem się z nerwów, zmieniając mokre koszule w saabie.

To ja zainicjowałem ten romans... ale czy na pewno? Nie pamiętałem, jak to się stało, że wylądowaliśmy w tej saunie tylko we dwoje. Pomyślałem też o zdecydowaniu, z jakim Natalia kontynuowała nasz nikczemny związek.

Związek, w którym oszukiwaliśmy dwoje dobrych ludzi, nie licząc moich dzieci.

Nagle poczułem, że jakaś wcześniej nieznana, ale ewidentnie egoistyczna i tchórzliwa cząstka mnie usiłuje zrzucić całą winę na zmarłą.

– Dlaczego Natalia przebrała się za moją żonę? – zapytałem.

Wzruszenie ramionami.

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie – odparła Tol.

– Nie wiem.

– Czy Maja mogła ją zamordować?

– Dlaczego?

– Może planowaliście ucieczkę z Natalią?

– Przecież powiedziałem, że zakończyliśmy ten romans! Kobieto, ja mam rodzinę, kocham moją żonę.

– Zawsze tak mówicie – mruknęła aspirantka, a Listek zaśmiał się pod nosem.

– Potrzebujecie czegoś jeszcze? – zapytałem. – Mam dzieciaki pod opieką.

Spojrzeni na siebie. Przez chwilę milczeli, w końcu Listek oznajmił:

– Proszę nigdzie nie wyjeżdżać, możemy się z panem kontaktować.

– Po tym jak porównacie moje DNA ze śladami znalezionymi na miejscu zbrodni?

Listek nie odpowiadał dłuższą chwilę.

– Czego pan się boi? – zapytał.

– A jeśli ten włos rzeczywiście jest mój? Nie rozważacie możliwości, że ktoś mógł go podłożyć?

– Kto?

– Nie wiem.

– Na przykład Grzegorz Mroczkiewicz? – zapytał Listek.

Od początku mnie nie podejrzewali, pojąłem nagle. Mieli już swoją teorię i chcieli ją potwierdzić. Biedny Grzechu.

Nie mógłby tego zrobić, nie znałem łagodniejszego człowieka. I jeszcze to przebranie Natalii za Maję. Dziwaczna perwersja; komiczna wręcz, gdyby

nie skończyła się makabrą. Przełknąłem ślinę na wspomnienie twarzy Natalii.

– Albo pana żona? – dodał Listek.

Wgapiłem się w niego, a potem w Tol, która siedziała, jakby tego nie usłyszała. Pewnie pozory myliły i wcale nie była taka w porządku. Przypomniała mi się poprzednia dziwna rozmowa z Listkiem, w pracowni Mai. Zanim ugryzłem się w język, zapytałem:

– Co to za hipoteza?

Podkomisarz wzruszył ramionami.

– Całkiem prosta. Pan ma kochankę, żona postanawia zniknąć, zamordować rywalkę, w odwecie zrobić pana...

– Głupia teoria – powiedziałem. – One były jak siostry.

Czułem już złość na to chamstwo i otwarte prowokacje.

– Chcecie czegoś ode mnie czy nie? – zapytałem, wstając.

– Jest pan wolny. Na razie – powiedział Listek. – Niech pan tylko nigdzie nie wyjeżdża. A jeśli żona się odezwie, niech pan nas o tym poinformuje.

– Dlaczego?

– W innym wypadku sam pan może być podejrzany o zabójstwo Natalii Mroczkiewicz. Chyba pan to rozumie. – Listek rozłożył ręce, a jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Nie jest pan na naszej liście wysoko. Ale jeśli żona się nie znajdzie... zacznie się pan przesuwac w górę.

– Maja nie jest poszukiwana. A poinformowanie was, że się odnalazła, to ostatnia rzecz, jaką bym zrobił – powiedziałem. – Możecie to sobie zapisać.

11

Miałem straszną ochotę zapalić przed komendą, ale myśl, że Listek obserwuje mnie przez okno, sprawiła, że od razu machnąłem na ulicy po taksówkę.

W taryfie nie dopisało mi szczęście. Kierowca okazał się rozmowny.

– Pan to prawnik, zgaduję – zagaił.

– Czemu? – zdziwiłem się.

– Często zbieram adwokatów spod Żeromskiego.

Pokiwałem głową. A więc wciąż miałem papugę wypisaną na twarzy; dwa lata półpłatnej pracy na rzecz przyrody nie zniwelowały tego.

– Duży ruch? – zapytałem bezmyślnie, zanim uświadomiłem sobie, co robię.

– Duży? – zaśmiał się kaszlem palacza. – Mały! Od kiedy te mendy weszły do Polski.

– Nie rozumiem...

– Uber oczywiście – zerknął na mnie w środkowym lusterku.

Spojrzałem przez okno. Niewiele mnie teraz interesowały cudze teorie spiskowe.

– Przyzna pan chyba, że to szkoda dla wszystkich, nie umią jeździć, wszyscy to wiedzą – kontynuował taksówkarz.

Wzruszyłem ramionami.

– Pan wygląda na takiego, co nie korzysta. Na gościa z zasadami – zauważył.

– Tak się składa, że mam zainstalowaną tę aplikację.

Zerknąłem w lusterko, czego od razu pożałowałem. Natknąłem się na jadowite spojrzenie.

– Życzę wam wszystkim, żebyście zginęli w tym uberze – powiedział.

Zapadła cisza. Wjechaliśmy w tunel Wisłostrady. Jeśli rozwali nas na jakimś murze, wszystkie moje kłopoty się skończą. Zerknąłem na legitymację przy taksometrze; albo mój kierowca bardzo się postarzał, albo nie był mężczyzną ze zdjęcia. Po chwili taksówkarz dodał łagodniejszym tonem:

– To znaczy... tak mi się powiedziało. Po prostu złodziejstwa nie lubię.

– Niech pan mnie wysadzi – powiedziałem, kiedy wynurzyliśmy się z tunelu i stanęliśmy na światłach. Byłem już w odległości spacerowej od biura.

– Teraz? – zapytał. – Ale...

Wcisnąłem mu dwie dychy i wysiadłem bez pytania.

Dochodziła trzynasta i nie chciałem znowu prosić, by Swetrowa odbierała Stasia. Musieliśmy utrzymać nasz dom w jednym kawałku. To był najgorszy moment na urlop, ale liczyłem na Anię, że W Imię Natury się nie zawali. Właściwie zrealizowaliśmy już zadania przewidziane w tegorocznym granicie, więc jeśli sponsor nie zamierzał nam udzielić kolejnego... Prawdę powiedziawszy, niewiele mogłem z tym zrobić, choć czułbym się lepiej, będąc na miejscu.

Zamierzałem odebrać Stasia i wrócić z nim po Ige, a potem pójść do knajpy; taki kolejny dzień życia rodzinnego bez Mai. Rozwiązałbym w ten sposób sprawę obiadu, na więcej nie starczało mi energii. Pójdziemy do KFC albo na pizzę i przynajmniej Staś będzie szczęśliwy. Nieuchronnie nadciągał moment, którego się bałem, kiedy mój syn zacznie wypytywać o mamę, i musiałem zawczasu przygotować miękkie lądowanie.

Przez chwilę ważyłem telefon w dłoni, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Grzeška. Powinienem złożyć kondolencje. A jeśli był zamieszany w morderstwo Natalii? Czy mógł zrobić coś również mojej żonie?

Tak mało myślałem o Natalii; ulga, że zmarła nie była Mają, przesłoniła jakiegokolwiek uczucie żalu i prawdę mówiąc, teraz też myślałem tylko o żonie. Odetchnąłem głęboko. Spałem przecież z tą kobietą, całowałem ją, dotykałem jej, szeptałem komplementy.

Męka, jaką przeszła przed śmiercią... zamknąłem oczy. Nie byłem w stanie zadzwonić do Grześka i nie wiedziałem, co mi powie, jeśli odbierze telefon.

Miałem jeszcze godzinę. Nie zamierzałem wracać do pracy. Zostawiłem moich ludzi pod komendą bosmanki Ani; czasem trzeba puścić dziecko w świat, by nauczyło się żyć samodzielnie. Może tak teraz działa się z Naturą.

Ruszyłem saabem spod biura, zastanawiając się, gdzie poszukać schronienia. Przypomniałem sobie kawiarnię na Muranowie, jedną z niewielu, gdzie kawa nie smakowała kwaskiem i gdzie nie przesiadywały tłumy smarkaczy. Tam właśnie się skierowałem.

O trzynastej w lokalu było tylko kilku dziadków, dyskutujących, którzy z polityków to agenci obcego wywiadu. Westchnąłem i próbowałem nie zwracać na nich uwagi.

Obok laptopa postawiłem telefon ze zdjęciem mężczyzny na śniegu. Wypiłem łyk kawy americano i potarłem skronie. Od czego zacząć? Wrzuciłem w wyszukiwarkę frazę „śmierć nad jeziorem”. Wyskoczyły mi wypadki na wakacjach. Mężczyzna, ojciec trojga dzieci, skoczył na główkę, śmierć na miejscu. Czemu takie rzeczy się dzieją?

Googlowałem dalej, aż poczułem znużenie. Poznałem już chyba wszystkie dziwne, niewyjaśnione, a także i te zwykłe sprawy kryminalne, które miały coś wspólnego z wodą. Lecz żaden z tych wypadków nie wydarzył się na zamarzniętym jeziorze. „Zbrodnia jezioro zima” – wypróbowałem kolejną kombinację. Wyskoczyły mordy dokonane przez Stalina, a potem kilka powieści kryminalnych. Minęło trzydzieści, czterdzieści minut, nie wiedziałem, czy to, czego szukam, kiedykolwiek się zdarzyło.

Zerknąłem na zegarek, za chwilę musiałem jechać po Stasia. Spojrzałem jeszcze raz na mężczyznę ze zdjęcia. Nie wyglądał tak do końca współcześnie, kurtka miała przestarzały fason, podobnie jak spodnie. Wprowadziłem frazę „sprawy sprzed lat zbrodnia jezioro zima”. Bezmyślnie przeglądałem kolejne zdjęcia policyjno-sądowe, przedstawiające szarą

rzeczywistość polskich zbrodni. Rzeczywistość, od której odwracałem wzrok, szczególnie od kiedy nie prowadziłem już spraw karnych.

Choć przecież wychowałem się na typowym blokowisku, a mój ojciec większą wagę przykładął do kolejnej wypitej flaszki niż do edukacji jedyne go dziecka. Tylko własnemu osłemu uporowi i ambicji zawdzięczałem to wszystko, co miałem teraz, a kilku moich najlepszych kumpli z osiedla skończyło w kryminale.

Wielki biznes, który obsługiwałem w Matter & Gulenbaum, a potem nasza środowiskowa krucjata i ucieczka do willowego Izabelina sprawiły, że czasem zapominałem, w jakim kraju żyjemy: kraju, gdzie połowa obywateli wciąż balansowała na granicy nędzy, gdzie codziennością była przemoc. Choć może była nią wszędzie, niezależnie od szerokości geograficznych.

Dziadkowie przy stoliku obok przeszli teraz na tematy antyuchodźcze. Miałem nadzieję, że nie zaczną gadać o dobroczynnym wpływie węgla, naszego narodowego skarbu; żadna kawa bez kwasku nie była tego warta. Na trzeciej stronie wyszukiwania po grafice już tylko bezmyślnie przerzucałem ikony. Automatycznie wcisnąłem kolejną stronę, ale coś mnie zastopowało.

Wróciłem do ostatniego obrazka na poprzedniej. Sceneria na zdjęciu podobna była do tej na fotografii, którą dostałem pocztą, choć tutaj zamiast człowieka widoczny był fragment małego domku, szalasu niemal, pięknie położonego nad oblodzonym leśnym jeziorem.

I nazwa: Ochrenne. Jezioro Ochrenne.

Szkoda, że to była tylko wzmianka w lokalnej gazecie z Rucianego-Nidy. W artykule pisano o zagadkowej śmierci młodego mężczyzny w domku nad jeziorem. Nazywał się Paweł Sępiński. O zbrodnię podejrzewano jego kolegę Jonasza Marca, który zbiegł z miejsca zdarzenia.

Wszedłem na portal poszukiwani.policja.pl, wprowadziłem do wyszukiwarki hasło „Jonasz Marzec”. Wciąż tu był. Urodzony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, wzrost sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Ze zdjęcia patrzyła na mnie twarz niespecjalnie bystra, raczej przystojna, o regularnych rysach, mocnej szczęce i grubych ustach.

Przyjrzałem się uważnie leżącemu na śniegu człowiekowi w czerwonej puchówce z mojego zdjęcia. To mogła być ta sama twarz, choć chłopak miał zamknięte oczy, a fotografię zrobiono z pewnej odległości. Ale wysoki wzrost i mocna budowa były bezsprzeczne.

Podniosłem zdjęcie i przystawiłem do twarzy z portalu. Patrzyłem na nos, uszy, linię włosów. Po kilku minutach nie miałem wątpliwości, że obie fotografie przedstawiają Jonasza Marca. Zapijaczony dresiarz dostarczył mi jego zdjęcie. A potem moja żona uciekła albo została porwana.

Czy miałem w ręku dowód na to, że Jonasz Marzec nie żyje? A skoro nie żyje... to czy mógł zamordować tego Sępińskiego? Kto zrobił zdjęcie samemu Jonaszowi?

Przyjrzałem się fotografii raz jeszcze. Chłopak miał bladą twarz, może nawet siną, jego oczy były zamknięte i gdybym musiał postawić pieniądze, powiedziałbym, że jest to twarz umarlaka. Przecież takie samo wrażenie odniosłem, kiedy zobaczyłem to zdjęcie po raz pierwszy... Ale to mógł być fotomontaż, nie mogłem tego wykluczyć.

Wróciłem do artykułu: na samym końcu autor nadmieniał, że Jonasz Marzec jest synem lokalnego działacza politycznego z ramienia lewicy, Bogusława Marca.

Mój oddech przyśpieszył i nagle zrobiło mi się gorąco, jakby to kawa tak mnie z opóźnieniem rozgrzała. Zdjąłem marynarkę, nie odrywając oczu od ekranu.

Przeczytałem to zdanie jeszcze raz. Coś zaczęło właśnie mieć sens w tym całym bałaganie. Kilkanaście lat temu Bogusław Marzec mógł sobie być jednym z czerwonych baronów. Nie pamiętałem dokładnie, w którym regionie; jeszcze tego brakowało, żebym śledził kariery tych wszystkich wielobarwnych ptaszków politycznych.

Dzisiaj nazwisko Marzec kojarzyłem dobrze: był to mocno osadzony mazowiecki marszałek, z napuchniętą twarzą działacza, co to nie wylewa za kołnierz, oraz gangsterskim stylem bycia i zarządzania. To ostatnie nie przeszkadzało mu drugą kadencję szefować sejmikowi Mazowsza. Jego obecne barwy polityczne nie były mi znane, ale miał butny sposób

wyrażania się i grubiańską twarz polityka z jednej strony prawiącego ekologiczne frazesy, z drugiej bratającego się z wielkim biznesem. Przykuł moją uwagę na jednym ze spotkań środowisk ekologicznych z samorządowcami. Cynicznie rozkładał wówczas ręce w udawanym geście niemocy.

Bogusław Marzec musiał mieć mocne plecy, skoro zbiegły, podejrzany o zabójstwo syn nie przeszkodził mu w karierze, ba, awansie politycznym. Do pewnego momentu. Bo póki miał takiego trupa w szafie jak syn morderca, najwyższe stanowiska w kraju pozostawały poza zasięgiem.

Teraz trzymałem w palcach fotografię, która mogła zmienić wszystko w życiu Bogusława Marca i jego rodziny. A na dłoni poczułem wilgoć.

12

Żenia był wkurwiony. Zaczęło się od tego, że wkurwiony był klient. To nie ta kobieta miała umrzeć. Wskoczył na autostradę do Łodzi i przejechał ją dwa razy, aby zrozumieć, gdzie popełnił błąd. Wyprzedzał auta, mknąc dwieście na godzinę, aż w końcu się uspokoił. Nie zdarzyło mu się jeszcze tak nawalić. Zlecenia na Ukrainie i dotychczasowe w Polsce były proste, porachunkowe, nikt nie przebierał się za nikogo, wprowadzając ludzi w błąd, uniemożliwiając normalną robotę. Co gorsza, Żenia nie miał pojęcia, gdzie teraz znajduje się cel.

Jak potraktowałyby go brat po takiej wpadce? – pomyślał, zjeżdżając na Shell. Matwiej dawno już nie żył, ale nawet teraz Żenia budził się czasem w nocy zlany potem. Na mięśniach czuł ucisk dłoni brata, niczym obcęgów. Rozglądał się potem przez chwilę, zdziwiony, że jest w sypialni zupełnie sam.

Następnego dnia po tym, jak pobił Igora, wszystko go bolało, jakby to on dostał wycisk. Bał się, że Matwiej tylko tak nawijał po pijanemu, brat jednak dotrzymał słowa. Wyciągnął go z łóżka i kazał iść ze sobą.

Przeszli kilka przecznic, pod starą halę sportową. W środku pachniało potem i gumą, wielcy i mniejsi faceci łomotali w worki, łysole w dresach coś im tłumaczyli, kilku zawodników toczyło sparingi. Matwiej wypatrzył najbardziej chyba złachmanionego z trenerów i podszedł do niego.

– Kopę lat, trenerze – powiedział.

Tamten odwrócił się od młodzika, którego metodycznie opieprzał. Przez kilka chwil gapił się na Matwieja, aż w końcu ryknął:

– Owieczkin! Stary capie!

Brat uściskał się z mężczyzną, który śmierdział wódką bardziej niż sam Matwiej.

– To twój młody? – zagaił trener.

– Brachol.

– Coś mały.

– Jeszcze urośnie.

– Ile ma lat?

Matwiej podrapał się w głowę.

– Coś około dziesięciu.

Żenia miał już prawie dwanaście. Chciał poprawić, ale łapsko Matwieja złapało go ostrzegawczo za ramię.

– To może jeszcze urośnie. – Trener pokiwał głową. – Geny do walki ma. Braciszek dobrze boksował w koguciej, wiedziałeś o tym?

Żeni nie interesowały losy Matwieja, może tylko jego śmierć, ale pokiwał głową. Brat coś kombinował, jednak dopóki Żenia nie dostał lania, było całkiem niezłe. Postanowił poczekać, gorzej niż przedtem być nie mogło.

– Nie chwali się, widać, porządny chłopina – powiedział trener. – Musimy się kiedyś napić, Matwiej.

– A widzisz, akurat się znajdzie. – Brat wyjął flaszkę zza pazuchy. Trenerowi zabłyśły oczy.

– Ale nie tutaj, bo młodzi, wiesz, w klubie to się nie podoba. Choć ze mną na zaplecze – powiedział cicho do Matwieja, a potem odwrócił się do swojego zawodnika. – Zrób mi pięć serii po czterdzieści pompek na kościach, potem tysiączek na skakance. Jak ściemnisz, od razu będę wiedział! – Po czym trzepnął chłopaka w głowę i ujął Matwieja za łokieć.

Żenia myślał, że pójdzie z nimi, może nawet załapie się na kilka łyków, ale Matwiej rzucił do niego:

– Siedź tu, a jak nawiejesz, rzucę świniom na pożarcie. Skończymy, to przyjdziemy po ciebie.

Żenia czekał, ale wcale nie było mu źle. Czuł, że tu się nie chlało, tylko trenowało. Nikt nie zwracał na niego uwagi i to też mu się podobało: zapach, wrzaski, wysiłek, wszystko razem. Nawet nie zauważył, kiedy w końcu lekko zawianym krokiem nadszedł Matwiej.

– Idziemy – warknął do Żeni.

Na zewnątrz zapalił papierosa.

– Będiesz tu trenował – powiedział. – Codziennie. Masz trzy miesiące, żeby nauczyć się bić. Po tym czasie wracasz na materac.

Żenia trenował, gruszka była wdzięczniejszym sparingpartnerem niż ściana. Trener szybko się zorientował, że chłopak, choć mały, ma wielkie łapska i jest bardzo szybki. Nie mógł się tylko nadziwić, że ma tak mało lat, a Żenia nie wyznał mu prawdy ze strachu przed Matwiejem.

– Taka koordynacja! – nawijał z zachwytem trener. – Wyglądasz mi na talent większy od brata, młody. Do piórkowej się załapiesz, jak podrośniesz.

Niedługo Żenia znalazł się na ringu. Za pierwszym razem spanikowany nie zorientował się, kiedy krępy jak goryl przeciwnik powalił go na ziemię atomowym prawym hakiem. To się już nigdy nie powtórzyło, w końcu Żenia latami trenował, jak unikać uderzeń Matwieja. Wkrótce okazało się, że sam ma nokautujący cios, rzadkość u tak lekkiego zawodnika.

Trener coraz częściej nad nim mrucał:

– No, Owieczkin, jeszcze mnie uczynisz sławnym na starość.

I przez moment Żenia też tak myślał.

Ale Matwiej miał inne plany.

– Trzy miesiące minęły – powiedział któregoś dnia, kiedy Żenia podkładał jedzenie z lodówki.

Choć upłynęło ledwo osiemdziesiąt dni, Żenia nie zamierzał protestować.

– Umiesz się bić, młody? – zapytał brat.

Przełknął ślinę.

– Umieję – odparł.

– Zaraz się przekonamy – oznajmił Matwiej, dziwnie wesoły. – Idziemy – rozkazał.

Przed wyjściem przyjrzał się Żeni badawczo. Splunął w dłoń i poprawił mu włosy.

– Ładny jesteś, kurwunia – powiedział. – A to dobrze.

Żenia szedł posłusznie przy bracie. Minęli ulice Kosmonautów i Warneńską. Im dalej szli, tym większa gula stawała Żeni w gardle. Znał te

okolice, szwendał się po nich godzinami. Tam właśnie stacjonowały Kruki. O tej porze motocyklistów będzie dużo. Może nawet sam szef, Żmija.

Przełknął ślinę, serce waliło mu jak oszalałe. Mokre dłonie wciąż wycierał o spodnie, na wypadek gdyby kazano mu podać rękę na powitanie. Czy Matwiej chce prosić, aby Kruki przyjęły Żenię do siebie? Czy po to zadbał najpierw o jego formę, czy chce już mieć brata z głowy?

To niemożliwe, powtarzał sobie. Bał się uwierzyć w swoje szczęście.

Tak jak przewidywał, przy Petrowa siedzieli prawie wszyscy; około trzydziestu chłopów, co drugi szeroki jak szafa. Palili, nawijali niczym na targu, kręcili się przy motocyklach. Nie od razu unieśli głowy, ale w końcu musieli, kiedy obcy weszli na ich terytorium. Zapadła cisza. A wtedy Żenia usłyszał głos Matwieja.

– Hej, ty tam. Mój brat mówi, że ci spuści wpierdol.

Żenia z przerażeniem dostrzegł, że Matwiej kieruje te słowa do jednego z młodszych motocyklistów. Chłopak był dobre cztery lata starszy od Żeni, wysoki i dość dobrze zbudowany. Co najmniej trzy wagi wyżej.

Zrobiło mu się mokro również pod pachami. Ale bardziej niż Kruków bał się Matwieja. I materaca.

Kilku starszych z gangu z lekceważeniem odwróciło głowy, wracając do rozmów, ale po chwili zaczepiony przez Matwieja chłopak krzyknął:

– Serio? Przecież to straszne chuchro.

– A tak – powiedział Matwiej. – Co nie, młody? – I ścisnął Żenię za ramię tak, jak tylko on potrafił.

– Tak... – zapiszczał Żenia.

– Głośniej, młody! Dokładnie to, co mi powiedziałeś przed chwilą, że spuściłbyś wpierdol temu brzydkiemu gnojowi w podartej ramonesce – rzucił Matwiej.

Kilku członków gangu parsknęło śmiechem, Matwiej ścisnął Żenię ponownie.

– Spuściłbym ci wpierdol – powtórzył posłusznie Żenia.

Chłopak z gangu był już czerwony na twarzy. Rozejrzał się z niepokojem, a potem powiedział:

– Skoro młody tak nawija, to dostanie. – Podeszedł blisko Żeni, ale Matwiej zatrzymał go żylastą łapą.

– Nie tak prędko – powiedział. – Jak ci na imię?

– Sasza – odparł chłopak.

– Myślisz, Sasza, że ryj brata będę nadstawiał? Nie widzisz, jaki ładny? Zakład zrobimy. Dwieście hrywien, że wygra walkę.

Sasza znowu poczerwieniał, ale nie miał odwagi odwrócić się do pozostałych. Zapadło milczenie. Było już za późno, żeby się wycofać.

– Ja podejmę – powiedział za plecami chłopaka potężny brodac. Żmija. Brzydki tatuaż z wężem wyłaził mu na zarośniętą szyję. – Wygląda na dobry interes – zaśmiał się, a pozostali mu zawtórowali. Kilku przyłączyło się do zakładu.

Matwiej pozbierał kasę, a w międzyczasie Sasza zdjął kurtkę. Był żylasty, muskularny, a ręce miał dłuższe niż Żenia, choć dłonie małe. Motocykliści utworzyli krąg. Żenia widział w oczach chłopaka, że chce szybko zakończyć walkę, by uniknąć upokorzenia. Widział w jego oczach strach, nie przed Żenią, ale przed swoimi. Zrozumiał, że Sasza obroni honor, tylko jeśli znokautuje przeciwnika w pierwszych sekundach walki. I tylko to mógł wykorzystać.

Cisza, która zapanowała, oznaczała start. Sasza zbliżył się szybko, a Żenia zauważył, że jego pozycja jest nieprawidłowa, nieskolona; zwykły ulicznik. Sam jeszcze nie trzymał gardy, ręce miał opuszczone. Sasza spojrzał zdziwiony, a po chwili Żenia dostrzegł triumf na jego twarzy. Motocyklista zrozumiał, że to nie podpucha, tylko ma do czynienia z idiotą.

Zamachnął się całkiem niezłym lewym prostym, ale poszedł za bardzo do przodu. Żenia przykucnął tak nisko, że pięść po prostu przeleciała nad jego głową, a Sasza wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Stracił równowagę i to było wszystko, czego Żenia potrzebował. Z ugięcia wyrznął Saszę prosto w podbródek.

Cios był prawidłowy, jak by powiedział trener. Żenia usłyszał szmer zdziwienia wśród członków gangu, kiedy Sasza padł jak szmaciana lalka.

Wiedział, że chłopak się już nie podniesie, ale walka nie będzie zakończona, dopóki Matwiej tak nie powie.

Doskoczył do Saszy i zaczął go młócić bez opamiętania. Nagle potężne ramiona oderwały go od ziemi i przez chwilę majtał nogami jak głupek. Brodaty olbrzym, Żmija, trzymał go w wytatuowanych łapskach.

– Dość – powiedział i postawił Żenię na ziemi, wciąż jednak nie wypuszczając go z uścisku. – Nie widzisz, że nieprzytomny?

Żenia sam ciężko oddychał. Spojrzał na Matwieja. Brat się śmiał.

– Albo miał fart, albo dobry ten twój brachol – oznajmił Żmija. Pozbierał pieniądze od innych, wręczył Matwiejowi i powiedział: – Jeszcze raz was tu zobaczę, ręce urżnę.

Żenia dopiero teraz zauważył, że olbrzym cały się trzęsie. Żmija pochylił się nad Saszą, który rzeźił coś cicho.

– Matce nie mów, co się stało – szepnął Żmija i uniósł chłopaka do pionu. W ramionach szefa gangu wyglądał jak piórko. Pozostali zrobili im przejście.

Żenia spojrział na Matwieja. Brat już się nie śmiał, poczerwieniał na twarzy.

– Idziemy – warknął.

Kiedy odchodzili, Żenia czuł na sobie spojrzenia Kruków.

– Nie musiałeś go tak bić – powiedział w końcu Matwiej i zdzielił Żenię w ucho. Zabolało, ale tylko trochę.

– Skąd miałem wiedzieć, że to syn Żmii. Tyś go wyzwiał – odparł bezczelnie.

– Nie pyskuj, gówniarzu – syknął Matwiej, ale już nie był taki czerwony. Przeliczył pieniądze, zarobili całkiem sporo.

– Daj trochę – powiedział Żenia.

Matwiej spojrział na niego, a potem uderzył go pięścią w twarz.

– Chcesz wracać na materac? Jesteś moją własnością, kapujesz? Pozwalam ci spać w moim domu, a ty na mnie zarabiasz. Tak to wygląda i zawsze będzie wyglądać.

Żenia nienawidził Matwieja i to uczucie chyba nigdy nie było tak mocne jak w tym momencie. Wiedział już, że potrafi się bić, ale Matwiej sam boksował, a ważył dwa razy więcej. Już nie miał tych mięśni co kiedyś, ale jego graby były wciąż wielkie jak bochny. Chętne do zadawania bólu.

Poza tym co dalej? Będzie mieszkał na ulicy?

Matwiej złapał go za podbródek.

– Powiedz, że kapujesz, smarkaczu.

– Kapuję – odparł.

– To dobrze – powiedział Matwiej. – Jeszcze na siebie nie zarobiłeś, idziemy dalej.

Podeszli do fontanny na placu.

– Obetrzyj twarz z krwi, masz być ładny – polecił.

Żenia walczył za pieniądze przez dwa lata. Przeważnie wygrywał, a kiedy zrobiło się o nim zbyt głośno, Matwiej kazał mu też czasem przegrywać. Tego również się nauczył. Klub omijał szerokim łukiem, ze strachu, że spotka trenera. Ten mignął mu raz jeden w spożywczaku, Żenia zwiął, a potem ciężko oddychał. Bardziej bał się konfrontacji z trenerem niż walki z większymi facetami. Nie wiedział, co miałyby mu powiedzieć.

Kiedy skończył czternaście lat, wypełniły mu się barki i nie wyglądał już tak dziecinnie. Znano go w Odessie i nikt już nie był tak naiwny, żeby stawiać przeciwko chłopakowi z pięścią jak piorun. Matwiej coraz częściej kazał mu przegrywać, bo to stało się bardziej opłacalne, choć potem często wybuchała kłótnia, kiedy oskarżali ich o szwindel. Matwiej tylko śmiał się bezczelnie, a Żenia wiedział, że już niedługo będzie użyteczny dla brata.

W ostatniej walce przeciwnik już się słaniał, ale Matwiej kazał mu przegrać. Żenia się podłożył i przyjął straszne ciosy. Nos miał złamany, kilka zębów się chwiało i nie mógł spać przez parę dni. W nagrodę Matwiej dzielił go później po twarzy.

– No, nie rozpadła się – ocenił. – Walczysz jutro – dodał.

– Daj mi wygrać – poprosił Żenia.

Brat się zaśmiał.

– Zrobiłeś się za bardzo znany. Dziś przegrasz, może następnym razem pozwolę ci się pobić. Ale zawsze pamiętaj, że jesteś moją własnością.

Żenia położył się na materacu i pierwszy raz od śmierci matki miał ochotę zapłakać. Czuł się bezradny i nie chciał już walczyć, nie chciał przegrywać.

Matwiej nie obchodził się z pieniędzmi ostrożnie, więc Żenia stale mu coś podkładał. Poluzował zgniłą klepkę pod kaloryferem, tam brat chował oszczędności. Wiedział dokładnie, ile ma: cztery tysiące hrywien.

Ostatnio podbierał całkiem bezczelnie, bo Matwiej coraz częściej nie wiedział, co się dzieje. Wciąż było to jednak bardzo ryzykowne. Jakby Matwiej go nakrył, w najlepszym wypadku wyrzuciłby brata przez okno.

Żenia nie miał prawie niczego swojego. Do plecaka wrzucił zdjęcie mamy i rękawice bokserskie – pamiątkę po klubowym treningu – a potem wyczekiwał przy drzwiach, aż zapanuje cisza. Sierioża chyba spał, a Matwiej wyszedł do dziewczyny, wdowy po żołnierzu i narkomanki. Żenia zakładał, że brat wróci najwcześniej następnego dnia.

Pod osłoną nocy przekradł się przez osiedle. Całonocny do Kijowa odchodził o dwudziestą trzecią. Musiał poświęcić część oszczędności na bilet. Nie mógł ryzykować, że konduktor wykopie go w nocy, nad ranem musiał być w Kijowie.

Kupił plackartę. Leżał potem na nieświeżej pryczy, wsłuchując się w turkot pociągu na torach. Wdychał zapachy cebuli, jajek i faszerowanych udek kurczaka, usiłując zapomnieć, że jemu samemu burczy w brzuchu jak diabli.

Przedział miał dość spokojny, nie chlali. Nie chciał się wychylać, jeszcze ktoś go rozpozna. Wiedział, że Kijów jest wielkim i niebezpiecznym miastem, ale może właśnie tam starszy brat go nie znajdzie. Przez pierwszy tydzień łąził i dopytywał się o pracę. Był jednak mały, ledwo przekroczył metr sześćdziesiąt. Na budowach śmiali się z niego, nie wierzyli, że jest w stanie coś unieść, tak samo było na placach targowych. Poza boksem nic nie potrafił, a tego wykorzystywać nie chciał. Podkładał jedzenie, spał na

placach albo na dworcach, ale pieniądze i tak kończyły mu się bardzo szybko.

Wypatrzył, gdzie zbierają się kijowskie Kruki, i przesiadywał pod ulubionym barem gangu. Chciał popatrzeć na ich maszyny. Tylko popatrzeć. Siedział kiedyś i palił zwęzonego papierosa, kiedy ktoś zawołał:

– Młody!

Grupa starszych Kruków patrzyła prosto na niego.

– Podejdź tutaj – usłyszał.

Żenia z przerażeniem dostrzegł brudnosiwą grzywę Żmii. Sparaliżowało go, wiedział, że jest szybki, ale pomysł, by uciekać, wydawał się śmieszny. Ci goście mieli motocykle, a miasto należało do nich.

– Chodź tu. Zanim po ciebie przyjdę – powiedział Żmija. Żenia wstał, przeklinając swoją głupotę.

Każdy z tych facetów ważył co najmniej dziewięćdziesiąt kilo. Żmija wyciągnął rękę i chwycił Żenię za podbródek.

– Tak se myślałem, że to ty – oznajmił i rzucił do kolegów. – Zdefasonował mojemu młodemu ryj, do szpitala wysłał.

Cisza. Żenia wiedział, że w Kijowie rządzi miejscowy odłam Kruków, ale jakie to miało znaczenie. Żmija był wysoko w Odessie, to i tutaj go słuchano.

Połamię mu nogi i utopią w betonie. Przymknął oczy, szykując się do walki. Może, jeśli dopisze mu szczęście, dostanie kosę pod zebro.

– Miałem cię już więcej nie widzieć – powiedział Żmija.

Żenia zagryzł wargi, nic nie mówił; wypróbowana, choć nie zawsze bezpieczna strategia.

– Milczek żeś się zrobił, a Saszkę toś obrażał, co? – powiedział Żmija.

– To brat...

– On z tobą w Kijowie?

– Nie. Zwiąłem z domu – powiedział Żenia. Co jak co, ale z Matwiejem Żmija nie trzymał.

– Serio? – Żmija spojrzał na niego uważnie. – A co tutaj robisz? Czemu się kręcisz?

– Lubię motory.

Żmija spojrział na niego i się zaśmiał.

– Dalej masz to uderzenie? – zapytał.

– Lepsze.

Motocyklista pokiwał głową, szepnął coś do innego brodacza, a do Żeni rzucił:

– Za mną, młody.

Poprowadził chłopaka do opuszczonego budynku, kilkaset metrów od baru. Za nimi szło jeszcze dwóch Kruków. Otworzył drzwi i Żenia zauważył niskiego faceta siedzącego na podłodze. Cały się trząśł.

– Młody, jak masz na imię w ogóle? – zapytał Żmija.

– Żenia.

– Słuchaj, Żenia, ten tutaj nas okradł. Mówi, że to nie on, ale mu nie wierzymy – powiedział Żmija. – Nie chce nam się już z nim męczyć. Tyś młodszy, może lepiej ci pójdzie. Masz godzinę, żeby wyciągnąć z niego, gdzie trzyma nasze pieniądze.

Żenia spojrział na faceta w kącie.

– Nie chcę – powiedział.

– Myślisz, że zapomniałem, jak przetrąciłeś twarz mojemu młodemu? Od tego czasu Sasza jest bojaźliwy, do niczego się nie nadaje. W domu siedzi tak dużo, że nawet książki zaczął czytać – zaśmiał się Żmija. – Zepsułeś mojego jedyne go syna. Jak nie wyjdiesz stąd z informacją, to ja zepsuję ciebie.

Kruki parsknęły śmiechem. Żenia kiwnął głową.

Żmija zamknął drewniane drzwi. W środku paliła się tylko słaba żarówka. Facet spojrział na Żenię, a Żenia zdjął kurtkę.

Po godzinie wyrecytował to, co powiedział mężczyzna. Żmija kazał mu czekać. Żenia i tak nigdzie się nie wybierał. Był bardzo zmęczony, nie mógł gościa znokautować, ten musiał żyć, więc ta robota go wykończyła.

Żmija wrócił po dwóch godzinach. Biło od niego zadowolenie. Podszedł do Żeni, wyciągnął piersiówkę i mu podał. Żenia wziął, z lekkim tylko

wahaniem. Napił się. Whisky, może nawet Johnnie Walker, nie żaden tam bimber. Miał ochotę na więcej, ale szybko oddał piersiówkę Żmii.

– Wyciągnąłeś to z niego, młody, żona go nie pozna. Twarde masz te łapska – powiedział motocyklista. – Prawdę powiedziawszy, nie mam do ciebie żalu, tak tylko gadałem. Dobrze, żeś Saszy uświadomił, że do nas nie pasuje. Prędzej czy później inny kogut spuściłby mu lanie, może nawet gorsze. No, opłucz się teraz, a potem poproś barmana o ściereczkę, wiaderko i umyj mi maszynę. Strasznie się zakurzyła po drodze. Tylko nie zalej, bo jaja urwę.

Żenia posłuchał, a potem Żmija kazał lokalnym mieć na niego oko, bo chłopak z przyszłością, jak powiedział. Mył kijowskim Krukem motocykle, robił to z przyjemnością. Poznawał przy tym fragmenty motorowego ciała: potężne ścięgna silnika, koliste sprzęgło, smukły układ wydechowy.

Po kilku tygodniach, kiedy siedział pod barem i kurzył, spora grupka Kruków wyszła na zewnątrz. Skierowali się do maszyn. Jak zwykle starał się nie zwracać na siebie uwagi. Ale wtedy usłyszał:

– Młody, a ty się do tego betonu przykułeś czy co? Długo będziemy na ciebie czekać?

Wstał i podszedł niepewnym krokiem.

Zauważył, że motocykli jest o jeden za dużo. Stara honda. Solidnie obtarta i nie za czysta. Przed wszystkim jednak wyraźnie bezpańska.

Na rączce wisiał kask. Jeden z brodaczy rzucił mu kurtkę.

– Twoja. I pyrkawka też. Żmii podziękuj.

Kurtka cuchnęła cebulą i była za duża, ale Żenia po raz pierwszy w życiu czuł się szczęśliwy.

Po dwóch latach był Krukiem. Cichy, uczynny, mówił mało, działał szybko. Nie podpadał szefom, w Kijowie uchodził za protegowanego Żmii.

Nadchodziła zamieć polityczna. Żeni polityka nie interesowała, ale w jego kręgu o tym się gadało. Kiedy Janukowycz odrzucił umowę stowarzyszeniową z Unią, gang został zmobilizowany. Ludzie zbierali się na Majdanie, a Kruki jak anioły zagłady przemierzały Kijów, bijąc i usuwając

protestujących. Ale wkrótce sprawy wzięły w łeb, ludzie na Majdanie byli twardzi, twardsi niż prezydent.

Żenia wiedział, że przegrają, o Krukach zrobiło się głośno, nowa władza mogła się nimi zająć w każdej chwili. Uznał, że z nimi skończył. Kochał motocykle, ale nigdy tak naprawdę nie czuł się członkiem gangu, bo nigdy nie czuł, że gdzieś przynależy.

Jeździł teraz dwuletnim triumphem i miał trochę odłożonej kasy. Najpierw w prześcieradle, potem normalnie w banku, ale wyjął ją stamtąd i znowu schował w pościeli.

Myślał o Polsce już od dłuższego czasu: blisko i kraj jakiś taki spokojniejszy, choć po swojemu też porąbany. Wiedział, że gang go nie puści, więc to on musiał opuścić gang.

Gang, Kijów i Ukrainę, w tej kolejności. Ale została mu jeszcze sprawa do załatwienia.

Właściwie dwie.

Sierioża umarł szybko i nawet wyszeptał „przepraszam”. Miał jakieś, słabe i zapijaczone, ale jednak serce. Z Matwiejem odbyła się zupełnie inna rozmowa. Żenia poświęcił mu cały dzień. To było ryzykowne, bo ktoś z Kruków mógł go zauważyć w Odessie, ale zdecydowanie warte swej ceny.

Od trzeciej godziny imprezy Matwiej nie przypominał już człowieka, a mieli przed sobą jeszcze siedemnaście, i Żenia wiedział, jak przytrzymać brata przy życiu. Martwił się trochę, że zapijaczone ciało nie da rady, ale Matwiej był twardy, nawet kiedy stracił już część kończyn, nawet kiedy Żenia wyłupił mu oko – bo chciał, żeby brat wciąż widział drugim, co się dzieje.

Przez chwilę nawet zastanawiał się, czyby go tak nie zostawić, podrzucić pod szpitalem. Ale nie chciał, by Matwiej żył. Po dwudziestu godzinach czuł się zaspokojony. W drugie oko wbił Matwiejowi nóż czeczeński. Brat wił się chwilę, zarzęził i zdechł.

Ten właśnie nóż Żenia obracał teraz w dłoni. Nigdy się z nim nie rozstawał i pewnie nie rozstanie. A kiedy to pomyślał, naszała go pokusa, żeby

wyrzucić kosę do pierwszego lepszego śmietnika.

Zapłacił już za benzynę na stacji. Wypił red bulla, którego przegryzł suchym hot dogiem, i wrócił na autostradę, kierując się na Włochy. Wynajmował tam całkiem wygodną kawalerkę.

Materac na podłodze, duża plazma i playstation do symulatorów wyścigów motocyklowych. Mała kanapa i prawie pusta lodówka; Żenia nie musiał wiele jeść, wystarczał mu jeden posiłek dziennie.

Kawalerka miała skromne wyposażenie i odpowiadało mu to. A jeśli kiedyś wpadnie tu policja, to niewiele znajdzie. Jego dawno już tu nie będzie.

Na szczęście sąsiedzi w Warszawie byli mniej ciekawscy niż na Ukrainie. Każdy pochylał głowę i czym prędzej znikał za podwójnym rygłem. Poza tym zaletą mieszkania była lokalizacja, tuż przy wylotówce z Warszawy. To miało znaczenie, jakby coś poszło nie tak, jak teraz. I choć jeszcze nikt nie deptał mu po piętach, Żenia czuł się zaniepokojony.

Czasem załatwiał sobie towarzystwo. Męską prostytutkę, jako że znajomości z Grindra były zbyt absorbujące. Dostęp do seksu poprzez gejowski portal randkowy okazał się łatwy, ale po jakimś czasie oczekiwano uczuć, poza tym Żenia odmawiał biernej roli w łóżku.

Zastanawiał się przez chwilę nad załatwieniem sobie kogoś do towarzystwa na stałe. Ale wśród ludzi był niespokojny i nie bardzo wiedział, co robić po seksie. Uporczywe milczenie przeważnie wystarczało i tylko kilka razy Żenia musiał wyjąć nóż, żeby obniżyć temperaturę.

Maja Chabrowska, jego cel, miała męża. Klient o tym nie wspomniał, ale Żenia się przygotował. Może i ten mąż nic nie wiedział, ale trzeba było gdzieś zacząć. Tylko teraz po cichu, bez błędów.

Zszedł do garażu, jednej z dwóch bud, które wynajął od sąsiada. Facet był zdziwiony, widząc Żenię podjeżdżającego na motocyklu.

– Nie szkoda panu pieniędzy? Gdzieś pan to upchnie na parkingu podziemnym. Nie chce pan zagadać z dozorcą? – zagajał mężczyzna, niepomny milczenia Żeni.

W końcu, jak zwykle, podziałało. Facet wycofał się, po tym jak Żenia zapłacił mu za rok z góry. Następnie, po cichu i jeden po drugim, wprowadził do garaży swoje skarby.

Sąsiad nie przewidział, że będą ich tam cztery; wszystkie na fałszywych blachach. Żenia dawno już oszedł od harleyowej klasyki i od swoich kruczych korzeni. Do pracy potrzebował czegoś zwinniejszego, lżejszego. Szybszego. I przede wszystkim mniej rzucającego się w oczy.

Zmienił rejestrację w sportowym kawasaki, z garażu wyprowadził kilkuletnie enduro bmw. Motocykl w jego oczach banalny, nadrabiający jednak wszechstronnością. Sprawa wymknęła się nieoczekiwanie spod kontroli i musiał być przygotowany na kolejne niespodzianki.

Doszedł do wniosku, że zgubiła go pewność siebie. To, że od czasu pierwszej ucieczki z Odessy wszystko tak mu się układało. Uwolnił się od braci i materaca na Czeremuszkach. Miał obecnie cztery dobre maszyny, pełną kieszeń, cenione umiejętności i renomę. Kontrolował sytuację. W tej drugiej połowie życia sunął tak gładko, że niemal zapomniał o pierwszej.

Zamknął oczy, muskając rączkę bmw. Uspokajał się w ten sposób i koncentrował. Wiedział, że trochę to potrwa, ale był cierpliwy.

W końcu mąż się wysypie. I doprowadzi go do swojej żony.

Nie miałem czasu przemyśleć swoich odkryć, musiałem pędzić po Igę. Było już za późno, żeby zdążyć po Stasia; zadzwoniłem i jednak uprosiłem o to Swetrową.

Wsiadłem do saaba i po dwudziestu minutach zajechałem na ulicę Podchorążych. Z trudem znalazłem miejsce przy szkole, która nie dorobiła się jeszcze parkingu. Sądząc po samochodach zaparkowanych jedne na drugich na ulicy i po ich markach, starsi uczniowie – licealiści – dojeżdżali już na lekcje sami. Bo czy nauczyciel pozwoliłby sobie na nowe porsche cayenne? A po niektórych podopiecznych, jak zaobserwowałem, przyjeżdżali kierowcy.

Do szkoły Igi chodziły dzieci artystów, inteligencji, imigrantów, a nawet uchodźców. A także klasy wyższej – do której my oczywiście się nie zaliczaliśmy. Społeczeństwo dosięgło rozwarstwienie i zyskało to swoje odbicie nawet w renomowanej prywatnej placówce. Mimo to zachowywała wolnościowego ducha, nauczyciele wyglądali jak wieczni studenci albo przeterminowani hipisi, a nad wszystkim wciąż unosił się duch intelektualnego elitaryzmu. Pytanie, jak długo tak pozostanie, kiedy starsi uczniowie dojeżdżali do szkoły porsche i jeepami.

Z budynku wystrzeliła hałaśliwa grupka, w tym Iga, która wytoczyła się na tych swoich cienkich nogach. Nagle była sama, koleżanki zostały gdzieś z tyłu. W każdym razie nie widziałem, żeby z kimś się pożegnała. W milczeniu wsiadła do saaba, nie podnosząc nawet wzroku znad ekranu swojego jabłkowego smartfona. Pewnie pisała do tych, z którymi przed chwilą rozstała się bez słowa.

– Jedziemy coś zjeść? – zagailem.

– A Staś?

– Posiedzi u Aleksa.

– Znowu?

Zbyłem to; czasem było mi wolno.

W meksykańskiej knajpie odstręczająco pachniało olejem, ale zdążyliśmy jeszcze na lunch i zamówiliśmy ogromną miskę nachosów. Wiedziałem, że to rozweseli Igę. Jadła powoli, ale konsekwentnie; siły natury wygrywały z przygnębieniem.

Sam nie miałem apetytu. Zjrzałem do internetu: o Mai było coraz głośniejsze. Wtedy zadzwonił telefon.

Grzesiek. Zamknąłem oczy, odczekałem dwa sygnały, uprzedziłem Igę, którą to niewiele obeszło. Zajął się nachosami i swoim smartfonem. Mógłbym się założyć, że wrzuciła zdjęcie jedzenia do sieci.

Głos w telefonie brzmiał spokojnie.

– Bardzo mi przykro, Grzesiu – zacząłem.

Przytaknął.

– Jestem na policji – powiedział wprost. – Z adwokatem.

– Jasne.

– Czy wiesz coś o tym... – Jego głos lekko się załamał. Czekałem. – Dlaczego Natka miała na sobie ubranie Mai? A także makijaż oraz farbę na włosach? – dokończył.

Mówił rzeczowo i spokojnie. Naukowiec, który dyscyplinę świata akademickiego przekładał do biznesu. Rzetelny, dokładny, konstruktywny.

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Podobno znaleźli twoje ślady na miejscu zbrodni.

– Prowokują cię – powiedziałem. – Nie mają jeszcze...

– Czy ty i Natalia? – przerwał mi.

– Słucham?

– Kiedyś myślałem... – Zawahał się, przez głowę przemknęło mi, że odpuści. – Coś was łączyło?

Odetchnąłem głęboko. Jakie to miało znaczenie, gdybym się teraz przyznał. Czy powiększyłbym jego cierpienie? Jakoś nie mogłem dłużej kłamać. Poza tym Natalia nie żyła. Grzesiek zasługiwał na prawdę.

– Tak – odparłem.

– Długo to trwało?

– Kilka tygodni.

Chwila ciszy.

– Ty skurwysynu – wyszeptał.

– Grze...

– Obyś jej nie odnalazł – powiedział.

Trzask słuchawki.

Patrzyłem tępo przed siebie. Nienawiść w głosie Grzeška pogrążyła mnie w poczuciu winy.

Musiałem wziąć się w garść. Wróciłem do stolika, gdzie Iga rozpracowała już wszystkie nachosy i rozgrzebała burrito z kurczakiem, dźgając je widelcem. Usiłowałem się do niej uśmiechnąć.

– Tato – powiedziała, przytykając kawałek papryki do ust.

– Co, kochanie?

Wyglądała tak, jakby się wahała.

– Nic – stwierdziła w końcu.

– Chciałaś mi coś powiedzieć? – zaryzykowałem po chwili milczenia.

– Yyy – wymruczała.

– Yyy, co?

– Nic.

– Zupełnie nic? – Powstrzymałem się przed złapaniem jej za szczupłą dłoń ze smartwatchem na przegubie. Nie miałem pojęcia, kiedy go dostała, ta nasza córka cała w gadżetach.

– Nic – powtórzyła. – Idziemy po Stasia?

Swetrowa okazała się dzisiaj bardziej ciekawska niż poprzedniego dnia, a na koniec wepchnęła mi jakieś podejrzone słoiki, tłumacząc rozwlekłe ich zawartość i metodę odgrzania. Chyba uznała, że pod nieobecność Mai będziemy głodować. Nie miałem siły i powodu tłumaczyć, że to ja jestem domowym kucharzem. I tak by mi nie uwierzyła.

Na koniec zasugerowała, że przyjdzie do nas, posprząta i będzie zastępczą panią domu. Zabrałem Stasia i wymknąłem się w chwili, gdy czujny wzrok Swetrowej skierował się na moją koszulę. Wiedziałem, że nie jest wyprasowana, a nasza sąsiadka nie znała granic.

Po wyjściu zdałem sobie sprawę, że nigdy nie widziałem Swetrowego. Czy facet w ogóle istniał? Swetrowa sprawiała wrażenie samowystarczalnej. Jak jednak utrzymywałyby rodzinę? Sama nie mogła raczej pracować, udzielając się w przedszkolu, szkołach i wszystkich możliwych lokalnych inicjatywach. Jeśli jej mąż gdzieś tam był, jego rola ograniczała się tylko do prokreacji i zaspokajania potrzeb materialnych.

A teraz Swetrowa chciała wdrzeć się do nas wraz z całą swoją czeredą. Obawiałem się, że Febus mógłby nie dojść do siebie po takiej wizycie.

Iga zamknęła się w swoim pokoju, a Staś zajął się zabawkami. Sam usiadłem z kubkiem kawy przy kuchennym stole. Usiłowałem to wszystko ogarnąć i pozbierać do kupy. Co właściwie wiedziałem o własnej żonie? Dlaczego nigdy nie poznałem jej matki, dlaczego Iga i Staś nie mieli dziadków?

Po mojej stronie sprawa była jasna. Mama zmarła młodo, a ojciec tak się zapił, że od piętnastego roku życia nie zamieniłem z nim pięciu zdań. To nieprawdopodobne, ale żył gdzieś jeszcze, najpewniej na Bemowie. Na tym etapie chyba tylko codzienne picie mogło zakonserwować i utrzymać przy życiu mojego nieszczęsnego rodziciela.

Raz na kilka miesięcy podejmowałem próbę namierzenia go i robiłem to głównie po to, żeby sprawdzić, czy jeszcze nie umarł. Historia Mai była z pewnością równie ponura, bo nawet nie chciała o tym rozmawiać. Mimo to wiedziałem, że jej matka gdzieś tam jest.

Kilka miesięcy po naszym powrocie do Polski odebrałem telefon i pełen zdziwienia rozmawiałem z tą kobietą, obiecując, że przekażę prośbę o kontakt. Reakcja Mai mnie zaskoczyła.

- Nigdy więcej tego nie rób – powiedziała ostro. – To są moje sprawy.
- W których chcę uczestniczyć – odparłem.
- W tych nie musisz – ucięła.

Potem poprosiła, abyśmy zastrzegli nasz ówczesny numer, co zrobiłem. Może jednak wciąż miałem zapisany telefon jej matki. Poszedłem do gabinetu i zacząłem przetrząsać szuflady w nadziei, że nie wyrzuciłem starego notesu. Udało się, był pełen numerów stacjonarnych, niektóre z nich sięgały czasów licealnych wakacji. Były tam nazwiska dziewczyn, do których nigdy się nie odezwałem albo które nie oddzwoniły. Niezrealizowane scenariusze życia. Kiedy indziej mógłbym popaść w nostalgię.

W końcu znalazłem. „Mama Mai, Maria Pilaszek” – z dodanym wykrzyknikiem. Przypomniałem sobie głos o stanowczym brzmieniu. Na początku nie rozumiałem, jak do nas dotarła: szybko wyjaśniło się, że Maję zdradził ślub zawarty w konsulacie. Maria Pilaszek dopytywała się o córkę, docierając aż do Brazylii. Tam poinformowano ją, że Maja zmieniła nazwisko.

Wtedy uznałem, że są to sprawy, w które nie powinienem się wtrącać. A teraz żałowałem, że odpuściłem. Wykręciłem numer. Raz, dwa, trzy, doszedłem do sześciu i już odkładałem słuchawkę, kiedy usłyszałem zdyszane „Halo”. Przedstawiłem się i zapanowała cisza.

– Jestem mężem Mai. Rozmawialiśmy kilka lat temu – wyjaśniłem.

– Pamiętam.

– Muszę z panią pomówić.

– Coś się stało?

– Chciałbym się spotkać – powiedziałem. – Może w sobotę? To znaczy jutro?

– Wyjeżdżamy z mężem na działkę – odparła.

A więc informacja o zaginięciu Mai nie dotarła do jej rodziców. I dobrze.

– Dzisiaj? – zaryzykowałem.

Kobieta zamilkła.

– Czy z Mają wszystko w porządku?

– Tak – skłamałem. – Chciałbym tylko pogadać. Ona o niczym nie wie.

– Proszę przyjechać do osiemnastej – oznajmiła. – Później to już nam się nie opłaci wyjeżdżać i zepsuje nam pan weekend.

Podawała mi adres. Zerknąłem przez okno: było już depresyjnie ciemno, choć dochodziła siedemnasta. Co ja zrobię z dzieciakami?

Nie chciałem znowu podrzucać ich Swetrowej. Zadzwoiłem do dwóch opiekunek, jedna zbyła mnie, druga okazała się nieosiągalna. Z ciężkim sercem zapukałem do drzwi Igi. Wszedłem do środka, kiedy zdało mi się, że słyszę jakiś nieartykułowany dźwięk. Moja córka była w swojej ulubionej, leżącej pozycji.

– Muszę wyjechać na godzinę – powiedziałem. – I nie mam was z kim zostawić.

– W porządku, tato – odparła, nie podnosząc wzroku.

– Będziesz musiała zająć się bratem.

Odniosłem wrażenie, że lekko zeszywniała.

– Okej? – upewniłem się, wiedząc, że powinienem już zamilknąć po tych słowach, nie przerzucać na nią swojej nieufności.

– Spoko – odparła.

Uprosiłem ją, by zerknęła na niego raz na jakiś czas, choć wiedziałem, że równie dobrze mógłbym zostawić Stasia z samym Febikiem. Po naszych doświadczeniach za sukces uznałbym fakt, że dzieciak zwyczajnie będzie w domu, kiedy wrócę.

Nawigacja nie dała rady w gąszczu ursynowskich ulic; w końcu porzuciłem auto na jakimś dzikim parkowisku. Zapytawszy o drogę parę dzieciaków marznących na ławeczce w rytmie muzyki z telefonu, odnalazłem w końcu ulicę Wiolinową.

Poszukiwanie opieki dla dziecka pożarło trochę czasu i dochodziła już osiemnasta trzydzieści, kiedy dzwoniłem domofonem w typowym ursynowskim, ni to ładnym, ni to brzydkim, bloku.

Swego czasu komunistyczne władze zasiedliły Ursynów inteligencją. Jednak ci, którzy czegokolwiek się dorobili za kapitalizmu, zdążyli wynieść się pod Las Kabacki albo na prestiżowy Mokotów. Spodziewałem się nie wiadomo czego. Drzwi mieszkania otworzyła mi ciemnowłosa kobieta

o niewyróżniającej się twarzy i fryzurze. Włosy, bez siwizny, wyglądały na niefarbowane, choć przecież musiała być grubo po pięćdziesiątce.

Zawahała się i chwilę wyraźnie zastanawiała, czy wpuścić mnie do środka, tak jakbym był obwoźnym sprzedawcą pasty do butów, a nie mężem jej córki. No ale cóż w tym dziwnego, nie rezygnuje się z relacji z rodzicami tak bez powodu, prawda?

Z równą nieufnością przekroczyłem próg jej domu. Kwadratowa klepka, lśniące, starszawe meble, jakby z lat dziewięćdziesiątych. W salonie, gdzie mnie posadzono, było czysto, ciemno i pachniało jedzeniem, chyba kalafiolem, oraz, trochę, papierosami. Ale żadnych butelek, to nie była patologiczna rodzina. Dodatkowo na komodzie dostrzegłem fotografię ze ślubu i drugą, młodej dziewczyny z ciemnymi włosami. Była podobna do gospodyni. Najwidoczniej druga córka miała swoje miejsce w rodzinie, podczas gdy Maja została wymazana z jej pamięci.

Po chwili wszedł drobny facet, całkiem sympatyczny z wyglądu, mniejszy od żony. Do niego Maja podobna była bardziej niż do swojej matki Horpyny.

Maria Pilaszek nie zaproponowała mi herbaty i wydawała się zniecierpliwiona.

– Moja żona, wasza córka, zaginęła – oznajmiłem, kiedy usiadłem na pokrytym jasnym skajem fotelu.

Nie spodziewałem się omdleń, ale tylko ojciec Mai zamrugał z niedowierzania.

– Dopiero teraz pan o tym mówi? – zapytała matka.

Oniemiałem. Jeśli sądziłem, że postara się zatrzeć złe wrażenie, jakie zrobiła przez telefon, ewidentnie się myliłem.

– O jej śmierci też byśmy się dowiedzieli od postronnych – dokończyła po chwili.

Zerknąłem na jej męża, ale pan Pilaszek chyba nie otrzymał prawa głosu.

– Niewiele wiem o przeszłości Mai – powiedziałem. – Czy była z kimś blisko w Warszawie, czy był ktoś szczególny w jej życiu?

– Córka nam się nie zwierzała – odparła Pilaszkowa. Zerknęła ostentacyjnie na zegarek.

– Dlaczego nie zależy wam na kontakcie z Mają? Czy państwo wiedzą, że macie wnuki? – zapytałem.

– Przyniósł pan ze sobą zdjęcie? – wtrącił w końcu Pilaszek, ale żona zgasiała go gestem.

– Z pewnością się odnajdzie. Po drugiej stronie świata. Zostawiła pana tak jak nas – oznajmiła moja teściowa. – Gdzie się poznaliście?

– W Brazylii.

Pokiwała głową.

– No tak, stąd ślub w konsulacie. Jakby nie można było w Polsce. Nic dziwnego, wszystko robiła po swojemu. Nie poszła na studia. Spała do popołudnia, a wieczorami pałętała się po centrum. Piła.

– Piła?

– A co, tego pan o żonie nie wie? – zaśmiała się. – Mąż chodził z nią po psychiatrach. I co? Poinformowała nas, że wyjeżdża, że będzie pracować za granicą. Jakby jeden dzień w Polsce przepracowała. I wie pan, co nam powiedziała, kiedy zapytaliśmy, co będzie robić?

Zaprzeciylem.

– Mąż prawie padł, kiedy oświadczyła, że będzie pomnikować. Stać jak słup. To była ta jej praca. – Ułożyła cudzysłów z palców. – Zglupiałeś, Stasiu, jak to usłyszałeś, prawda?

Nie mogłem uwierzyć, że nasz syn otrzymał imię po tym pantoflarzu. Darowałem sobie obserwację, czy Pilaszek znowu zamruga powiekami.

– Wysłała nam pocztówkę. Z Hiszpanii. A potem z Brazylii. Skąd miała na samolot, to wolę się nie domyślać – kontynuowała Pilaszkowa i spojrzała na mnie prowokacyjnie. Przez twarz męża przeszedł cień.

Zostawiłem dzieciaki same tylko po to, by zrozumieć, przed czym uciekała Maja. W innych okolicznościach ta wiedza mogła być cenna. Teraz czułem irytację i żal mi było żony. Rodzice mieli prawo do urazy, ale autorytaryzm Marii Pilaszek mnie odstręczał, a byłem tu dopiero od pięciu minut.

– Natalia Mroczkiewicz? Nazwisko panięskie Głowacka? – zapytałem, lekko już zdesperowany. – Mówi państwu coś to nazwisko?

Pilaszkowa znowu spojrzała na zegarek. Pokręciła głową.

– Powinno? – zapytała.

– Przyjaźniła się z moją żoną.

– Majka głównie przyjaźniła się z chłopakami – oświadczyła Maria Pilaszek. – Choć nazwałabym to inaczej.

– Pamięta pani jakiegokolwiek nazwiska? – Pragnąłem już wyjść. Wcale nie byłem ciekaw tych rewelacji. Poczułem, że zapach kalafiorów staje się nie do zniesienia, a grube zasłony (byle tylko sąsiedzi nie zobaczyli skrawka twojego życia) atakują roztoczami.

– Nie – odparła kobieta. – A jeśli zatrzyma pan nas jeszcze chwilę, to na działkę wyjedziemy dopiero jutro.

– A może siostra? – zapytałem.

– Siostra?

Wskazałem na fotografię.

– Mógłbym prosić o kontakt do niej?

Maria Pilaszek patrzyła na mnie chwilę bez zrozumienia w oczach, aż w końcu to jej mąż powiedział cicho:

– Nie mamy więcej dzieci.

Wstałem i podszedłem do fotografii. Za mną zapanowała cisza, słyszałem ciężki oddech Pilaszkowej.

Czasem spotykasz na końcu świata osobę o identycznych gestach i mimice jak twój dobry znajomy, a niespokrewnieni ludzie są do siebie bardziej podobni niż bliźnięta. Ale kiedy patrzyłem na te ciemne włosy, pulchną twarz i perkaty nos, wiedziałem jedno. Ojciec nie przypominał Mai bardziej niż jego despotyczna żona – a to dlatego, że jej ojcem nie był. A moja żona nie była Mają Pilaszek z ulicy Wiolinowej.

Przykro mi było zbyć Pilaszka, który zakradł się do mnie przy wyjściu i próbował wyciągnąć zdjęcia dzieci. Nie mogłem wymówić słowa; czułem się tak skołowany, że nie pamiętam drogi powrotnej do Izabelina,

a otrzeźwiła mnie dopiero potrzeba otwarcia bramy wjazdowej na nasze osiedle. Na miejscu okazało się, że Staś żył i był jeszcze w domu, co stanowiło sukces, nawet jeśli Iga nie zajrzała do brata ani razu.

Zapraǳiałem papierosa i przez jakiś czas miotałem się w kuchni, kompulsywnie zagląǳając do szafek, aż w końcu przypomniało mi się studio Mai, czy jakkolwiek powinienem teraz nazywać moją żonę. Jej pracownia w domu była malutka i tak samo jak ta na Inwalidów mieściła się na poddaszu. Podwyższyliśmy to pomieszczenie, dokonując z pewnością samowoli budowlanej, ale ostatecznie Maja oświadczyła, że nie ma tu ani przestrzeni, ani atmosfery. Kilka zakurzonych szkiców i złamane sztalugi walały się po ziemi. Odrobinę mnie zaskoczył ten nieporządek.

Szczęśliwie znalazłem starą paczkę z jednym, pożółkłym ze starości vogiem i wyszedłem na dwór w tę wyjątkowo czystą październikową noc. Spojrzałem na ścianę Kampinosu. Dopadła mnie nagła tęsknota za wysiłkiem na powietrzu, codziennymi rytuałami. A potem zdałem sobie sprawę z tego, że choć bezradny, to wcale nie jestem smutny.

Wciąż odczuwałem ulgę po odnalezieniu zwłok Natalii i instynktownie czułem, że Maja żyje. Że uciekła z jakiegoś powodu. Nie wiedziałem tylko, dlaczego i przede wszystkim – kim jest.

O dziewiątej usłyszałem natarczywy dźwięk dzwonka, a po chwili całą przestrzeń wąskiego holu zajął sobą Listek. Uśmiechał się paskudnie. Febus, z zasady przyjaciel wszystkiego, co żywe, schował się za moimi plecami. Być może uznał Listka za niedźwiedzia, który wylazł z Kampinosu. Gdzieś tam z tyłu stała aspirantka Tol, niemal niezauważalna za plecami partnera.

Byłem w szlafroku, Staś wsuwał owsiankę, a Iga spędzała czas w łazience – z dnia na dzień te minuty się wydłużały. A jeśli zaczęła się malować, to nie chciałem być tym, na którego spadnie obowiązek przeprowadzenia rozmowy wychowawczej.

– Można? – Podkomisarz wprosił się do środka.

Niechętnie ustąpiłem. Odniosłem wrażenie, że podłoga zaskrzypiała żałośnie, przypominając, że położyliśmy ją po tanioci.

– Robię dzieciakom śniadanie – powiedziałem.

– Nie szkodzi – odparł Listek. Rozejrzał się ciekawsko, a potem wyciągnął szyję w kierunku schodów.

– Mogę pomóc? Zamierzacie przeszukać nasz dom? – zapytałem.

Listek się skrzywił.

– A ma pan coś do ukrycia?

– Żonę na strychu – odparłem, zanim ugryzłem się w język.

– Niech pan tak nie żartuje – wtrąciła Tol.

– To proszę mnie nie nachodzić.

Listek, nieproszony, rozsiadł się na kanapie, która wygięła się w kształt litery „u”.

– Jest pan wyjątkowo spokojny jak na fakt, że żona zaginęła – oznajmiła Tol. – A kochanka została zamordowana.

Rozejrzałem się nerwowo. Iga jeszcze nie wyszła z łazienki.

– Tu są dzieci – powiedziałem. – Jest pani matką?

Cień przeszedł przez twarz aspirantki. Listek z kolei uśmiechnął się enigmatycznie.

– Żona się nie odzywała? – zapytał. – Za dziećmi nie tęskni?

– Nie.

– I wciąż nie wie pan, gdzie jest? – zapytał.

– Myślałem, że to wy się zajmujecie szukaniem ludzi.

Nie zakładałem, że to skomentuje.

– I nigdy – sięgnął teraz do kieszeni płaszcza – nie widział pan tego mężczyzny?

Podstawił mi pod nos portret pamięciowy. Facet był przystojny, choć rysy twarzy miał nieco zbyt grube. Do tego krótkie włosy, no i wyglądał starzej niż na zdjęciu. Czyli mniej więcej na mojego równolatka. Postarzał się nieco, od kiedy wylądował na stronie z poszukiwanymi osobami.

Lecz to był z pewnością Jonasz Marzec. Teraz prawie czterdziestoletni.

Ułamek sekundy za późno odwróciłem wzrok. A może Listek zobaczył zawahanie w moim spojrzeniu. Pochylił się ku mnie.

– Myślę, że pan coś wie – powiedział. – Porozmawiajmy sobie na komendzie.

– Aresztujecie mnie?

– Nic takiego. Ale jeśli pan tego potrzebuje, wystawimy papierek.

– Na jakiej podstawie? Macie już wyniki DNA?

Listek się skrzywił.

– Tylko pogadamy – oznajmił. – Po co tyle krzyku.

– Zacznijmy od tego, że wkraczacie do mojego domu w sobotę.

– Więc sam pan widzi, jak ciężko pracujemy na nasze marne pensje. Ja też przecież wolałbym robić dzisiaj co innego.

– Co mam zrobić z dziećmi? – zapytałem.

Listek wzruszył ramionami.

– Coś pan wymyśli – powiedział. – To nie potrwa długo.

– Nie będziemy pana zatrzymywać – zapewniła Tol, co mogło zabrzmieć dwuznacznie.

Usłyszałem skrzygnięcie i zerknąłem na schody. Zmaterializowała się na nich Iga. W fantazyjnie kolorowym i wzorzystym szlafroku Mai wyglądała bardzo niewinnie. Patrzyła na Listka z przestachem. Podszedłem do niej.

– Iga, poczekaj na górze – poprosiłem.

Nie chciała się ruszyć. Wpatrywała się w policjanta.

– Ja... przepraszam – powiedziała.

Wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Iga – powtórzyłem.

No i rozbeczała się. Tol zrobiła ruch w naszym kierunku, a Listek odwrócił wzrok, jakby widok płaczącej dziewczynki był odrażający. Poczulem na palcach mokry nos. Febus wyczuł, że dzieje się coś niedobrego.

– Poczekaj w pokoju – powiedziałem do córki. Posłusznie, jak nie ona, odwróciła się i powlokła po schodach. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Tak blisko, że zorientowałem się, że znowu zamknęła się w łazience.

– Dajcie mi zadzwonić – poprosiłem.

Trudno powiedzieć, aby na twarzy Ani widniał uśmiech, kiedy otwierała nam drzwi, ale chyba się starała. Moje dzieciaki wyglądały jak para sierot z prozy Dickensa. Pocałowałem Stasia w głowę, pchnąłem lekko Igę do środka na zachętę. Gospodyni zrobiła jej miejsce.

Ania mieszkała w domku jednorodzinny: pozostałość po bogatym mężu albo spadek po rodzinie, nie pamiętałem. Z zewnątrz budynek był trochę zapyziały, ale w środku przytulny i nowoczesny: kanapy za dziesięć tysięcy z hakiem, kolory, dodatki i kwiaty.

Było tu domowo i podobało mi się to. Staś stał chwilę zdezorientowany, po czym wskoczył w butach na jedną z sof i zaczął po niej skakać. Spojrzałem przepaszająco na Anię.

– Och, daj spokój – powiedziała. – To tylko kanapa.

Staś umiał sobie znaleźć zabawę w sekundę, dla niego przestrzeń wciąż była pozbawiona granic i praw własności. Co innego Iga. Rozglądała się chwilę niepewnie, po czym usiadła półdupkiem na fotelu i wyciągnęła

telefon. Włosy, lekko potargane, bo nie zdążyła ich uczesać po prysznicu, opadły jej na twarz. Zachowywała się biernie, jakby wydrążono ją w środku, i pomyślałem, że przydałby się psycholog.

– Co mają robić? – zapytała Ania, kiedy przeszliśmy do kuchni.

– Przeżyć? – zasugerowałem.

– Postaram się.

– Czeka ją na mnie.

Ania spojrzała przez okno. Przy policyjnej kii stał Listek. Nie bacząc na zimno, płaszcz miał rozchylony i palił papierosa. Pomyślałem, że zapłaci kiedyś za połączenie tuszy i nikotyny.

– Zatrzymają cię? – zapytała Ania. Wyglądała kwitnąco, chyba była po sesji jogi. Uprawiała ją codziennie rano.

– Wątpię. Chyba podejrzewają Grześka. Słuchaj, Iga będzie siedzieć w telefonie i niewiele można z tym zrobić. Ale może zagadasz do niej raz na jakiś czas? – zapytałem. – Jest strasznie smutna.

Ania pokiwała głową.

– Staś może oglądać bajki dwie godziny. Nie więcej – powiedziałem.

– Co ma robić później?

Nie znałem tak świetnie zorganizowanej kobiety jak Ania, ale w zetknięciu z dwunastolatką i pięciolatkiem wyglądała bezradnie.

– Możesz mu poczytać. – Wyjąłem z torby drugą część serii o rodzeństwie Baudelaire. – Jest zakładka. Tym z pewnością zajmiesz jego uwagę.

Spojrzała z powątpiewaniem.

– Nie lepiej obejrzeć serial?

Ania, taka bystra, nie czytała dla przyjemności. Tylko książek brakowało w jej domu: wrodzona uczciwość nie pozwalała jej trzymać ich wyłącznie dlatego, że to modne; nawet nie zamontowała półek. Wspomniała kiedyś, że jest wykończona wszystkimi komentarzami i kodeksami w robocie, i rzeczywiście pracowała zawsze bardzo ciężko.

Westchnąłem.

– Tak. Lepiej – powiedziałem. – Jestem twoim dłużnikiem – dodałem.

– Gdybym miała ci naliczać długi, spłaciłabym wszystkie kredyty naraz – ucieła.

W sobotę komenda na Żeromskiego wydawała się opustoszała. Wbrew słowom aspirantki Tol nie byłem pewien, że stąd wyjdę. Poprowadzili mnie do pokoju przesłuchań, tym razem to Listek szedł z tyłu, tak jakbym próbował im nawiać. Posadzili mnie na krześle; po prawej stronie miałem coś, co wyglądało na lustro weneckie. Zdawało mi się, że Listek zerknął w tę stronę – jakby z pytaniem w oczach.

Nie śpieszyli się. Tol przyniosła czarnej kawy dla wszystkich. Listek wyciągnął torebkę śmietanki w proszku prosto z kieszeni płaszcza. Zaproponował cukru, podziękowałem. Sam wsypał sobie trzy łyżeczki, a potem jeszcze solidnie dosłodził i zaczął siorbać ten swój ulepek.

Tol siedziała sztywno. Spojrzałem w stronę lustra; ktoś za nim stał, byłem już tego pewien. Ale zabawiłem się w ich grę, upiłem łyk policyjnej kawy i zaraz zrozumiałem, czemu Listek dosłodził ją i zabielił. Smakowała paskudnie, jak gdyby nigdy nie zmieniali filtrów.

Listek uśmiechał się do mnie jak do starego kumpla. Wydało mi się, że Tol delikatnie kiwnęła mu głową; w każdym razie na stole pojawił się portret faceta, który pokazali mi w domu. A potem Listek wyjął fotografię Mai, którą zostawiłem na policji w dniu zaginięcia. Położył ją na stole, tuż obok zdjęcia Jonasza Marca.

Bardzo mi się nie spodobało to zestawienie.

– Jeszcze raz pytam, znamy tego pana? – Popukał paluchem w zdjęcie Marca.

– Nie.

Pokręcił głową ze smutkiem, a potem powiedział:

– Jest poszukiwany.

Wzruszyłem ramionami.

– Żona wspominała kiedyś?

– O kim?

– O Jonaszu Marcu.

– Nie. Ładne imię.

– Charakterystyczne. Łatwo zapamiętać, prawda?

– Za co jest poszukiwany? – zapytałem.

– Za zabójstwo. I jeszcze usiłowanie.

– Karane jak zabójstwo.

– Tak – zgodził się Listek. – Więc podwójne. To chyba zrozumiałe, że budzi nasze żywe zainteresowanie?

– To mnie niewiele obchodzi – powiedziałem.

– A powinno. Bo sądzymy, że osobą, którą usiłował zabić Jonasz Marzec, jest pańska żona – uśmiechnął się Listek, kładąc teraz paluch na zdjęciu Mai.

Przełknąłem ślinę. Tol obserwowała mnie tak samo jak kamerka w rogu. Potem będą to odtwarzać i analizować moje zachowanie. Nie zamierzałem im wiele dać.

– To kolejna prowokacja? – zapytałem.

Listek wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

– Co się stało trzy dni temu wieczorem? – zapytał.

– Już wam mówiłem.

– Żona zniknęła. W porządku. Co było wcześniej?

– Obiad.

– A po obiedzie?

– Rozmowa. Jak to w małżeństwie pod koniec dnia.

– A ja myślę – powiedział Listek – że coś wtedy zaszło, co sprawiło, że żona dała drapaka.

– A może zamiast tworzyć koncepcje bez podstaw, wzięlibyście na poważnie ślady w jej pracowni? W obrazie była dziura, nie zniszczyłaby sama wielomiesięcznej, ciężkiej pracy – powiedziałem.

Tol rzuciła pytające spojrzenie na Listka. A więc nie wiedziała, nie zrelacjonował jej wizyty na poddaszu.

– Moja żona nie zna tego faceta. I nie jest żadnym przestępcą, to pomyłka, Maja nie zbiera nawet mandatów. Została zaatakowana, może nawet porwana. Dlaczego nie podejmujecie śledztwa? Minęły trzy dni. Naprawdę sądzą, że to zorganizowała?

– To się okaże – powiedział Listek.

– Co niby? Skąd pan w ogóle tyle wie o mojej żonie?

– Zajmowałem się kiedyś jej sprawą – powiedział.

– Jaką sprawą? Kiedy?

– Kilkanaście lat temu. Jako młody i szczupły sierżant. I powiem panu, że nic się kobieta nie zmieniła! Kiedy zobaczyłem zdjęcie, które pan przyniósł wtedy na komisariat... to od razu ją poznałem. Te blondynki, jak one się tak konserwują? Zna pan jej sekrety?

– Jaką sprawą? – powtórzyłem. – Nic z tego nie rozumiem.

– Jonasza Marca. A także Pawła Sępińskiego – oświadczył. – Wróćmy jednak do środowego wieczoru. Żona nic panu nie mówi. Kontaktuje się ze swoją przyjaciółką Natalią Mroczkiewicz. Zupełnie przypadkowo pańską kochanką. Charakteryzuje ją, upodabnia do siebie, a potem zabija. Zostawia panu ślady, które uprzednio przygotowała. A potem ucieka.

Pokręciłem głową.

– Przecież to idiotyczne – skomentowałem. – Przy rozpoznaniu miałbym się nie zorientować, że to nie jest moja żona? Po trzynastu latach małżeństwa widzi się przez tapetę na twarzy. Nie mówiąc o tym, że Maja prawie nigdy nie robiła sobie makijażu – kontynuowałem. – A Grzesiek? Jego z kolei nie podejrzewacie? – powiedziałem, zanim ugryzłem się w język.

Dlaczego go pogrążałem? Z pewnością miał dosyć kłopotów z policją.

– Jestem pewien, że to pomyłka, a stoi za tym wszystkim jakiś wasz idiotyczny błąd – dokończyłem.

Byłem już jednak zdenerwowany. Zmoczyłem się pod pachami, strużka potu dotarła do dłoni. Wytarłem ją o spodnie.

Nie zamierzałem wyznawać im tego, czego się dowiedziałem. Że Maja nie była Mają Pilaszek. Mogła mieć swoje powody, żeby mnie okłamać. Do wyjaśnienia między nami. Nie wierzyłem jednak, by mogła kogokolwiek skrzywdzić.

– Więc dlaczego pana żona uciekła? – ponowił Listek.

– Do kurwy nędzy, mogła zostać porwana! – krzyknąłem. – Rozmowa z panem jest naprawdę trudna. Dlaczego nie bierzecie tego pod uwagę?!

Zniknęła matka i żona, to nie jest zabawa w chowanego.

Złość i stres zaczęły mnie w końcu wykańczać, opadłem na oparcie krzesła.

Dopiero teraz zobaczyłem, że Tol trzyma w ręku teczkę, położyła ją na stole.

– Proszę sobie poczytać. W środku jest kilka kserówek – powiedziała.

– Może zmieni pan zdanie na temat żony – dorzucił Listek, po czym podniósł się z głuchym odgłosem. Za nim wstała również aspirantka.

– Za chwilę przyjdzie po pana funkcjonariusz – poinformował podkomisarz. – Niech pan wróci do dzieci, a potem przeczyta te materiały. I odezwie się do nas, jeśli coś się panu przypomni.

Zamknęli mnie ponownie. Teczka leżała na stole, ale palce miałem zgrabiałe, nie mogłem się zmusić, by po nią sięgnąć. Minęło kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, kiedy młody policjant otworzył drzwi. Piegowaty i rumiany, wyglądał na niedoświadczonego.

– Otrzymałem telefon, moje dziecko jest w szpitalu – skłamałem. – Muszę tam natychmiast jechać!

– Oczywiście – wymamrotał, lekko zaskoczony. – Już pana wypuszczam.

Wziąłem teczkę i ruszyłem żwawym krokiem, niemal biegiem, przez komendę. Młodziak dotrzymywał mi tempa i chwilę później otworzył mi drzwi prowadzące do poczekalni.

Wyszedłem na zewnątrz.

Na parkingu dla interesantów dostrzegłem jedno wolne miejsce. Padało, ale chodnik był tam suchy, miejsce chyba niedawno zostało zwolnione.

Spojrzałem przed siebie. Wielki SUV wykręcał na dwa razy, a przez tylną szybę dostrzegłem znaną mi twarz.

Bogusław Marzec. On też spojrzał, a nawet gapił się na mnie przez dłuższą chwilę.

Tak jakby nie napatrzył się jeszcze zza lustra weneckiego w pokoju przesłuchań.

W wielkiej greckiej restauracji, do której w podzięcie zaprosiłem Anię, Staś bawił się jak wariat z jakimiś zagranicznymi dzieciakami. Bariera językowa nie grała roli, w kąciku dla dzieci mój syn wdał się w zapasy z grubym, kędzierzawym, bardzo śniadym chłopcem. Ku zadowoleniu ojca dzieciaka, który obserwował zabawę, mój potomek wkrótce znalazł się na dole.

I tak wydawał się szczęśliwy, jak zawsze kiedy przebywał z rówieśnikami. Towarzystwo Stasia mnie zdumiewała. Już w wieku pięciu lat sam z siebie informował nas, że idzie się bawić do Aleksa, i to prosto po przedszkolu, tak jakby w ogóle nie potrzebował się wyciszyć. Miałem nadzieję, że kusi go tam zabawa, a nie słodkości, którymi tuczyła dzieciaki Swetrowa.

Na ścianie wisiał gigantyczny telewizor: coś, czego nie znoszę w knajpach. Choćby dlatego, że nie umiem powstrzymać się, aby na niego nie zerkać. W domu zrezygnowaliśmy ze zwykłej telewizji lata temu, z rzadka korzystając z internetowej. Teraz ekran przykuwał moją uwagę; w końcu wychowałem się przy stale włączonym odbiorniku. Był jak powietrze, którym oddychaliśmy, włączało się go z samego rana i chodził aż do późnego wieczora. Szczególną urazę żywiłem do programów informacyjnych – po śmierci matki ojciec przestał podnosić się z fotela i tylko wyszydzał, komentował i wyklinał gości studiów telewizyjnych.

Na domiar złego znowu międlili śmierć Macieja Rusa. Kiedy jednak wsłuchałem się w dramatyczną narrację, kilka szczegółów zabrzmiało niepokojąco. Rus był w kraju i w mediach uwielbiany ponad miarę za swoją spektakularną filantropię, lecz zaproszeni do studia uniwersyteccy politolodzy o wyglądzie hipsterów jak z rękawa sypali zarzutami i oskarżeniami, jakie się za nim ciągnęły. Niby nic nowego, ale trochę się

tego uzbierało przez dwadzieścia lat biznesu po polsku: niejasne prywatyzacje, nielegalny lobbing, podejrzane rozstrzygnięcia konkursów państwowych.

W obliczu zmian u steru Rus mógł poczuć się zaniepokojony o los swojego majątku i kontrakty w branży energetycznej. W końcu żywiących się krwią własnego narodu błyskawicznych miliarderów z postkomunistycznych krajów łączyło jedno: kiedy psuły im się relacje z władzą, upadali tak szybko, jak wyrosli. A nowy minister energii już szumnie zapowiedział, że Polska kończy z monopolem Energy Future na budowę elektrowni węglowych.

Tymczasem ludzie otaczający Rusa nabrali wody w usta, kiedy pytano o jego chorobę. Poinformowano tylko, że została przeprowadzona jakaś tajemnicza operacja ortopedyczna, która zaowocowała nagłymi i tragicznymi skutkami ubocznymi. Sama zaś klinika w Bernie, w której Rus był operowany, zasłaniała się przed napastliwymi dziennikarzami tajemnicą lekarską.

I na tych zgłiszczach pojawia się Łukasz Orski. Trzymał się do tej pory na marginesie największych inwestycji ojczyzna, tak że kraj nabrał przekonania, że młody – *de facto* prawie czterdziestoletni – Orski interesuje się przede wszystkim włoskimi garniturami, szybkimi samochodami i jeszcze szybszymi dziewczynami. A teraz okazuje się, że oto Łukasz Orski ma już przygotowaną precyzyjną wizję dalszego rozwoju swojej firmy w branży energetycznej, tyle że w obrębie energetyki odnawialnej. Odmówić Energy Future kontraktu na budowę kolejnej węglówki to jedno, ale jeśli wielki biznes wchodzi w wiatraki, taka odmowa współpracy ze strony rządu może spotkać się z powszechną krytyką.

Spółeczeństwo popierało rozwój odnawialnych źródeł energii. To akurat wiedzieliśmy na pewno, bo regularnie przeglądaliśmy, a nawet sami zamawialiśmy sondaże.

Tak więc nawet taki niespecjalnie zainteresowany biznesem dyletant jak ja mógłby się zorientować, że śmierć starego Rusa była wielu osobom na rękę, z samym nieboszczykiem na czele.

Spojrzałem na Anię. Również oglądała telewizję i kiedy na ekranie pojawiał się Łukasz Orski, byłem przekonany, że jej myśli podążają w tym samym kierunku co moje. Ale jako prawnicy W Imię Natury za klientów mieliśmy powietrze, wodę i lasy. Wiedzieliśmy, że rozmowa o czymś, na co nie mamy wpływu, jest nieprofesjonalna. Po cichu mogliśmy kibicować ambitnym zamierzeniom biznesowym Łukasza Orskiego, ale naszym zadaniem była kontrola legislacji.

Igę odstawiłem na urodziny do koleżanki, mogliśmy więc spokojnie porozmawiać. Ania miała na sobie dzinsy i jakieś długie wełniane coś, w czym wyglądała weekendowo.

– Zgłosiło się kilku wariatów po tym wpisie z Facebooka – powiedziała – ale oszczędzę ci tego. Nie sądzę, by któryś z nich widział Maję.

Pokiwałem głową nad grillowanymi krewetkami w sosie pomidorowym. Udało mi się zjeść trzy, apetyt miałem do niczego. Zerknąłem z troską na Stasia, czy się nie dusi, bo zaczęła się właśnie zabawa w kanapkę i mój syn znalazł się na dole sterty wrzeszczących bachorów. Mignęła mi jego uradowana twarz. Nie mogłem psuć dzieciakowi zabawy, ale obserwowałem go czujnie.

– Jak wasze życie domowe? – zapytała Ania.

– Tak sobie. Tęsknię... – zacząłem, ale nie potrafiłem dokończyć.

– Miałam na myśli, jak sobie radzisz sam z dziećmiakami – przyszła mi z pomocą współniczka. – Zajmowałam się nimi przez kilka godzin i postarzałam się o tyle samo lat.

– No, wiesz – uśmiechnąłem się półgębkiem. – Skoro uprzejmie pytasz, to z Igą nie jest dobrze. Myślałem o psychologu.

– Co się dzieje? Fakt, nie udało mi się z nią za bardzo porozmawiać.

– Wciąż płacze.

Ania zamilkła. Co świadczyło o tym, że nie znała odpowiedzi. Za to ją lubiłem: nie pamiętam, by wypowiedziała jedno głupie zdanie. W Matterze jako jedna z nielicznych przyznawała się do błędów, nie zwałała winy na cały świat, jak cała permanentnie spanikowana reszta towarzystwa. Błędy popełniała zresztą i tak bardzo rzadko.

Przed nami leżała teczka od Tol. Po rozmowie na komendzie nie byłem pewien, czy chcę ją otworzyć.

– Będziesz rozmawiać z Grześkiem Mroczkiewiczem? – zapytała Ania.

– Próbowałem – mruknąłem.

– No i?

– Teraz trudno do niego dotrzeć.

Przez moment rozważałem, czy wyznać Ani prawdę o moim romansie. Tylko czemu mogłoby to służyć, poza jakimś niejasnym *katharsis*?

– Słyszałam, że zamierza sprzedać Solvex – rzuciła po chwili.

– Serio?

– Krąży plotka, że w ogóle odchodzi od energetyki słonecznej.

– Co zamierza?

– Nie wiem. Chyba nawet w Matterze tego nie wiedzą. Może po prostu kończy z biznesem i będzie tylko wykładać.

To miało sens. Grzesiek był pod sześćdziesiątkę, a dopiero co owdowiał. Mimo to żałowałbym tego ruchu: sprzedając dobrej jakości i dość tani sprzęt do przetwarzania energii słonecznej w ciepło, facet w pojedynkę więcej zrobił dla energii odnawialnej w Polsce niż cały tabun pozarządowców. Z nami włącznie. Nie mówiąc już o całkowicie ignoranckim w tej materii rządzie.

Nie było sensu pytać o źródła tych informacji. Matter niemal zmonopolizował obsługę dużych transakcji na rynku energetycznym. Nasze sądowe zwarcia z kolegami z dawnej pracy miały posmak przyjaźni, w końcu obydwójce byliśmy eksmatterowcami i Ania wciąż utrzymywała tam kontakty. Nie mogłem mieć jej tego za złe, bo bywały przydatne. A sprzedaż takiej firmy jak Solvex musiała wywołać poruszenie. Nowoczesne kolektory, które oferowała firma Grześka, w połączeniu systemem dotacji na ich kupno to była świetna sprawa.

Twarz Stasia powoli robiła się sina. Podszedłem i tak delikatnie, jak potrafiłem, zacząłem zdejmować z niego inne dzieciaki. Jak to jest, że mój syn zawsze funkcjonował w roli ofiary? W domu sam dręczył Febusa. Może to była spirala i pytaniem pozostawało, kogo zamęczał Febik.

Latynoski ojciec spojrział niechętnie na moją interwencję. Jego oczy mówiły, że powinniśmy dać dzieciom rozwiązać to samym. Łatwo powiedzieć, jego potomek ważył już z pięćdziesiąt kilo. Z pewnością chciał zobaczyć, jak ten zawodnik wagi ciężkiej spuszcza mojemu małemu manto. Ostatecznie niechętnie podążył za moim przykładem i rzucił kilka niezrozumiałych słów do swojego młodszego klona.

Posadziłem Stasia przy stole i zażądałem, by coś zjadł.

Mój syn spojrział na Anię, a potem zapytał:

– Kiedy wróci mama?

Na puciołowatej buzi malowało się takie przejęcie, że aż mnie zatkało.

Minęły trzy dni. Czytałem kiedyś, że jeśli osoba zaginiona nie odnajduje się po dwóch, szanse jej znalezienia maleją do pięćdziesięciu procent. Ale wiedziałem, że Maja gdzieś tam jest. I gdyby pojawiła się tutaj, to wyrzuciłbym tę przekłętą teczkę do śmieci. Gdybym mógł wrócić do naszego życia, nie chciałbym znać nawet sekundy jej przeszłości. W końcu, jak kiedyś w udręce miłosnej powiedział mi kumpel, przeszłość dziewczyny to jest przeszłość – i nie ma już żadnego znaczenia.

Nadszedł czas, by odebrać Igę z urodzin. Z początku nie miała zamiaru tam iść. Długo ją namawiałem, bo nie chciałem, by spędziła kolejny wieczór z nosem w telefonie bądź komputerze i Bóg jeden wie, czym się tam zajmowała.

Wioząc przedtem córkę na te urodziny do zbyt ekskluzywnej i poważnej jak na jej wiek knajpy, bałem się tylko o to, by dzieciaki – a tym bardziej ich rodzice – nie zagadywały Igi o zaginięcie Mai. W tym celu odbyłem rozmowę telefoniczną z matką solenizantki. Nie w porę uzmysłowiłem sobie, że mam do czynienia z jedną z największych awanturnic na szkolnej platformie internetowej.

Kiedyś rodzice mieli okazję wypowiedania się na wywiadówkach raz na kilka miesięcy. Teraz internet oferował im możliwość pytlowania dwadzieścia cztery godziny na dobę. Szczególnie że płacąc za szkołę, czuli się upoważnieni do uwag i pretensji. Jeśli więc myślałem, że matka będzie mnie nagabywać o Maję, myliłem się.

– Czy pan nie uważa, że to skandal, że wuefista zmusza dziewczęta do ćwiczeń na zewnątrz? – zapytała mnie, zanim zdążyłem się rozłączyć.

– Nie mam zdania na ten temat – powiedziałem, bo nigdy o tym nie słyszałem. Podejrzywałem, że kobieta, poszukując kolejnych punktów zapalnych, wyssała to z palca. Sam zresztą uwielbiałem wysiłek na powietrzu przez cały rok. Gdyby wuefista przymusił Igę raz na jakiś czas, by wyszła na bieżnię, zostałyby moim dożywotnim kumplem.

– Ale uważa pan, że powinno tak być?

– Ale czy naprawdę tak jest? – dopytałem.

– Chce pan, żeby nasze dziewczynki nabawiły się problemów z zatokami? Przez jakiegoś fanatyka w ortalionach? – drążyła, lekceważąc

moje pytanie.

– Opiera pani swoją argumentację na sofizmatach.

– Na czym? – zapytała.

Zmęczyłem się i postanowiłem pokonać ją milczeniem. W głosie mojej rozmówczynie zabrzmiała wrogość.

– Co pan mówi?

– Nic takiego. Przyjadę po Igę przed dwudziestą.

Jeśli zapamiętała termin, to sprawdzi go teraz i mnie znienawidzi. Rozpowiadanie, że zakopałem żonę w ogródku, miałem jak w banku.

Parkując pod knajpą, dostrzegłem młodego chłopaka, w wieku okołomaturalnym, na smukłym motocyklu. Miał drobną sylwetkę i przydługą grzywkę. Wyglądał, jakby również odbierał kogoś z przyjęcia, mógł mieć kilka lat więcej od Igi.

Jako ojciec zastanawiałem się, dlaczego rodzice pozwalają mu na taką swobodę. Dość spraw karnych przepracowałem w życiu, żeby widok motoru przywoływał mi wspomnienie twarzy targanych poczuciem winy – bądź nie – kierowców samochodów. Którzy po prostu nie zauważyli. A także pogrążonej w żałobie rodziny ofiary.

I może to było moje zawodowe zboczenie, ale chłopiec na motorze wyglądał już niczym dotknięty śmiercią. Na twarzy miał wypisaną pustkę, jego wzrok nie wyrażał niczego.

Mimo że przyjechałem przed czasem, Iga już na mnie czekała w środku. Siedziała przy wejściu w towarzystwie uśmiechniętej szatniarki. Żaden z rodziców obecnych na przyjęciu nie pofatygował się, by odprowadzić moją córkę. Ani żadna z koleżanek.

– Jest i pan tata – ucieszyła się kobieta.

Iga unikała mojego spojrzenia. Miała krótkie włosy, z pewnością ostrzyżone. Kilka chwil zastanawiałem się, czy coś powiedzieć, w końcu wydusiłem z siebie pytanie.

– Tak, obcinaliśmy – rzuciła. – To była taka gra.

Chciałem to skomentować, otworzyłem usta jak ryba i zamknąłem znowu. Włosy obcięto krzywo, tyle widziałem swoim niewprawnym okiem.

Iga ubrana była zupełnie na czarno, miałem nadzieję, że to nie jest kolejna faza buntu. Objąłem ją, czułem kościste ramiona i ciało. Córka była w nastroju depresyjnym, kilkanaście lat za wcześnie.

Wykręcając saabem, zerknąłem w środkowe lustro, sprawdzając, na kogo czekał motocyklista. Jeśli na jedną z dwunastoletnich koleżanek Igi, to jednak nie było to w porządku i może powinienem ostrzec rodziców. Ale na ulicy już go nie było, jak gdyby chłopak po prostu mi się przywidział.

Oto mijiała moja pierwsza sobota w roli samotnego ojca. Staś spał w foteliku, a Iga obok wpatrywała się w ciemność, kiedy dojeżdżaliśmy do naszego miejsca zesłania. Teczka od policjantów przepalała mi dłoń.

Zjechałem w naszą małą uliczkę w Izabelinie. Dla niektórych katalogowe domy są gorsze od uczciwego bloku. Niech ich szlag, nie mieli mojego ogródka i nie obchodziło mnie, że ten nasz domek, który mało co nie pogrzyżył nas finansowo, był z taśmy produkcyjnej. W każdym razie lubiłem to osiedle, znałem na pamięć wszystkie bezpieczne land rovery pań domu i masywne niemce panów domu. Tutaj klasyczne zgniłozielone volvo 740 było intruzem i mogło należeć tylko do jednego człowieka.

Ta słabość do starych szwedzkich aut przedtem nas zbliżała, lecz teraz poczułem się niepewnie. Stał przy aucie z papierosem w ręce, widziałem jego twarz z wąwózami wyrzeźbionymi przez wiek.

Staś spał, w innym wypadku pobiegłby się przywitać z jednym ze swoich ulubionych wujków. Iga tylko łaskawie kiwnęła mu głową i otworzyła sobie drzwi własnym kluczem. Zależało mi na tym, żeby dzieciaki jak najszybciej znalazły się w środku.

Powiedziałem gościowi, że wrócę, po czym zaniósłem Stasia do domu i położyłem go w łóżku bez rozbierania. Wciąż jeszcze fantastycznie pachniał dzieckiem, przez moment wtuliłem w niego nos, by nabrać siły na to, co czekało mnie na zewnątrz. Wyszedłem.

Grzesiek nie podał mi ręki. Miałem ochotę poprosić go o papierosa, ale zabrakło mi tupetu.

– Dlaczego? – zapytał. – Przecież miałeś wszystko.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wie...

– Wiem, ile trzeba – przerwał mi. – Maja ci nie wystarczała?

– Albo na odwrót – odparłem.

Dostrzegłem zaskoczenie na jego twarzy.

– Wyszedłeś za kaucją – stwierdziłem, nie tłumacząc poprzedniego zdania.

Pokręcił powoli głową.

– To dziwne – powiedział – ale wydaje mi się, że mnie nie podejrzewają. Co dziwniejsze, nie podejrzewają też ciebie.

Przypatrywał mi się.

– Ale chyba już o tym wiesz – dodał.

– Tak.

– Zrobiłeś to? – zapytał.

– Oczywiście, że nie.

– Mówią, że znaleźli twoje ślady.

– To bzdura.

Wbił we mnie wzrok. Widziałem w nim smutek.

– Natalia chciała ode mnie odejść – powiedział.

Obejrzałem się z niepokojem na drzwi wejściowe. Kiedy nadchodzi ten moment, że cenisz swoje życie mniej od życia własnych dzieci? W każdym razie, kiedy to powiedział, pomyślałem, że jeśli Grzesiek wyjmie broń z kieszeni płaszcza i wpakuje mi magazynek w pierś, to już nic nie powstrzyma go przed wejściem do środka.

– Nie wiedziałem... Nie miałem z tym nic wspólnego – oznajmiłem.

– Pisała do ciebie. Czy to jakaś pieprzona dewiacja, że przebrałeś Natalię za własną żonę? Maję też usunąć? – Zrobił krok w moim kierunku.

Uliczka była pusta. Swetrowa mieszkała trzy domy dalej i jakbym wrzasnął, mogła przybyć z odsieczą.

– Grześ, nie wiem, gdzie jest Maja, i nie zabiłem Natalii. Nie chciałem z nią być. Zerwałem tę relację. To od początku był błąd – powiedziałem.

Stał już tak blisko, że słyszałem jego ciężki oddech palacza. Całe lata palił dwie paczki dziennie i Maja prorokowała, że płuca wystawią mu za to rachunek. Tymczasem był tu i żył, prawdziwy anioł zemsty, a jego młoda, zadbana i doskonale odżywiająca się żona tkwiła w prosektorium.

Grześ sięgnął do kieszeni płaszcza, ale wydobył z niej tylko zapalniczkę. Nagle cały sflaczał. Przez drogie ciuchy prześwitywał średniego zdrowia i średnio zadbany sześćdziesięciolatek.

– Przepraszam – powiedział. – Może z nią spałeś, ale wiem, że jej nie zabiłeś.

Odetchnąłem.

– Jak dzieciaki? – zapytał.

– Staś jeszcze nie rozumie. Iga... chyba kiepsko się czuje.

– Oni naprawdę myślą, że Maja zabiła Natalię.

Wpatrywał się we mnie, jakbym mógł to wyjaśnić. W końcu westchnął.

– Jeśli będziesz potrzebował pomocy przy poszukiwaniach... wiesz... – zawahał się – przepraszam za tamte słowa, wtedy przez telefon.

– W porządku.

– Byłem zdruzgotany.

Pokiwałem głową. Bardzo chciałem, żeby już poszedł. Jeszcze tylko chwila.

– Grześ – powiedziałem. – Czy to prawda, że chcesz sprzedać Solvex? Co zamierzasz?

Wyraz jego twarzy się zmienił.

– Obawiam się, że to nie jest twoja sprawa – wycedził.

Nie wchodziłem do domu, dopóki jego piękne zielone volvo nie opuściło osiedla. I jeszcze chwilę dłużej. Ulica pogrążyła się w ciszy, ale ta cisza nie wydawała mi się już taka przyjemna jak dawniej, była złowieszcza i sprzyjała moim przeciwnikom, kimkolwiek byli.

Zawiało tak, że zimno przebiło się przez moje ubranie i tłuszcz, docierając aż do kości. Następowало nieuchronne załamanie pogody, alarmowały o tym wszystkie prognozy. W niektórych regionach kraju synoptycy zapowiadali nawet śnieg.

Otuliłem się szczelniej kurtką. Poczułem się nagle bardzo samotny. Tyle lat przytulałem tutaj Maję, budując rodzinne szczęście, a teraz byłem kompletnie sam.

Od kiedy rzuciłem Mattera, każdą niedzielę wspólnie celebrowaliśmy. Maja dbała o to, byśmy nigdy nie spędzali tego dnia przed telewizorem, tylko robili wypadki do lasu albo nad wodę. Byle nie do centrum handlowego.

Dzieciaki przywykły do tego i nawet Iga patrzyła teraz na mnie pytająco przy płatkach śniadaniowych, jakbym miał wyciągnąć z kapelusza dziesięć pomysłów na ten poświęcony zabawom czas. Starłem się nie złościć, że nie myśli o matce. Umysł dziecka nie był przecież jeszcze tak obciążony stresami jak dorosłego. Może to normalne, że Iga oczekiwała kontynuacji zwyczajów, które sami wprowadziliśmy.

Minął już czwarty dzień od zniknięcia Mai. Byłem napięty i uważałem, by nie wyładować tego na dzieciakach. Nie spałem dobrze, tej nocy prawie nie zmrzyłem oka. Co godzina strach wyrывał mnie z łóżka, zaglądałem wtedy na palcach do pokoju Stasia, a potem jeszcze ciszej do pokoju Igi. Następnie wychodziłem na zewnątrz i rozglądałem się z niepokojem, jak gdybym mógł wypatrzeć wroga wyłaniającego się z lasu.

Kilka razy, kiedy tylko chciało mu się wstać, towarzyszył mi Febus i miałem nadzieję, że zaszczeka, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo. Ale psa interesowałem tylko ja i należące do przeszłości przebieżki po lesie; kiedy orientował się, że nigdzie się nie wybieramy, wracał zrezygnowany do środka. Bez ruchu i wyczuwając brak pani domu, także pies popadł w apatię. Przysiągłbym, że poprzedniego dnia nie ruszył się ze swojego legowiska ani razu.

Tak więc rano byłem wykończony i rozdrażniony, ale zdeterminowany, żeby dzieci tego nie odczuły. Zaproponowałem rowery w Kampinosie. Iga tylko prychnęła pogardliwie i ostentacyjnie wróciła na górę; Stasia dałoby się przekonać, ale nie mogłem zostawić córki, więc pozwoliłem mu na

telewizję internetową. Ostatecznie zaległ na sofie z Febusem. Nawet obyczajnie psa się rozluźniły. Normalnie obowiązywał go zakaz wstępu na kanapy w salonie, ale widząc moją obojętność, uznał, że i to prawo zostało zniesione. Nasz dom oficjalnie pogрузzył się w bezhołowię.

Od dwóch dni nie sprawdzałem poczty z pracy, usiadłem do niej teraz. Szukałem odskoczni, a praca oferowała najłatwiejsze i najszybsze odcięcie. Zaznaczyłem kilkanaście wiadomości, na które musiałem odpisać, ale najbardziej zafrapował mnie mail z trzema wykrzyknikami od naszego specjalisty od zdobywania funduszy, tak zwanego grantowego. Wiadomość wysłano w piątek i skierowano tylko do mnie, to dlatego Ania nie poruszyła tego tematu w restauracji poprzedniego dnia. Bo zdecydowanie byłoby o czym porozmawiać.

„Koniec finansowania” głosił nagłówek, a poniżej grantowy przesłał mi wiadomość, którą sam otrzymał. Nie wymagała komentarza.

Z żalem podjęliśmy decyzję o zakończeniu wspierania działań fundacji W Imię Natury. Chcielibyśmy podziękować Państwu za dotychczasowy wkład w ochronę przyrody w Polsce i życzymy dalszych sukcesów! Nasz dział finansowy prześle odpowiednią dokumentację.

Przeczytałem kilka razy, a potem znowu, choć przecież tekst wrył mi się w pamięć już po pierwszym.

Owszem, od początku nasza sytuacja była niepewna, ale przywykłem już do tego stanu i oswoiłem się z myślą, że będziemy tak dryfować, że taka jest specyfika pracy, której się podejmujemy. Ale w głębi serca pozostawałem optymistą, sądząc, że w nagrodę za dobrą i pożyteczną robotę karma będzie nam sprzyjać.

Drugie zdanie wkurzyło mnie najbardziej, zabrzmiało szyderczo. Był już prawie listopad i poza małym wsparciem na publikacje naukowe nie mieliśmy innych źródeł finansowania – a nasze fundusze jako organizacji pożytku publicznego były powszechnie dostępne, więc przy odrobinie wysiłku wszyscy mogli się dowiedzieć, że król jest nagi.

W Imię Natury czekała zagłada. Niezliczone nadgodziny, poświęcenie naszych ludzi, cała nasza wiedza i zaangażowanie, wszystko to miało być teraz zmarnowane.

Sama wiadomość pochodziła od paneuropejskiej organizacji ekologicznej Clean World, do której składaliśmy z sukcesem wnioski dwa lata wcześniej. Już wtedy wiedziałem, że organizacja była tylko trybikiem w światowej maszynie finansowania NGO-sów.

Bo kiedy zapragnąłem się zorientować, kto z kolei finansuje naszego darczyńcę, natrafiłem na sześć innych organizacji grantodawczych – które również miały swoich sponsorów, tak jakby cały zachodni świat zajmował się tylko przesuwaniem pieniędzy z lewa na prawo i z powrotem. Bawiłem się dalej, analizowałem kolejne podmioty, przesuwając się w dół tej piramidy grantodawczej.

W końcu natrafiłem na ścianę. Instytucja, która stała za instytucjami wspierającymi W Imię Natury, była skryta jak radziecki dyplomata. Zmartwiło mnie to trochę, choć wiedziałem, że standardy finansowania organizacji pozarządowych na Zachodzie są wysokie. I że powinienem zaufać tamtejszym mechanizmom kontroli i nie martwić się na zapas o transparentność Clean World, jednej z najstarszych organizacji grantodawczych w Europie. A jeśli finansowali ją Rosjanie albo Chińczycy, to w interesie moim i środowiska w Polsce było o tym nie wiedzieć.

No ale teraz zainteresowałem się tym ponownie. Ktoś przeznaczył konkretne środki dla Natury w programie finansowania ochrony klimatu Clean World i ktoś te środki teraz cofnął, stawiając pod znakiem zapytania całą naszą egzystencję.

Bądź co bądź ten rok był dla nas bardzo owocny. Poprawialiśmy ustawę o odnawialnych źródłach energii, choć posłowie nigdy by się do tego nie przyznali. Rzecz jasna, przed wyborcami chcieli uchodzić za fachowców od wszystkiego, choć było dokładnie na odwrót. Najważniejsze jednak, że znajdowaliśmy proponowane przez nas regulacje w przepychanych w sejmie ustawach, czasem słowo w słowo, i nie omieszkaliśmy podkreślić tych

sukcesów w tegorocznym wniosku grantowym. Widać nie dość przekonująco.

Naturalnie mieliśmy rezerwę, w końcu byliśmy zakładem pracy zatrudniającym prawie dziesięć osób. Ale na ile mogło tego starczyć? Góra trzy miesiące, grant był skrojony na nasze potrzeby i wiedziałem, że trzeba będzie ciąć etaty. Złapałem się na spontanicznej analizie, kto poleci pierwszy, i zmusiłem się, by to przerwać. Wszyscy ciężko pracowali na sukces W Imię Natury. Wołałem już rozwiązać fundację, niż musieć wybierać spośród ludzi, którzy idealistycznie dołączyli do zespołu.

Nie mogłem się jednak oszukiwać. Dla mnie samego pensji starczyłoby góra na sześć miesięcy. Uzmysłowiłem sobie też, że obraz Mai, zapewne bezpowrotnie zniszczony, nie przyniesie nam już zysków. Oprócz morza innych problemów pojawił się i ten: nad naszą małą rodziną ponownie zawisła groźba katastrofy finansowej.

Stop, nie mogłem tego tak zostawić. Zdobycie sponsora na 2018 rok wydawało się nieosiągalne, już drugi rok staraliśmy się z Anią zdywersyfikować nasze źródła finansowania, a teraz było już bardzo późno, nawet gdyby któraś z tych rozmów rokowała. A żadna nie rokowała. A może nasz tajemniczy sprzymierzeniec był zwyczajnie niedoinformowany? Może nie wiedział, jak świetną robotę odwalamy?

Dla bogatego fundatora nasz grant wcale nie był taki duży; sto kilkadziesiąt tysięcy euro. Wiedziałem, że Clean World ma restrykcyjne zasady poufności i nie zdradzi nam personaliów sponsora – o ile w ogóle je zna.

Jednak tonący brzytwy się chwyta. Wysłałem wiadomość grantowemu z prośbą o możliwość bezpośredniego kontaktu ze sponsorem. Nie minęło pięć minut, kiedy otrzymałem odpowiedź – należał do osób, dla których skrzynka pocztowa jest jak jeden z narządów wewnętrznych.

„No way – napisał. – Już raz o to prosiłem, wysłali mi wewnętrzny regulamin na 124 strony”.

No tak, do przewidzenia. Wstałem od komputera, przechadzając się nerwowo, zajrzałem do Stasia. Oglądał kolejny odcinek starej wersji *Narnii*,

zastanowiłem się chwilę, czy to nie nazbyt brutalne, ale dziesięć minut seansu uspokoiło mnie. Poczciwy C.S. Lewis wciąż był lepszy niż wszystkie współczesne animacje razem wzięte. Proste wartości i klarowna, zrozumiała dla pięciolatka fabuła, bez dwuznacznych żartów z podtekstem seksualnym i odcieni moralnych. Fabuła, gdzie dobro jednoznacznie wygrywa.

– Obejrzeć z tobą? – zapytałem.

– Yhhyym – wymruczał. Febik spojrział na mnie z nadzieją, ale bez Igi i Stasia Kampinos był dzisiaj wykluczony. Musiałbym podrzucić dzieciaki do Swetrowej, a wcale nie miałem ochoty na jej ciekawskie spojrzenia.

– Nie tym razem, kolego – odparłem ze smutkiem. Zdało mi się, że pies pokiwał głową. Położył ją z powrotem na kolanie Stasia, gdzie już wyślinił sobie miejsce.

W Matterze mieliśmy człowieka od zdobywania danych – każda szanująca się korporacja prawnicza takim dysponowała. Specjalista od informacji, prywatny detektyw albo grzebalec w śmieciach i skasowanych dokumentach. Można go nazywać, jak się chce, w każdym razie właśnie teraz o nim pomyślałem. Udało mi się znaleźć numer w jednym ze starych telefonów, a potem jeszcze chwilę deliberowałem. Ale na co było czekać? Problemy same się nie rozwiążą. Zadzwoiłem.

Facet odebrał bez słowa po dwóch sygnałach. Wiedziałem, że ma na imię Leon albo tak kazał się nazywać. Teraz czekał, aż się odezwę, jak zawsze.

– Mateusz Chabrowski, dawniej Matter & Gulenbaum.

Cisza.

– Tak – powiedział w końcu. Był dziwny, cierpiał na lekki autyzm albo coś tym stylu. Widziałem go raz w życiu, na swój sposób budził sympatię.

Przedstawiłem zadanie do wykonania.

– Stacjonarnie – odpowiedział tylko i było dla mnie jasne, że włamię się do systemu.

– Tak.

– Mogą mieć zabezpieczenia.

– Mogą.

- Działania ekstra będą kosztować.
- W porządku.
- Według cennika – dokończył.

Dogadaliśmy się. Odłożyłem telefon i poczułem ulgę. Wreszcie udało mi się coś przedsięwziąć. Zyskałem chwilowe poczucie panowania nad rzeczywistością, która zaczęła się rozpadać jak stare zwłoki.

Zdawałem sobie sprawę, że opóźniam tylko to, czego obawiałem się najbardziej: lekturę zawartości teczki, którą otrzymałem na policji. Otworzyłem ją. Były tam kserówki z zapisanych pismem maszynowym akt policyjnych. Same kopie musiały mieć dobrych kilka lat, wyraźnie już pozółkły. Przełknąłem ślinę i zacząłem je czytać.

W lutym 2003 roku troje młodych ludzi wybrało się na zimową wyprawę na ryby. Inicjator wycieczki, Jonasz Marzec, zaprosił pozostałych do chatki nad leśnym jeziorem o nazwie Ochrenne. Należała do jego ojca Bogusława, wędkarza i myśliwego.

Pozostali uczestnicy wypadu nazywali się Paweł Sępiński i Julia Iskrzyńska. Jonasz Marzec miał dwadzieścia dwa lata, Paweł Sępiński tyle samo, a Iskrzyńska dziewiętnaście.

Jonasz i Julia pozostawali w zażyłej relacji, informowały akta. Z mazurskiego miasteczka Ochrenki, gdzie zrobili zakupy w spożywcza, wybrali się leśną drogą nad jezioro. Z okazji końca sesji planowali tam trzydniowy pobyt. Potem Jonasz z Julią musieli wracać na studia, a Paweł Sępiński do pracy.

Jonasz z Pawłem znali się od dziecka, Julię Jonasz poznał kilka miesięcy wcześniej.

Cztery dni po tym, jak widziano ich w sklepie, we wsi zjawiła się sama Iskrzyńska. Miała ranę głowy, a brzuch pocięty w kilku miejscach nożem, była bardzo osłabiona i w szoku.

Wezwano pogotowie. Dziewczyna zaczęła mówić dopiero następnego dnia wieczorem, kiedy nakarmiono ją i opatrzono. I po tym pierwszym, szczątkowym przesłuchaniu mimo wzmożonych opadów śniegu policji

udało się dostać do chatki. W środku znaleźli Pawła Sępińskiego. Miał roztrzaskaną głowę – później okazało się, że z dużą siłą uderzył o żeliwną kozę, która ogrzewała dom.

Musiały minąć jeszcze trzy dni, by Iskrzyńska zaczęła w pełni zeznawać.

Dziewczyna opowiedziała, że po dniu spędzonym na łowieniu ryb w przeręblu cała trójka upiła się, a Jonasz zrobił się agresywny. Według niej to nie był pierwszy taki przypadek. Między Sępińskim a Marcem wywiązała się szamotanina, Iskrzyńska nie umiała podać przyczyn bójki, poza znaczną ilością alkoholu i agresją Jonasza.

Marzec rzucił Sępińskim o kozę, ten upadł i już się więcej nie poruszył. Następnie Jonasz zaatakował Julię nożem do krojenia ryb, a potem uznał chyba, że dziewczyna nie żyje. Widziała, jak wybiega z chatki. Leżała bardzo długo bez ruchu. W końcu poczuła się wystarczająco silna, aby wstać. Nawet nie pamiętała, jak pokonała drogę powrotną do miasteczka.

Natychmiast wszczęto poszukiwania Jonasza Marca. Między wierszami przeczytałem o wpływie Bogusława Marca na sprawę i presji wywieranej na lokalną policję.

Marzec senior nie wierzył, że jego syn był mordercą: weryfikowano hipotezę, czy Julia mogła pozbyć się ciała w jeziorze, w tym celu wyrąbano całkiem spory przerębel w pobliżu chaty i zaangażowano nurków. Bez efektu. Połowa Ochrenek przeszukiwała zaś okoliczne lasy.

Nie odnaleziono zaginionego, a ekipa techniczna przysłana z Olsztyna zidentyfikowała ślady DNA pozostawione na nożu do patroszenia ryb; zgadzały się z próbkami pobranymi z mieszkania Jonasza Marca oraz udostępnionymi przez rodzinę.

Po sekcji zwłok Pawła Sępińskiego trudno było również uwierzyć, że tej zbrodni mogła dokonać Iskrzyńska: rosły, ważący ponad dziewięćdziesiąt kilo chłopak został rzucony z dużą siłą na żeliwny piecyk. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby mogła tego dokonać drobna, znacznie słabsza dziewczyna. No i jaki miałyby motyw? Poza tym twierdziła, że Marzec bywał agresywny po alkoholu, co zgadzało się z zeznaniami świadków i zostało uwzględnione w raporcie.

W końcu policja przyjęła wersję, że Jonasz Marzec zamordował Pawła Sępińskiego. Następnie ranił Julię Iskrzyńską i zbiegł. Nie uszczęśliwiono tym ani siostry Sępińskiego, która uczestniczyła w poszukiwaniach, ani Bogusława Marca.

Jednak i przy tej hipotezie kilka rzeczy nie dawało śledczym spokoju.

Dlaczego auto będące własnością Jonasza pozostało na miejscu? Iskrzyńska zeznała, że Marzec wypił znaczne ilości alkoholu, a na dowód pokazywała puste butelki. Mimo to piesza ucieczka przez lasy w zimie wydawała się karkołomna.

Śledczy przyjęli kilka wyjaśnień na rozwikłanie tej zagadki: że Jonasz Marzec, zdając sobie sprawę ze swojego upojenia, zrezygnował z jazdy autem; nie chciał, aby ktoś rozpoznał go po samochodzie, albo w szoku zwyczajnie o nim zapomniał.

Nikt nie był przekonany.

I dlaczego dziewczyna czekała aż dwa dni z pójściem do miasteczka? W szpitalu okazało się, że jej rany nie były głębokie, a Iskrzyńska najbardziej ucierpiała psychicznie. Fizycznie mogła pokonać tę drogę i dwa dni wcześniej, co do tego lekarze byli zgodni. Jej opowieść o dwudniowej utracie przytomności również nie miała uzasadnienia medycznego. Dziewczyna nie była aż tak niedożywiona i osłabiona, jak się na początku wydawało.

Iskrzyńska nie umiała udzielić wyczerpującej odpowiedzi na żadne z pytań. Znowu między wierszami mogłem wyczuć wpływ Bogusława Marca na działania prokuratury. Pod wpływem polityka Julii Iskrzyńskiej postawiono zarzut zabójstwa Pawła Sępińskiego.

Do oskarżenia jednak nie doszło. Podejrzana przepadła jak kamień w wodę, a potem sam prokurator zmienił zdanie, przewidując zapewne, że sąd wezwie go do uzupełnienia dowodów. Poza tym wciąż poszukiwano Jonasza Marca.

Kilka tygodni później prokuratura zdecydowała o umorzeniu postępowania przeciwko Iskrzyńskiej.

Ani Jonasz Marzec, ani Julia Iskrzyńska się nie odnaleźli.

Odłożyłem kopertę, nie mogłem dalej czytać. Słyszałem, jak na półpiętrze Iga pokrzykuje na Stasia, ale nie miałem siły wstać. Dlatego że wiedziałem coś, czego nie wiedzieli autorzy raportu. Wiedziałem, co stało się z Julią Iskrzyńską. Policyjne fotografie nie pozostawiały wątpliwości.

Jako Maja Pilaszek sprzedawała fantazyjne obrazki na brazylijskiej plaży. W niej właśnie się zakochałem, to Julia Iskrzyńska stała się matką moich dzieci.

Dochodziła jedenasta i czułem się niespokojny. Nawet jeśli spodziewałem się, co znajdę w tych materiałach, nie mogłem przestać o nich myśleć. Siedziałem dłuższą chwilę bez ruchu, a potem powoli, lecz konsekwentnie zaczęła dojrzewać we mnie decyzja. Policja jeszcze nie zwróciła range rovera Mai i wcale nie byłem pewien, czy w ogóle chcę go odzyskać, lecz saab nie nadawał się na plenerową wycieczkę z dziećmi. Zadzwoiłem do Ani.

– Pojadę z wami – oświadczyła. Może po prostu bała się powierzyć mi swoją bestię. Nie miałem jednak nic przeciwko towarzystwu, żeby choć odrobinę rozproszyć natrętne myśli.

Godzinę później wyjeżdżaliśmy z miasta. Fotelik Stasia został przełożony z mojego auta, Iga usadowiona na przepastnym tylnym siedzeniu, ja zaś nawigowałem. Zerknąłem w boczne lusterko. Napotkałem złe spojrzenie córki, tak jakbym zdradzał Maję, przebywając w towarzystwie Ani.

A czy to Maja mnie nie oszukała, i to wielokrotnie? Całe moje życie rodzinne wydało mi się fikcją, trzynaście lat małżeństwa kłamstwem. Oczywiście, kochałem żonę i chciałem, by się odnalazła, ale nie miałem już pojęcia, kogo poszukuję. Mai Pilaszek czy Julii Iskrzyńskiej. Morderczyni czy ofiary. A może jeszcze kogoś innego.

Czy miałem szansę dotrzeć do ludzi, którzy znali Maję pod jej prawdziwym imieniem? Czy powinienem próbować ich odnaleźć?

Wiedziałem już teraz, że zdjęcie Jonasza Marca miało związek ze zniknięciem Mai. A kiedy to pomyślałem, przypomiinałem sobie szczegóły tamtego wieczoru. To, jak zasnąłem na kanapie w krzywej pozycji i spałem jak zabity. Nagle wydało mi się to dziwne, nawet nie czułem się specjalnie zmęczony tego dnia.

Co było wcześniej? Pokazałem Mai zdjęcie, piliśmy herbatę. Czy w senchy coś się rozpuszczało? Usiłowałem sobie przypomnieć, kto ją przygotował. Odtworzyłem tę scenę w głowie jak film i po chwili wiedziałem już, że to była Maja. Miała też w apteczce nitrazepam, wystarczyło, żeby zwalić mnie z nóg.

Poczułem dreszcz na karku. Lecz przecież herbatę przygotowała przed tym, jak pokazałem jej zdjęcie. Czy na pewno? Czy pamięć mnie nie zwodziła? A nawet jeśli, czy nie mogła podrzucić mi tabletki prosto do kubka?

Nagle poczułem, że wraz z utratą zaufania do najbliższej mi osoby zaczynam tracić grunt pod nogami. Tworzyliśmy rodzinę, byłem partnerem i ojcem. Kluczowe elementy tej konstrukcji okazały się jednak lipne. Miałem teraz wrażenie, jakby ktoś uwiesił mi cegłę na szyi i konsekwentnie ciągnął mnie w dół.

W porę zmusiłem się, by spojrzeć na dzieciaki w lusterku. One nie mogły mnie oszukać. I ja też nie mogłem im tego zrobić. Wiedziałem, że muszę szybko pomyśleć o czymś innym.

Z Anią dobrze się podróżowało. Kierowała pewnie, należała do osób, z którymi można jeździć szybko, w jej prowadzeniu nie czułem nerwowości. Raz na jakiś czas zerkalem na ostry profil współpracownicy, mocno zarysowany nos z garbkiem.

Oczywiście, przy dzieciach nie mogłem rozmawiać o Mai. Z dwojga złego dyskutowaliśmy więc o finansowaniu Natury. O jego nagłym końcu. Tylko my dwoje wiedzieliśmy, ile spotkań odbyliśmy w tym roku, ile musieliśmy się prosić i reklamować. Wszystko na nic.

Ania zgadzała się ze mną, że ta nagła decyzja odmowna była dziwna.

– Mogę pracować za darmo do pół roku – powiedziała. – Nie bój się, nie pali mi się, żeby wracać do boksu.

– Miałaś swój pokój.

Wzruszyła ramionami.

– Co za różnica.

– Możesz pójść na własne – dodałem.

– Daj spokój. Miałam w tym roku przedsmak, jak to jest zabiegać o klientów.

Pokiwałem głową. Żadne z nas nie okazało się dobre w tych spotkaniach grantowych z silnym akcentem na sprzedaż. W praktyce prawnicy podzielili się niedawno na tych, którzy pracują, i tych, którzy sprzedają. Zwykle tę rolę odgrywali partnerzy, ale ostatnio, tak jak i w Matterze, powstały do tego specjalne zespoły w kancelariach. Nie każdemu chce się reklamować swoje usługi jak produkt.

Ania nie potrafiła tak bajerować ludzi, nie potrafiłem i ja. Bez tego i bez choćby jednego ważnego klienta na koncie zakładanie kancelarii miało się z celem: w XXI wieku kontakty znaczyły więcej niż uczciwa harówka.

– Ja nie mogę sobie pozwolić na wolontariat – powiedziałem ciszej. Zerknąłem w lusterku na Igę; na uszy nałożyła wielkie słuchawki, ale kto ją tam znał. Mogła nas ignorować cały dzień, ale zawsze wiedziała, kiedy rozmawialiśmy z Mają o czymś ważnym bądź trudnym.

– Poradzisz sobie. Są jeszcze obrazy Mai – powiedziała Ania.

Spojrzałem przez ramię na dzieciaki. Iga kręciła jakieś filmiki, Staś spoglądał na nią z fascynacją.

– Jeden niedokończony i może bezpowrotnie zniszczony – odpowiedziałem. – Poza tym... – urwałem.

– Matek, zawsze dawaliśmy radę – odparła twardo. – Nie martw się, nie wracamy jeszcze do Mattera. Przynajmniej nie ja. Ale ty chyba też nigdzie się nie wybierasz.

Pokiwałem głową: jak zawsze miała rację. Nie była bezpośrednim świadkiem mojego oślepienia, ale odwiedziła mnie w szpitalu, poza tym pewnie z miesiąc wysłuchiwała niesamowitych opowieści o mojej chorobie. W jednej z wersji ledwo powstrzymano mnie przed wypadnięciem przez okno, a ktoś upierał się, że próbowałem dokończyć pracę mimo czasowej ślepoty. Zabawne, jak w pracoholicznych środowiskach lubi szerzyć się paranoja; to tylko potwierdzało mój pogląd, że część z tych ludzi była stale na skraju załamania nerwowego.

– Myślisz, że nasz cofnięty grant ma coś wspólnego, wiesz... z tym wszystkim, co się dzieje? – zapytała znienacka moja współpracownica.

– Nie myślałem... – odparłem. – Choć teraz tak myślę. Ale dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Jest głośno o zniknięciu Mai. Powiązali to z tobą i może komuś się nie spodobało.

– Czemu? – zapytałem.

– Może ci nasi dobroczyńcy, kimkolwiek są, nie lubią rozgłosu – podsunęła.

Wbiłem spojrzenie w szybę, przetrawiając te słowa. Na drodze nieśmiało zaczął padać śnieg. Miałem nadzieję, że to trochę rozerwie dzieciaki, jak dojedziemy na miejsce. Ba, mnie samemu przydałaby się teraz porządna wojna na śnieżki.

– Wiesz, często jeździłam na Mazury z moim pierwszym – zagaiła Ania, jakby wyczuła potrzebę zmiany tematu.

– I ostatnim, o którym słyszałem.

– Daj mi spokój.

– Zakopujesz tych chłopów w ogródku? Czy po prostu im mówisz, żeby spadali?

– Nie, jeśli się sprawią.

Uśmiechnąłem się półgębkiem. Przejechaliśmy już kilkadziesiąt kilometrów. Przed nami pojawiły się bramki i wjazd na najdroższą drogę w Polsce. Jakby z okazji śmierci Macieja Rusa jego spółka, teraz kontrolowana przez pasierba, znowu podwyższyła opłaty. W przeliczeniu na polskie pensje prywatna autostrada Rusa była teraz najdroższa w Europie.

– Co zrobić – powiedziała Ania, pobierając świstek od znudzonej babki w tlenionych włosach. – Jaki kraj, takie drogi.

– Nie mogę uwierzyć, że powszechnie kochano Rusa – odparłem. – To chyba nasza mentalność, że podziwiamy tych, którzy kradną. Nie mówiąc o węglówkach, które pobudował.

– Spójrz na to inaczej. Zgodnie z tym trendem cena za ich autostradę niedługo dojdzie do pięćdziesięciu złotych za odcinek. To w końcu zniechęci

do ruchu samochodowego, szczególnie że ciężarówki płacą więcej.

– Tiry na tory.

– W efekcie oczyści się nam powietrze. Łukasz Orski działa z rozmachem: przecież nie zamknie całej drogi naraz, akcjonariusze podnieśliby raban. Zresztą można pojechać całkiem niezłą A7.

– Ale jakoś tego nie robisz – zaśmiałem się.

– Bo nie znoszę się wlec, kiedy można szybciej... – powiedziała, a potem krzyknęła w kierunku pordzewiałego renault, uparcie wlokącego się lewym pasem: – Nie hamuj, kurwa!

Dorzuciła pod jego adresem wiązanekę, której nie powstydziliby się niejeden kierowca tira.

– Dzieciaki – rzuciłem ostrzegawczo.

Staś był w takim wieku, że chłonał każde słowo jak gąbka. Już raz zostaliśmy wezwani na dywanik do jego przedszkola po tym, jak beztrosko rzucił: „Co to, kurwa, jest?” na ćwiczenie zadane przez panią. Obwiniliśmy się za to nawzajem z Mają, a potem zabroniliśmy używania brzydkich słów w domu. A kiedy już któreś z nas musiało, wychodziliśmy na taras, i wtedy Febik mógł się nasłuchać.

Synek całą drogę przysypiał, ale teraz rozglądał się ciekawsko po okolicy. Sto kilometrów od Warszawy świat był zupełnie inny. Wiatraki, które napotkaliśmy po drodze, napawały lekkim optymizmem.

A może by tak przenieść się na prawdziwą wieś? Kiedy to wszystko się skończy – po prostu kupić mały domek i wychowywać dzieciaki na łonie natury? Ale czy tak jeszcze się dało? Może ze Stasiem, Iga była już przesiąknięta duchem miasta. Ania jakby czytała mi w myślach.

– A gdyby tak rzucić wszystko i pojechać w Bieszczady? – zapytała. Zerknąłem na prędkościomierz: zasuwała prawie sto osiemdziesiąt, a wciąż rozglądała się na boki. Bądź co bądź robiła mi jednak przysługę, a prowadziła pewnie.

– Chciałabyś? A co z twoimi koleżankami, jogą, kinem, teatrem, tańcem?

– To tylko tak, żeby się rozerwać – odparła. – To nie jest prawdziwe, czasem wolałabym hodować marchewki. Żyjemy w takiej samej klatce jak

w Matterze. Tak jak z tym pieprzonym grantem.

Miała rację. Nie tylko Maja, ale i wszystko, co stworzyliśmy razem, zaczynało tonąć we mgle.

– Później, dzieciaki teraz słuchają – powiedziałem ciszej, bo widziałem w lusterku bocznym, że Iga zdjęła w końcu słuchawki.

– Co? – zapytała moja córka. Po jej tonie domyśliłem się, że od jakiegoś czasu mogła nas podejrzliwie obserwować.

– Nic, kochanie – odparłem. – Sprawy zawodowe.

– Tere-fere – powiedziała.

– To prawda – wsparła mnie Ania.

– Kiedy będziemy na miejscu? – wtrącił się Staś. Przyjął już tę swoją zblazowaną minę, zarezerwowaną tylko dla dłuższych podróży.

– Jeszcze godzina – odparłem, choć pozostały co najmniej dwie.

– Tato, McDonald! – krzyknęła Iga na widok baneru zapowiadającego amerykański fast food.

– Gdzie? – Staś rzucił się na szybę.

– Za pięć kilometrów, głupku! Patrz na znaki.

To był cios, bo Staś nie radził sobie jeszcze z czytaniem.

– Nie mów tak do niego, Iga – poprosiłem.

– Dobra. Zatrzymamy się? – Moja córka, chuda jak patyk, mogła wrzucić w siebie dowolną ilość niezdrowego jedzenia. Starczy brzuch jej ojca wystawał już następnego dnia i tylko tydzień klasztornej diety mógł to zredukować.

Chciałem odmówić, bo stosowaliśmy z Mają dość restrykcyjne zasady żywieniowe. Nie po to taki głąb kulinarny jak ja nauczył się gotować, żeby potem dzieciaki pasły się w McDonaldzie. Ale napotkałem ostrzegawcze spojrzenie Ani zza kółka. A sam uświadomiłem sobie, jak niewiele zabawy miała dzisiaj moja rodzina.

– W porządku, ale tylko po zestawie. I żadnych lodów.

Skończyło się na lodach i ciastkach, a Staś, szczęśliwy, dzierżył szklanekę od coca-coli i zabawkę, którą dawali do zestawu.

Bar okazał się dość pusty. Przyuważyłem faceta, który raz na jakiś czas wyciągał spod stołu flaszkę: może w końcu amerykańska sieciówka wylądowała tam, gdzie powinna, czyli w najniższej klasie kulinarnej.

Kiepskim byłem dzisiaj ojcem. Ale moje dzieci wyglądały na szczęśliwe, opychając się chemicznymi deserami. Potem Staś poszedł na zjeżdżalnię razem z Igą, która miała go pilnować. W ten sposób właśnie zarobiła na lody, a my z Anią mieliśmy czas pogadać. Ona sama zadowolona się czarną kawą i twierdziła, że nie jest głodna. Tak naprawdę nic tutaj nie mogło sprostać jej wymaganiom. Odżywiła się zdrowo, przede wszystkim skromnie, i zdecydowanie jej to służyło.

Opowiedziałem Ani o zawartości teczki od Listka. W końcu powinienem jakoś wyjaśnić, czemu kradnę jej niedzielę, prosząc, by zawiozła mnie z dziećmi na Mazury. Powiedziałem jej wcześniej, że jedziemy nad Ochrenne, ale dopiero teraz wyjaśniłem dlaczego.

Czy jest prosty sposób, by opowiedzieć o tym, że twoja żona jest oszustką? Wiedziałem jednak, że Ania skupi się na konkretach, i tak było.

– Sądzisz, że Maja uciekła po obejrzeniu zdjęcia? – zapytała.

– A jest inne wytłumaczenie?

– I dostarczył je chłopak z blizną, tak? Czy to mógł być Jonasz Marzec?

– Pojęcia nie mam – odparłem. – Ale Eliza określiła go jako chudego dresiarza. Marzec jest postawnym facetem.

– W takim razie skąd zdjęcie?

– Może gość był tylko kurierem. – Wzruszyłem ramionami.

– Co spodziewasz się tam znaleźć? Nad jeziorem?

Nie wiedziałem. Czternaście lat pogrzebało przecież wszystkie ślady, te zdeptane i nie, te znalezione i przegapione przez policję. A może chciałem stanąć w miejscu, gdzie moja żona przeżyła tragedię, która zdeterminowała jej dalsze życie? Może nie chodziło mi o rozwiązanie zagadki... Jak niby miałem odkryć coś, czego nie odkryła połowa mazurskiej policji? Może chodziło mi o odtworzenie doświadczenia, które stało się udziałem Mai, czyli Julii.

Nie, dla mnie wciąż Mai.

Zerknąłem nerwowo na zewnątrz. Iga huśtała Stasia, ale tak, jakby chciała, żeby wypadł z siodełka. Poruszyłem się niespokojnie na krześle, wciąż nie odzyskałem zaufania do córki. Odwróciłem wzrok, żałując, że nie ma z nami Febika, który ostrzegłby mnie szczeniem, że mały znalazł się w niebezpieczeństwie.

Teraz los tych dwojga spoczywał na mnie. Nie mieli nikogo innego, i ja także. Jeśli Maja się nie odnajdzie... nawet nie chciałem tego analizować. Jak zdołam wychować ich sam? I jednocześnie zadbać o siebie, nie rozsypać się?

Czarne myśli, od których zdołałem ostatnio uciec, powróciły ze zdwojoną siłą.

– Wszystko się... pieprzy – wyszeptałem, a pod okiem poczułem wilgoć.

Facet od flaszki pod stołem łypnął na mnie ciekawsko. Musieliśmy wyglądać jak para w kryzysie małżeńskim. Ania położyła dłoń na mojej, była większa od dłoni Mai, niemal męskiego rozmiaru, z długimi, wypielęgnowanymi palcami.

– Wyjdiesz z tego – powiedziała cicho.

Beczałem jeszcze przez chwilę. Staralem się być cicho, ale w pewnym momencie niemal zwierzęcy odgłos bólu wyrwał mi się z ust.

W końcu łzy przestały lecieć. Niezgrabnie otarłem dłonią policzek. Byłem zażenowany, ale czułem się lepiej, tak jakby ta wisząca mi u szyi cegła zmieniła się w styropian. Stanowiło to ulgę, nawet jeśli krótkotrwałą. Kiedy podniosłem głowę, znowu mogłem oddychać. Za to przez szybę z przerażeniem przyglądała mi się Iga. Niezawodnie potrafiła wyczuć, kiedy coś się dzieje. Wtedy imponująco koncentrowała uwagę.

Otarłem oczy, czując, że mogę już przestać się mazać, że największy kryzys minął. Ułożyłem dłoń na płasko na szybie, mając nadzieję, że to uspokoi córkę.

Cudownie sceptyczna mina Igi wskazywała, że moje nadzieje są płonne.

Pół godziny od postoju, zafawszy internetowej nawigacji, zjechaliśmy z autostrady Rusa w mniejszą drogę. Ta poprowadziła nas przez kompletne

dziury, do tego w pewnym momencie zwęziła się w jeden pas. Naprzeciwno pojawiło się auto, byłem przekonany, że jedziemy na czołówkę. Ania w ostatnim momencie wyminęła starego szarego fiata, który najwyraźniej uważał, że droga należy do niego, a potem mało co nie potrąciliśmy samotnej, zziębniętej prostytutki, zaskakującej na takim wygwizdowie.

– Kto to? – zapytał Staś.

– Autostopowiczka – odparłem.

– Dlaczego nie pojechała z nami?

– Bo my się zaraz zatrzymujemy.

– Kiedy? – zapytał z iskierką nadziei.

– Och, zamknij się wreszcie, głupolu – syknęła moja córka.

– Iga! – podniosłem głos, zanim ugryzłem się w język. W lusterku spostrzegłem, że z urażoną miną założyła słuchawki, i westchnąłem tak ciężko, że Ania zachichotała pod nosem.

Prowadziła, jakby zjadła zęby na zimowych rajdach, i zanim doszło do kolejnej niebezpiecznej sytuacji, wróciliśmy na bardziej cywilizowaną drogę. Dzieciaki nie były już znudzone. Świeży śnieg zapowiadał niezłą frajdę.

W końcu nawigacja pokazała, że jesteśmy w Ochrenkach. Wieś opisywano jako kurort, ale o tej porze roku świeciła pustkami. Dwóch nastolatków ciekawsko wgapiło się w samochód. Wskoczyłem z auta i zapytałem ich o drogę do jeziora. Pierwszy był nie stąd, a drugi nie wiedział. Westchnąłem. Ale zanim wsiadłem z powrotem, usłyszałem starszy głos. Jakiś człowiek schodził po schodkach swojego domu. Wyglądał na zawianego: była niedziela i pewnie już po mszy. Udzielił mi jednak całkiem rzeczowych wskazówek, jak trafić na leśną drogę, niewidoczną na mapach Google'a. Więc dla nas, mieszcuchów, nieistniejącą.

– Nie za późno na ryby? – zagaił ciekawsko, kiedy podziękowałem. Miał ochotę pogadać i trudno było się temu dziwić. Ochrenki wyglądały, jakby przez zimniejsze pół roku nie miały styczności ze światem zewnętrznym. – Zresztą ostatnio – kontynuował mój rozmówca – to tylko leszcze się pojawiają. Kiedyś to było jezioro, całą wieś wyżywiało. – A potem

opowiedział mi, jakiego złowił suma. Sądząc po tym, jak szeroko rozkładał żyłaste ręce, ryba musiała być gigantyczna.

Ania przywołała mnie karzącym głosem, miała wycucie w takich sytuacjach. Mogłem się uwolnić od naszego przewodnika, który spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

– Sam mam taką babę na chacie. Jeden błąd i człowiek się męczy całe życie. W studni utopić, póki jeszcze sił starcza – zauważył.

Podziękowałem. Pokiwał głową, z niechęcią kierując się w stronę domu.

– Tato, czemu nie wysiadamy? – zapytał Staś, kiedy wróciłem do auta. Spoglądał łakomie na śnieg. Wyglądał na idealny do lepienia kulek i było go pod dostatkiem. Ochrenki dosłownie tonęły w bieli, jakby to był styczeń, a nie końcówka października.

– Jeszcze chwila, synku – powiedziałem, a potem skupiłem się, żeby powtórzyć Ani instrukcje.

Okazały się bardzo precyzyjne. Za plebanią skręciliśmy w drogę pełną wybojów, ale już po kilkuset metrach jechaliśmy po dość równych betonowych płytach. Co kilka metrów samochód wyskakiwał co prawda lekko w górę, ale podłoże okazało się twarde. Potem płyty się skończyły i były już tylko las i droga, którą pokonać mógł wyłącznie pojazd z napędem na cztery koła.

Wreszcie coś zaczęło prześwitywać przez gałęzie. Jeszcze chwila i zobaczyliśmy tafłę jeziora, zielonkawą, zaskakująco rozległą.

Śnieg śniegiem, ale nie było tak zimno, aby wodę skuł lód. Jezioro wyglądało na tak duże, że żaglówka miałaby szansę złapać na nim wiatr. Piękny to był widok, taka połać wody w środku lasu. Na brzegu dostrześliśmy całkiem sporą polanę, pomost, no i domek.

Przełknąłem ślinę. Znałem tę chatkę ze zdjęć. Widziałem deski, starą kanapę i zwłoki z ziejącą na głowie raną. Podłogę zaplamioną krwią.

– Dom – zauważył Staś. – Ktoś tu mieszka?

– Nie sędzę – odparłem.

– Co będziemy robić? – celnie zapytała Iga.

Bo co takiego mogły powiedzieć mi drzewa i jezioro po kilkunastu latach?

Ania już była na zewnątrz, wpatrywała się w wodę. Odpiąłem Stasia z fotelika i pomogłem mu wysiąść.

– Idziesz? – zapytałem Igę, która nie ruszała się z miejsca.

– Po co?

– Rozprostować nogi? – zasugerowałem. Nie uraczyła mnie odpowiedzią.

Mój syn podbiegł do jeziora, jak przyciągnięty niewidzialną nicią. Mnie bardziej interesował dom. Poprosiłem Anię, by zerknęła na Stasia, który szybko zaczął wyszukiwać kamieni do puszczenia kaczek. Nauczyłem go tego w zeszłym roku.

– Tato! – krzyknął po wypuszczeniu pierwszej serii. – Cztery! Cztery razy!

– Brawo, synu.

– Co zamierzasz? – zapytała Ania za moimi plecami.

Nie odpowiedziałem.

Chatka okazała się wielkości spichlerza, miała może trzydzieści metrów kwadratowych, a w dachu widniała spora wyrwa. Kilka okien jeszcze się zachowało, przez dziurę zauważyłem puste wnętrze, choć na zdjęciach policyjnych widziałem meble. Miejscowi rozkradli, o ile policja nie zabrała do spisu. Drzwi były zamknięte, ale jedna z szyb na tyle wybita, że osłoniłem łokieć kurtką i usunąłem ją do końca. Poszło. Ostrożnie, aby nie rozedrzeć spodni, wszedłem do środka.

Cuchnęło rybami i stęchlizną. Izba wydawała się większa niż na zdjęciach. Natrafiłem na łazienkę, a przynajmniej coś, co kiedyś mogło nią być, biorąc pod uwagę gabaryty pomieszczenia, kafelki na ścianach i szczątki terakoty. W podłodze widniały ewidentne dziury po umywalce i klozecie, i jeszcze jedna, większa, pewnie po brodziku. W swoim czasie łazienka musiała być w pełni wyposażona, teraz wszystko z niej wyniesiono.

Otwartą na pokój kuchnię musiał spotkać ten sam los. Chatka, kiedyś pewnie całkiem komfortowa, mogła się w tym stanie nadawać jedynie dla amatorów bardzo mocnych wrażeń.

Słyszałem z tyłu głosy Ani i Stasia. Iga wciąż siedziała w samochodzie, nie zamierzała wysuwać stopy w coś będące dziką przyrodą. W ramach buntu wobec wyprowadzki z miasta gardziła tym, co zielone i wyrosłe z ziemi.

Salonowa prawdopodobnie część chatki miała wyjście na jezioro – całą ścianę oszklono; widok musiał być tu piękny o świcie. Jakie to złe emocje mogły wzbierać w człowieku w takim miejscu?

Pochyliłem się nad podłogą. Zakurzona i miejscami spróchniała, miała widoczne plamy, które ktoś niechlujnie wymył. Tutaj przez dwa dni leżał zamordowany Paweł Sępiński. Tutaj moja żona spędziła z trupem czterdzieści osiem godzin. Co robiła, co jadła? O czym myślała? Oczywiście nie mogła przebywać poza chatką. Na zewnątrz nie wytrzymałaby, nie w lutym, bez namiotu i odpowiednich ubrań. Ranna, słaba, nie mogła iść. Chciałem w to wierzyć, nawet mimo informacji z raportu, że jej rany nie okazały się poważne... Ale co mogli wiedzieć ci, którzy tego nie przeżyli.

Wyjrzałem na zewnątrz. Iga w końcu wyszła, kręciła się nieufnie niedaleko auta, jakby powietrze tu było wrogie i pełne trujących substancji. Staś wciąż puszczał kaczki, a Ania chyba pomagała mu szukać kamieni. Nagle sama wypuściła imponującą serię, sześć, może siedem odbić. Staś wydał z siebie okrzyk uznania.

– Wow! – wrzasnął, a ja znieczeka parsknąłem śmiechem, tak że cała trójka spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Stasiowi nie przysłoby już pewnie do głowy zapytać, co znaczy „wow”. My, niewiele wówczas od niego starsi, głowiliśmy się nad tym długo. W końcu jeden z nas, syn inteligenta, zapytał ojca, a ten odparł, że to okrzyk uznania, że nic nie oznacza. Oczywiście nikt mu nie uwierzył. W filmach Amerykanie mówili tak cały czas.

Poczułem chwilowe rozluźnienie, choć od powietrza w chatce kręciło mi się w głowie. Jakie toksyny załęgły się za tymi zszarzałymi, poobdzieranymi tapetami?

Krzyknąłem do Ani, czy daje radę. Odparła, że świetnie. Teraz bawili się ze Stasiem, kto dalej rzuci kamieniem, finezja ustąpiła miejsca próbie sił. Wstąpiłem więc na pomost, który zachwiał się pod moim ciężarem. Tym

szarym deskom, ostro pochylonym w lewą stronę, niewiele było trzeba. Pewnego dnia wichura albo rzęsista ulewa zmyją je prosto do wody.

Ten sam pomost, cały skuty lodem, widziałem na zdjęciach. Wertowałem teraz w głowie kolejne szczegóły z raportu. Policja weryfikowała hipotezę, że Jonasz Marzec nie żyje. W poszukiwaniu jego ciała wokół pomostu, a także wzdłuż całej linii brzegowej rozkruszono lód. Zwłok jednak nie odnaleziono.

Na zamrożonej wówczas tafli nie znaleziono zresztą śladów butów, ale i tak byłyby pewnie niewidoczne pod warstwą śniegu, który zdążył napadać. Na policyjnych zdjęciach jezioro przypominało pustynię. Szczelnie pokrył je puch, a śledczy nie zlokalizowali nawet śladów przerębla wykutego przez Sępińskiego i Marca zgodnie z zeznaniami Iskrzyńskiej.

Prokuratora postawiła jej zarzuty, lecz potem umorzyła postępowanie. A sama Julia zapadła się pod ziemię.

Mimo to podejrzewam, że ostatecznie wszyscy poza Bogusławem Marcem mogli być zadowoleni z takiego obrotu spraw. A może i on sam: ucieczką Julia rzuciła na siebie cień i można było wybielić jego syna.

W końcu prawdopodobieństwo, że Jonasz, znany z krewkiego charakteru, zbiegł, było znaczne. Miał już na koncie wyrok. W wieku siedemnastu lat z bronią w ręku włamał się z kolegą do monopolowego. Fakt, że kolega poszedł siedzieć, a Jonasz, fizycznie obecny przy napadzie, otrzymał tylko wyrok w zawieszeniu, dużo mówi o ówczesnym wymiarze sprawiedliwości i wpływach Bogusława Marca.

Tego w raporcie nie przeczytałem, ale niedaleko pada jabłko od jabłoni. Tajemnicą poliszyneła było, że Bogusław Marzec w młodych latach parał się ponoć „handlem” z NRD, a w rzeczywistości zapewne jeździł na bardziej zorganizowaną jumą. W Warszawie zawsze chodziły plotki, że marszałek ma w Niemczech kartotekę o grubości równej *Sadze rodu Forsyte’ów*.

Sobie tylko znanymi sposobami Marzec zbił majątek, który stał się dla niego przepustką do świata polityki. U czerwonych łatwo zaadaptował gangsterskie metody zarządzania. Przejawiał zadziwiający instynkt polityczny, z odcieniem populizmu, takim w sam raz. To instynkt pozwolił

mu płynąć już ponad dwadzieścia lat. Marzec zmieniał barwy zgodnie z tym, skąd mocniej i korzystniej wiało. Drogie garnitury i dobra fryzura, a do tego sprytna, lekko cyniczna gęba. Nawet jeśli teraz Bogusław Marzec działał w białych rękawiczkach, nie musiało tak być czternaście lat temu.

Czy tego bała się Julia? Że jeśli nie skaże jej państwo, zrobi to Bogusław Marzec? Czy dlatego uciekła?

Złapałem się na tym, że miętolę w kieszeni zdjęcie leżącego Jonasza. Martwego? Jeśli tak, to doszło tu do dwóch morderstw, a nie jednego. Jedyńm świadkiem tego, co zaszło, była zaś moja żona.

Od strony jeziora powiał wiatr i zaskrzypiało; odniosłem wrażenie, że pomost zapada się pod moim ciężarem, centymetr na minutę. A przecież musiałem ciągnąć ten wózek dalej, dla smarkacza, który ciskał właśnie kamienie w wodę, i dla trochę większej smarkatej, która już zaszyła się z powrotem w land roverze, wybierając sieć zamiast rzeczywistości. Co jednak mnie samemu oferowała ta rzeczywistość? Zaginioną żonę, może martwą. Samotne wychowywanie dwojga dzieciaków. Bezrobocie.

– Tato, kiedy jedziemy? Jestem głodna – zakomunikowała głośno Iga, otwierając drzwi samochodu.

Pokiwałem posłusznie głową, zastanawiając się, gdzie znaleźć w Ochrenkach otwartą knajpę.

A jednak się udało, i to całkiem niezłe. Miejsce, które znaleźliśmy, było jedyną czynną restauracją w okolicy: zabawnie przerośniętą stodołą, ale z tych starych, o nobliwej fasadzie z grubych bali. Najważniejsze, że w karcie zadbano o ryby – może nawet świeże, a lista deserów ujęła mnie kogłem-mogłem. W końcu wjechał: apetycznie białożółty, przepyszny. Przed oczami stanęło mi dzieciństwo, kiedy błagałem mamę, by go ukręciła.

Po obiedzie zamówiliśmy z Anią kawę, Staś rysował przy stoliku dla dzieci, który zajmowało również kilkoro nieletnich Niemców, wraz z rodzicami powracających do kolonii przodków. Porozumiewał się z nimi uniwersalnym językiem dzieciństwa. Miałem nadzieję, że tym razem nie dojdzie do międzynarodowego mordobicia.

Nagle Ania zapytała:

– Dawno Iga wyszła?

Uległem chwilowemu odprężeniu, a Igi rzeczywiście nie było już dłuższą chwilę.

– Sprawdzę – powiedziałem. – Rzuć okiem na dzieciaka.

Staś stracił już zainteresowanie obrazkami i tłumaczył coś koledze z Germanii, na co tamten kiwał głową.

Drzwi do damskiej łazienki były zamknięte. Pociągnąłem je mocno.

– Iga – krzyknąłem. – Jesteś tam? Iga?!

Cisza, szarpnąłem raz jeszcze. Zdenerwowany, rozejrzałem się, myśląc, czym mógłbym je wyważyć, gdy usłyszałem cichy głos, jak ze studni.

– Tato, poproś Anię.

– Iga...

– Proszę cię, tato. – Ton Igi brzmiał błagalnie.

Wykonałem polecenie i czekałem potem na korytarzu, pogrążony w niepokoju.

Kiedy zobaczyłem Anię, śmiała się.

– Masz kupić to. – Wręczyła mi karteczkę z dwoma nazwami i rozmiarem. – A jak nie będzie, to to...

– Czy ona...?

– Tak.

– Nie za wcześnie?

– Za wcześnie na co? Pogódź się z tym, Matek, stworzyłeś osobę, która stała się kobietą.

– Przecież to jeszcze dzieciak – powiedziałem.

– Jesteś ślepy, kotku – odparła miękko – ale może to dobrze, że nie gapisz się na własną córkę. Zabierz ze sobą Stasia, a ja tu z nią posiedzę.

W ostatniej chwili przypomniałem sobie, żeby uregulować rachunek, mimo to kelnerka obdarzyła mnie miłym uśmiechem. Staś klarował coś dalej niemieckiemu koledze, powoli i wyraźnie, jakby tamten miał dzięki temu zrozumieć przekaz.

Przyjemnie było uczestniczyć w tych sielskich sąsiedzkich stosunkach. Czy siedemdziesiąt lat temu ktoś pomyślałby, że tak to będzie wyglądało? Z żalem musiałem przeprosić Niemców, mieliśmy ze Stasiem zadanie do wykonania i błagałem niebiosa, żeby sklepowa z jedyne go spożywczo-ogólnoprzemysłowego, który znalazłem na mapie, gdzieś sobie nie poszła.

Nie poszła i miała pierwszą pozycję z kartki. Byłem poruszony i chyba oczekiwałem jakiejś emocji na twarzy ekspedientki: uśmiechu porozumienia, wsparcia, solidarności jajników czy jakiejś innej bzdury – zanim nie dotarło do mnie, że przecież ona nie wie, że kupuję podpaski dla dwunastoletniej córki.

Staś wyczuwał chyba moje napięcie, bo milczał, jakby to była jakaś uroczysta chwila i dla niego. Sięgnąłem po portfel, ale nie znalazłem go w kieszeni spodni ani kurtki. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy przypomniałem sobie, że wyciągnąłem kartę i zapłaciłem przy kasie, a portfel pozostał na stole.

Coraz lepiej. W desperacji pogrzebałem w kieszeni i cudem znalazłem porządnie zgniecioną i chyba kilka razy przepraną dwudziestkę. Sprzedawczyni przyjrzała się podejrzliwie banknotowi, a potem mnie samemu. Westchnęła ciężko, lecz wydała resztę.

Wrzuciłem monety do kieszeni, chwyciłem Stasia za rękę i odwróciłem się, potrącając następną osobę w kolejce, młodego chłopaka, trzymającego skrzynkę piwa Specjal. Lekko zapita, ale dość młoda jeszcze twarz. Na szyi mężczyzna miał bliznę grubą na szerokość kciuka.

„Blizna, jakby mu ktoś przejechał nożem po gardle” – powiedziała Eliza.

Jak często można spotkać takie osoby? A zwłaszcza koło miejsca, gdzie zrobiono zdjęcie Jonasza Marca?

Bezwiednie zacisnąłem dłoń na rączce Stasia, który aż jęknął cicho.

– Przepraszam – powiedziałem do faceta, odkładając zakupy, a potem włożyłem wolną rękę do kieszeni kurtki. – Czy widział pan już tę fotografię? – Wyciągnąłem zdjęcie Jonasza Marca i podłożyłem mu pod nos z początkami słońowacizny.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, zamachnął się, a potem skrzynka specjale wylądowała na mojej piersi. Podobnie jak chwilę później sześciopak, który chłopak porwał ze stosiku nieopodal kasy.

Rzuciłem się, żeby ochronić Stasia, za późno uświadamiając sobie, że lepiej byłoby odepchnąć go na bok. Butelki wypadały ze skrzynki i kilka rozbiło się o ziemię, kiedy zasłoniłem sobą syna, jakby nad nami trwało bombardowanie. Usłyszałem szybkie kroki i odgłos zatraskiwanych drzwi.

– Co się stało, tato? – zapytał Staś tonem pełnym radosnego oczekiwania, jakbym podjął nieznaną mu, ale obiecującą zabawę.

Obejrzałem jasną głowę; nic mu nie było.

– Zaraz będę. Nigdzie się nie ruszaj! – rzuciłem i pognałem w kierunku drzwi. Zobaczyłem tył brudnego, pomarańczowego żuka buksującego w miejscu i zacząłem biec w jego kierunku. Zrobiło się cieplej, śnieg zaczął zmieniać się po południu w śliską breję i przez chwilę wydawało mi się, że żuk nie wyjedzie. Ale zanim go dopadłem, auto z rykiem wyrwało się z zasy, obryzgując mnie całego błotem.

Samochód wydostał się już na drogę, a do knajpy, skąd mogłem wziąć kluczyki do land rovera, miałem co najmniej dwieście metrów. Pożałowałem, że nie podjechałem do sklepu autem. Tymczasem żuk oddalał się już całkiem sprawnie, dudniąc starym silnikiem. Co mogłem zrobić? Wytężyłem wzrok i zapamiętałem numery blach, które powtórzyłem potem jeszcze w głowie trzy razy.

Wszedłem do sklepu. Staś w najlepsze stał pod jankami z niespodzianką. Chyba już zapomniał o akcji sprzed kilku chwil.

– Tato, mogę jedno? – zapytał.

Podszedłem prosto do sprzedawczynie, dziewczyny o smagłej cerze.

– Zna pani tego człowieka?

– Jakiego człowieka?

– Tego, co właśnie wybiegł.

– Pierwszy raz w życiu go widziałam.

– Proszę posłuchać. – Sięgnąłem ręką do kieszeni, gdzie napotkałem oczywiście próżnię. – Zapłacę, jeśli poda mi pani nazwisko tego człowieka.

– Czym? – zaśmiała się, nawet nie nieprzyjemnie, tylko tak obojętnie.

– Wrócę tu za kilka chwil – powiedziałem.

– Nie znam tego człowieka – oznajmiła już mniej pewnie.

Porwałem Stasia i pobiegłem z nim do knajpy, w drugiej ręce trzymając przesyłkę dla Igi. Myślałem o chłopaku z blizną. Nie tylko spotkałem go w okolicy, w której dokonano zbrodni, ale jeszcze na dodatek uciekł po zobaczeniu zdjęcia.

To on musiał je zrobić. Ale mimo zapijacznej twarzy był niezaprzeczalnie młody, między dwudziestką a trzydziestką. Byłby nastolatkiem, albo nawet dzieckiem, w czasie tragedii nad Ochrennem.

Ania czekała na mnie zniecierpliwiona.

– No, tatusiu, co tak długo? – powiedziała, a potem spojrzała zdziwiona na moją zaplamioną piwem kurtkę. – Też mieliście jakiś... wypadek?

– Wyjaśnię – wycedziłem, chcąc jak najszybciej powrócić do sklepu. – Rzucisz okiem na Stasia?

– No nie wierzę – oznajmiła z oczami jak szparki. – Mężczyźni są nieczuli, ale żeby aż tak? Może sam tam wejdiesz? – Odwróciła się błyskawicznie i otworzyła drzwi do łazienki.

– To nie tak! – zaprotestowałem. Ale było po sprawie. Ania zatrzasnęła drzwi, aby poinstruować moją córkę, odegrać rolę Mai. Wiedziałem, że dla mojej żony byłoby ważne, aby w tym uczestniczyć, i zrobiło mi się przykro, że doniosła chwila właśnie mija.

Odebrałem portfel od kelnerki, która zaczęła wyjaśniać, że za mną biegła. Miałem ochotę poprosić ją albo nawet Niemców, aby przygarnęli Stasia na kilka chwil, i spróbować wyciągnąć kluczyki od Ani, ale minęło już ponad dwadzieścia minut. Jakie miałem szanse odnaleźć pomarańczowego żuka?

Poza tym trochę bałem się zostawić Stasia. To on był teraz najważniejszy, on i Iga. Syn trzymał mnie mocno za rękę.

– Tato – zapytał z przejęciem. – Czy Iga żyje?

– Oczywiście, że żyje – krzyknąłem niemal. – Nie gadaj głupot, Stasiu.

– To czemu się nam nie pokazuje?

– Ma takie dziewczęce sprawy.

– Jakie?

– Dziewczęce – uciałem. W jego oczach dostrzegłem kiełkującą urazę. Był pogodnym dzieckiem, poza dość regularnym, ale krótkim obrażaniem się: moim zdaniem miał tę cechę po Mai, a zdaniem Mai po mnie.

Zostawił mnie i poszedł się bawić. Westchnąłem ciężko i opadłem bez sił, wdychając zapach piwa z mojej koszuli i kurtki: aromat drożdży i żulerki. W końcu w sali pojawiła się Iga. Ania otaczała ją ramieniem, obie wysokie, o szczupłych twarzach, dla postronnego obserwatora byłyby matką i córką.

Iga unikała mojego spojrzenia. Tak bardzo chciałem coś powiedzieć, ale zamiast wymyślić coś zgrabnego i delikatnego, siedziałem tu i maglowałem w głowie sprawę chłopaka z blizną.

– Córeczko – zacząłem, wstając, ale Ania dała mi ostrzegawczy znak dłonią. Umilkłem. – Chcesz jeszcze jakiś deser? – zapytałem.

Spodziewałem się odmowy, ale dobiegł mnie głos, słabszy niż zazwyczaj:

– Lody, tato.

Staś też dostał swoją porcję, bo zrobił tak żalostną minę, kiedy wjechał puchar Igi, że i dla niego musiałem zamówić. Złamałem w tej podróży wszystkie nasze rodzicielskie zasady. Ale jakie miałem wyjście?

Minęło jeszcze z czterdzieści minut, zanim wyszliśmy z knajpy. Było już szaro i ciemno. Poprosiłem Anię, by zatrzymała się przy sklepie. Wbiegłem na schodki, pociągnąłem za klamkę. Zamknięte. Rozejrzałem się, nie widziałem dookoła żywej duszy. Sprzedawczyni poszła sobie, może skończyła pracę, a może zamknęła sklep zaraz po moim wyjściu. Porażka. Wieś obumarła, nie wiedziałem, czy mam chodzić od domu do domu, szukać tej dziewczyny, a może od razu chłopaka z blizną. Wróciłem do auta i stęknąłem ciężko. Odniosłem wrażenie, że wszyscy, nawet Iga, czekają na moje słowa.

– Wracamy do Warszawy – powiedziałem.

Dzieciaki przysypiały na tylnym siedzeniu i ja trochę się zdrzemnąłem, kiedy Ania nie skorzystała z mojej propozycji prowadzenia. Nie miała dobrego mniemania o moich talentach kierowcy. Zadzwonil Leon. Odebrałem.

– Wysłałem ci wiadomość odnośnie do finansowania. Jest szyfrowana, ale skasuj zaraz po odczytaniu – powiedział.

– Czy znalazłeś... coś...

– Myślę, że będziesz zadowolony. W wiadomości masz podane moje wynagrodzenie i numer rachunku.

– Poczekaj, Leon. Mam jeszcze jedną sprawę, a właściwie dwie. Zacznijmy od tego, czy możesz mi zidentyfikować właściciela auta po tablicy rejestracyjnej?

– Tak – odparł.

Następnie opisałem mu drugie zadanie. Zakładałem, że namierzenie osoby jest bardziej skomplikowane, ale Leon nie zamierzał wdawać się

w dyskusję.

– Rozumiem. Czekaj na wiadomość – powiedział i rozłączył się bez pożegnania. Dostarczył informację, przyjął zlecenie i nic więcej go nie obchodziło.

Ręce trochę mi się trzęsły, kiedy logowałem się do mojej poczty. A kiedy zobaczyłem treść wiadomości, po prostu wytrzeszczyłem oczy.

Dwie godziny później byliśmy pod domem Ani, gdzie wcześniej zaparkowałem saaba. Staś i Iga, zmęczeni emocjami dnia, spali, a ja musiałem porozmawiać z moją współpracowniczką. Myśli kotłowały mi się pod czaszką. Poprosiłem, abyśmy wyszli na zewnątrz, żeby nie obudzić dzieciaków. Ania zapaliła i ja poprosiłem o jednego. Zakręciło mi się momentalnie w głowie, ale to było nawet przyjemne.

– Spójrz. – Pokazałem jej treść maila od Leona.

Uniosła lewą brew, oznaka silnej emocji.

– Co to ma znaczyć? – zapytała.

– To, co widzisz.

– Wiedziałeś o tym?

– Zwariowałaś?

– Finansują cały nasz grant.

– Sto procent.

– Matek, skąd masz te...

– Pamiętasz faceta od informacji, z Mattera?

Zasępiła się.

– Taki dziwny i trochę śmierzący gościu? – zapytała.

– Tak.

Ania wiedziała, że jest sprawdzony.

– Dlaczego...

– Nie wiem, miałem intuicję, kiedy nam odmówili. No i się sprawdziło.

– Kurwa – skomentowała.

Nie dziwiłem się mojej współpracownicy. Dziwnie było dowiedzieć się, że finansuje cię twój zacieklej adwersarz. Środki na wsparcie W Imię Natury, w całości inkorporowane przez naszą instytucję, przekazała Energy Future,

spółka założona i kontrolowana przez Macieja Rusa. Obecnie należąca do Łukasza Orskiego. Spółka, z którą byliśmy w trakcie procesu w sprawie Elektrowni Jabłoczno, z którą toczyliśmy zacięte boje sądowe w przeszłości. Największy prywatny truciciel w naszym kraju finansował naszą ekoprawniczą awangardę.

– Niepojęte – mruknęła. – Jak mogłoby im się to opłacać? Stracili przez nas pieniądze i czas.

Nie, nie udało nam się nigdy zasabotować budowy samej elektrowni. Mieli zbyt silne wsparcie rządowe. Przy skali ich kontraktów opóźnienia w wyniku czynności procesowych kosztowały jednak ładnych parę milionów.

– Myślałem o tym samym przez ostatnie godziny i nie rozumiem więcej niż ty. Nie mogliśmy im się niczym przysłużyć.

– Może to jest jakaś strategia, której nie widzimy... Chwila – powiedziała Ania. – Energy Future nie zmienia teraz profilu na energię odnawialną?

– Przynajmniej część działalności. Zresztą powołali do tego nową, czystą spółkę – uzupełniłem.

– Znaczną część działalności; czytałam, że młody na gwałt spieniężał udziały – powiedziała, zdradzając, że śledzi prasę biznesową z taką samą regularnością jak ja. – Zresztą zostali przy nim ci sami ludzie, niezależnie od tego, pod jakim hasłem teraz działają.

– Jest w tym ironia: przestają nas wspierać, właśnie kiedy przechodzą na jasną stronę mocy. Właśnie kiedy moglibyśmy im się przydać. No, nie ma żadnego sensu, że teraz nas kasują, i basta.

Ania zaciągnęła się głęboko. Uliczka przy jej domu na Sadybie była niemal tak cicha jak nasza izabelińska. A kiedy Ania biegała nad swoją częścią Wisły, napotykała nawet dziki.

– Czyli Łukasz Orski przejął firmę i skasował nasz grant? – skonkludowała.

– No cóż – powiedziałem. – Decyzja mogła zapaść gdziekolwiek. Zbieżność czasowa na pewno występuje.

– Buduje morską farmę wiatrową.

– Tak. Czteryście tysięcy megawatów.

– Duża.

– Jedna z większych na Bałtyku.

Zaciągnęła się ponownie.

– Po co w tym siedzimy, Matek? – zapytała.

– Dla przyrody?

– Jesteś pewien?

– Byłem.

– Od dwóch lat myślałam, że coś z tego wynika – powiedziała, a w jej głosie wyczułem nutę gniewu albo frustracji. – Że nasze ekspertyzy muszą przynieść rezultaty. Ale co właściwie mamy? Kilka pozycji naukowych? Ustawę, która może przejdzie, jeśli nie zostanie poszatkowana na kawałki w którejś z komisji? Przecież to jest domek z kart. Jak na razie wciąż wyglądamy jak banda wariatów. A teraz okazuje się, że tańczymy, jak nam lobby węglowe zagra.

– Nie tak prędko – odparłem. – Na razie nie znaleźliśmy związku między finansowaniem a nami. Może jest inny powód wsparcia?

– Ale jaki? Dlaczego Energy Future miałyby to robić?

Miałem w głowie tylko jedną koncepcję. Ale tak nieprzyjemną, że wolałem jej nie wypowiadać na głos. W ten sposób mogłem oszukiwać sam siebie, że nie zaistniała.

Staś rozmazgał się w drodze powrotnej, a ja myślałem tylko o tym, jak po dniu knajpianego żarcia zaserwować coś zdrowego na kolację. I chyba potrzebowałem gotowania, aby pomyśleć. Makaron pełnoziarnisty z sosem pomidorowym, cukinią i tuńczykiem okazał się tym, co mogła zaoferować nam dziś nasza okrojona lodówka. W porządku.

Dzieciaki rozpierchły się po domu, a ja nakarmiłem i wypuściłem na dwór Febika. Wrócił na kanapę, jak tylko załatwił swoje sprawy. Rozpoczęło się bowiem psie zimowanie. Trochę czułem się winny, bo nasze wspólne bieganie dobiegło końca. Febik był smętny i przesypiał całe dnie.

– Nie, jeszcze poskacz na zewnątrz, kolego – powiedziałem, stojąc przy otwartych drzwiach do ogrodu.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, ale zrozumiał, powlókł się z powrotem na dwór. Na zewnątrz od razu odwrócił się, rzucając mi żałosne spojrzenie.

– To dla twojego dobra – zapewniłem go. Ale pies, zamiast hasać, ułożył się osowiały na tarasowej leżance.

Nie mogłem powiedzieć Ani wszystkiego, a raczej nie chciałem. Bo romans Mai zbiegł się z przyznanym nam grantem. To wtedy właśnie otworzyłem tę przekłętą przesyłkę, to wtedy Maja wychodziła porozmawiać na zewnątrz, wyłączała komputer, zachowywała się jak zauroczona.

Byłem wówczas tak zestresowany naszymi problemami finansowymi, że połączyłem to w całość dopiero później. Nigdy nie mogłem się jednak zdobyć na to, aby zakomunikować jej, że wiem, że kogoś ma. A potem, rozżalony i nieszczęśliwy, wplątałem się w tę przekłętą aferę z Natalią.

A teraz to wszystko powiązało się w logiczny ciąg. Musieli poznać się z Maciejem Rusem przy okazji kupna obrazu, Maja miała przecież zamożną, elitarną klientelę. To on był tym tajemniczym kupcem. Kulturalny miliarder, mecenas sztuki, z pozoru facet z klasą. Jak widać, dla mojej żony nie miało znaczenia, że w pojedynkę podtrzymywał polski miks energetyczny. Czy jaki tam miks, patologiczny węgiel. Przecież nasz grant to była dla takiego faceta błahostka. A dzięki grantowi udało się uratować nasz dom, rodzinę, uniknąć bankructwa.

Rus jednak nie chciał, by ode mnie odeszła – bo w innym wypadku jaki byłby sens wspierania mojej kruczaty? Zwłaszcza takiej będącej na bakier z jego własnymi interesami.

A może chciał? A Maja odmówiła? I wtedy właśnie się rozstali? Może grant był prezentem pożegnalnym od wdzięcznego, starszego kochanka? Przez chwilę zastanawiałem się, czy wizja Mai w ramionach starucha jest lepsza niż w objęciach młodego przystojniaka, ale obie wydały mi się równie przykre.

Wkrótce po przyznaniu grantu romans Mai musiał się zakończyć. Ale Rus okazał się człowiekiem honoru i nie cofnął finansowania. Moja żona

musiała być dobra w łóżku, pomyślałem z goryczą. Nie mógł dać jej całej kwoty bezpośrednio albo zachowała tyle honoru, by odmówić. Musiał również zlekceważyć znaczenie naszej działalności dla swoich interesów. Ile w zasadzie stracił za pośrednictwem Energy Future?

Czy przeszacowałem ich uszczerbek? Kto się pomylił? On, najwytrawniejszy strateg III RP, czy ja, człowiek, który nie radzi sobie z własnym małżeństwem?

– Jedzenie! – krzyknąłem do dzieciaków, ale tak jak sądziłem, nikt nie przyszedł. Staś grał na komputerze domowym w jakąś strzelankę, skubany chyba sam to zainstalował, jeśli nie udało mu się uprosić siostry. Przez chwilę duma z przedsiębiorczości i sprawności technicznej syna walczyła u mnie z troską o jego psychikę, a przy tym gra była tak wizualnie dopracowana, że nie mogłem oderwać spojrzenia. W końcu machnąłem ręką i odciągnąłem go od komputera, obiecując, że puszcę go po kolacji, i ponownie oskarżając się o bycie złym rodzicem. Tyle spraw musiałem załatwiać teraz w pojedynkę.

Iga oświadczyła, że nie jest głodna, i nie mogłem jej męczyć, już na pewno nie w dniu takim jak ten. Klikiała w telefonie. Czy zwierzała się koleżankom z tego, co się dzisiaj stało? Czy to był powód do dumy między dziewczynkami?

Delikatnie tylko zapytałem ją, jak się czuje, ale kiedy mnie ofuknęła, odpuściłem. Ania dała jej jakieś tabletki i miałem tylko nadzieję, że je połknęła.

Zasiedliśmy więc ze Stasiem do stołu we dwóch. Sos wyszedł całkiem nieźle jak na taką prowizorkę. Niestety Staś, przekarmiony fast foodem i marudny przez nadmiar cukru, nie chciał jeść; ponosiłem konsekwencje dzisiejszego chaosu i braku dyscypliny.

Nasza uliczka widoczna z za okna była ciemna i bezwietrzna, ściana lasu nieruchoma. Cisza natchnęła mnie chwilowym spokojem.

Usłyszałem sygnał, a chwilę później za oknem przejechała karetka. Następnie zawróciła do bramy naszego osiedla. A wtedy pojąłem, że to wcale nie jest karetka.

Kilkadziesiąt sekund później podkomisarz Listek wparował przez nasze drzwi. Wyglądał na zadowolonego. Za nim wśliznęła się Tol.

– Panie mecenasie – oznajmił policjant. – Mamy wyniki badań DNA. Powiedziałbym, całkiem obiecujące i...

– Co wy tu robicie? – przerwałem mu.

– Aresztujemy pana pod zarzutem zabójstwa Natalii Mroczkiewicz.

– Że co?!

– Niech pan nie robi problemów.

W jego dłoni błysnęły kajdanki.

– A co z moimi dziećmi?

– Nie nasza sprawa – powiedział. – Jak pan nie ma ich gdzie zostawić, mogą pojechać z nami, umieścimy je w placówce opiekuńczej.

Gdyby nie różnica wag i resztką rozsądku w mojej głowie, uderzyłbym go. Może właśnie tego chciał. Nie miałem żadnych wątpliwości, że działa na zlecenie Bogusława Marca. Widocznie przesłuchanie na komendzie nie przekonało polityka do tego, że nie wiem, gdzie jest moja żona.

– Tato, o czym ten pan mówi? – zapytał Staś za moimi plecami.

– Nic, synku, nigdzie was nie wyślą. – Potargałem mu włosy, ale myślami byłem już gdzie indziej.

Swetrowa stała w progu swojego domu i przysięgłbym, że pachnie od niej mlekiem. Pod okrytym wełną ramieniem zobaczyłem jedną z łepetynek, ale nie ryzykowałem zgadywania, które to z jej dzieci. Spoglądała ciekawsko na Listka, który stał kilka metrów za mną. Tak jak i ja przedtem, z pewnym uznaniem patrzyła na monstrualną sylwetkę policjanta.

A potem zobaczyła dzieciaki: Stasia, który już rwał się do Aleksa, i przygnębioną Igę. Obydwoje mieli plecaki. Na twarzy Swetrowej pojawiło się zrozumienie. Pewnie od dawna podejrzewała, że pozbyłem się żony. Ale w oczach skierowanych na dzieci, zwłaszcza Stasia, była już tylko troska.

– Zajmę się nimi – oświadczyła.

– Możemy je umieścić w placówce, proszę pani. Pan Chabrowski pow... – z tyłu zagrzmiął tubalny głos Listka.

– No chyba pan zwariował – przerwała mu Swetrowa. – Niech sam pan się umieści w jakimś przytułku.

Przepchnęła mnie i stanęła przed domem, niewrażliwa na zimno pod tymi wszystkimi swetrami.

Listek, jeśli był zaskoczony, nie dał tego po sobie znać.

– W porządku. Jedziemy – zakomenderował.

– Pożegnam się z dziećmiakami – odparłem, ale wtedy okazało się, że Staś przedarł się już do środka. Perspektywa spotkania z Alekssem okazała się zbyt kusząca, żeby ją opóźnić. I dobrze, może zapomni, co się właśnie działo. Aresztowanie ojca i przymusowy pobyt u obcych to materiał na kozetkę za dwadzieścia lat.

Iga zaś stała jak słup soli. Kompletnie sparaliżowana.

– Kochanie, nic się nie dzieje. – Dotknąłem lekko jej ramienia. Podskoczyła, jakby wybudziła się z letargu.

– Wiem, tato. Ja... tak mi przykro.

– Iga...

Nie dokończyłem zdania, bo rozplakała się nagle. Niezgrabnie przycisnąłem ją do piersi, łkała spazmatycznie, mocząc mi koszulę. Poczulem na ramieniu silną dłoń. Ale to nie był Listek ani tym bardziej Tol, tylko Swetrowa.

– Ja się nią zajmę – powiedziała.

Odepchnęła mnie i otoczyła Igę ramieniem. Moja córka szlochała tak, że nawet nie zauważyła tej zmiany.

– Niech pan już idzie – rozkazała Swetrowa.

Wręczyłem jej klucze do domu i usiłowałem wcisnąć kilka stówek, ale stanowczo odparła moją dłoń.

– Niech pan nie wariuje, to jak własne dzieci – powiedziała.

– Jakby ktoś...

– Niech tylko spróbuje – powiedziała Swetrowa i rzuciła wyzywające spojrzenie w stronę Listka. – Ten człowiek jest w tej chwili samotnym ojcem i powinniście wypuścić go jak najszybciej. A jeśli będziecie próbowali nagabywać te biedne dzieci, które nie mają obecnie matki, to mój mąż

pracuje w gazecie i następnego dnia przeczytacie artykuł o brutalnych działaniach warszawskiej policji.

Jeśli Listek chciał jeszcze coś powiedzieć, to nie miał do kogo, bo drzwi za Swetrową i Igą się zatrzasnęły. A ja, na pocieszenie, wreszcie uzyskałem jakąś informację na temat Swetrowego.

Podkomisarz wpychał mnie na tylne siedzenie radiowozu, tak jakbym sam nie potrafił do niego wsiąść. Czuję na karku jego wielką łapę i miałem nadzieję, że przez okno nie patrzą na to moje dzieciaki; dom Swetrowej stał bliżej ulicy niż nasz. Ten pokaz siły był niepotrzebny.

A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Usłyszałem świst, a sekundę później wyrazisty dźwięk rozpędzonego motoru. Zanim zdołałem dostrzec, co się dzieje, dobiegło mnie głucho uderzenie, jęk bólu i odgłos upadającego ciała. Wszystko to wybrzmiało w jednej chwili.

Listek rozejrzał się z niepokojem. Zobaczyłem grymas strachu na jego twarzy. Z jedną nogą w środku radiowozu, przez przednią szybę mogłem dostrzec pojedyncze światło, reflektor.

Motocyklista zawrócił i zaczął się rozpędzać, kierując prosto na Listka, jak błędny rycerz z kopią na smoka. Tym bardziej że w ręku napastnik trzymał coś w rodzaju pałki. Teleskopowej, pomyślałem, kiedy ujrzałem aspirantkę Tol. Policjantka leżała koło auta. Nie poruszała się, a z jej głowy wypływała strużka krwi.

Motocyklista zaatakował ponownie. Listek, zaskakująco sprawnie jak na takiego wielkoluda, uskoczył w bok i napastnik przejechał między nim a samochodem. Sam w ostatniej chwili wskoczyłem do radiowozu, uderzając głową o kratkę. Nasz przeciwnik naderwał drzwi auta, ale to go nie zatrzymało. Stanowił jedno ciało z motorem, czarny i nieuchwytny.

Po lewej stronie miałem pole walki, po prawej las. Listek zbierał się z drogi, szło mu to wolniej niż unik przed uderzeniem. Może się posiniaczył, a może wyczerpał już zasoby energii. Stał w końcu na nogi, wyciągnął broń i wystrzelił dwa razy w górę. Zimujące sikorki i sójki zerwały się do lotu i przez chwilę słychać było dramatyczny świergot.

Napastnika nie przestraszył, usłyszałem narastający warkot motoru. Listek wymierzył w motocyklistę broń, ale miał małe szanse, aby trafić. Cień był szybki i, już bez świateł, niemal niewidoczny. Zdradzał go tylko dźwięk i sekundy później zobaczyłem, jak Listek ledwo uskakuje przed kolejnym atakiem.

Trzeciej próby nie będzie, pomyślałem. Potem zostanę bez mojego kontrowersyjnego, ale jednak obrońcy.

Listek ponownie zbierał się z drogi, jeszcze wolniej niż poprzednio. Motocyklista zawracał, Tol krwawiła, nie wiedziałem, czy nie została dobita przez napastnika, czy w ogóle żyje.

Zrozumiałem, że mam sekundy na podjęcie decyzji.

Pochyliłem głowę i skoczyłem w las.

Gnałem przed siebie ile tchu. Zboczyłem z drogi, wbiegając w zarośniętą ścieżkę, którą zazwyczaj wybierał Febik. Jej zaletę stanowiło to, że była położona nieco powyżej głównego traktu leśnego. Jak w slalomie na tyczkach omijałem małe drzewka i nie słyszałem już nic poza szumem wiatru w uszach. Po chwili byłem już zresztą wystarczająco daleko, żeby drzewa zagłuszyły odgłos wystrzału i cokolwiek innego, co działo się dalej na ulicy.

Los pojedynku o życie, który tam się rozgrywał, był mi prawie obojętny. Przegrywałem w każdym scenariuszu.

Poczułem, że jeśli przebiegnę kolejne dziesięć metrów, serce wyskoczy mi z piersi, więc zatrzymałem się, łapczywie wdychając powietrze. Płaciłem teraz za zaniedbania sportowe ostatnich dni. Czterdziestoletni organizm, obarczony rosnącym brzuszkiem kucharza amatora, buntował się i żądał odpoczynku.

Nie wiedziałem, ile mam czasu – aż do momentu, kiedy na drodze poniżej ścieżki usłyszałem coś jak bzyczenie muchy, potem wyraźny, coraz głośniejszy warkot motoru.

Ścigał mnie. Zanim jednak zdołałem zebrać się do dalszego biegu, zapadła nagła cisza.

Reflektory omiotły drogę i skierowały się w górę. Przywarłem do wilgotnych, przegniłych liści, a potem usłyszałem szelest gałęzi. Zszedł z motocykla i przystanął, był teraz niewiele dalej niż sto metrów ode mnie. Jeszcze bardziej przylepiłem się do podłoża, jakby liście mogły mnie dzięki temu przykryć i zasłonić przed światem.

Niezależnie od dźwięku motoru, nie ulegało wątpliwości, kto wygrał walkę na ulicy. Podkomisarz Listek nie byłby w stanie tak cicho stapać.

Główkowałem rozpaczliwie. Miałem przed sobą jeszcze kawałek lasu, a potem mokradła. Kiedyś musiałem z nich wyciągać ciekawskiego Febusa i przy okazji niemal sam utonąłem, co oczywiście zostało między mną a psem, bo Maja nie dałaby mi później żyć. Ale nauczyłem się dzięki temu, jak przez nie przechodzić. Znalazłem wtedy suchszy kawałek podłoża wśród bagien i tylko dzięki temu wyszliśmy cało i zdrowo, choć dobrze ubłoceni. Maja, widząc nas, zrobiła wielkie oczy, wymyśliłem jakąś bajeczkę, a Febik mnie nie wyszczeakał, pewnie zresztą zapomniał.

Ja jednak nie zapomniałem o naszej przygodzie. Ale czy teraz, w ciemnościach, potrafiłbym znaleźć właściwą drogę?

Napastnik ruszył w moim kierunku. Był coraz bliżej. Stapał cichutko, ale bardzo pewnie. Kimkolwiek był, jakiegokolwiek umiejętności posiadał, nie mógł znać tej części Kampinosu lepiej niż ja. Może wyczuł, gdzie jestem, może poruszał się jak Indianin, ale przebywał na moim terenie.

Pomyślałem o dzieciakach w ciepłym domu Swetrowej, może już w łózkach. A może przylepionych do okna, obserwujących to, co działo się teraz na naszej ulicy. Musiałem żyć dla nich i musiałem zaryzykować.

Skoncentrowałem się i jednym posuwistym ruchem zerwałem do biegu. Miałem nadzieję, że będę miał kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund, dopóki nie zorientuje się, gdzie jestem.

Myliłem się. Błysk latarki omiótł mnie niemal od razu i napastnik już mnie widział. Pozostało sto, może dwieście metrów do bagien.

Biegłem, uciekałem przed śmiercią, a nogi miałem ciężkie, bo poprzedni sprint pozbawił mnie energii. Każdy ruch obciążony był bólem mięśni i protestem ciała. Napastnik nie miał takiego problemu. Oddychał leciutko, słyszałem go, musiał być już kilkanaście metrów za mną, kiedy wybiegłem z lasu.

Na szczęście na otwartej przestrzeni było jaśniej. Światło księżyca odbijało się od mętnej wody mokradeł, gdzieniegdzie porośniętych olsami i inną bagienną roślinnością. Desperacko wypatrywałem miejsca, gdzie znalazłem wtedy twardy grunt.

Napastnik chrapnął za mną ciężko, wyczułem jego wściekłość. Gdyby zatrzymał się i wyciągnął broń, byłbym w odległości pozwalającej na pewny strzał.

Wydawało mi się, że zobaczyłem kępę, którą zapamiętałem, zresztą i tak nie miałem czasu na wybór innej. Resztką sił przyśpieszyłem i wyskoczyłem do przodu, a padając, chwyciłem palcami za wystające korzenie. Podciągnąłem się następnie na rękach, wyciągając spodnie i buty z bagna.

Kompletnie wykończony, zastygłem przy drzewie. Czekałem, czy napastnik wyjmie broń i zginę tu, ubłocony po pachy, a bagna pochłoną moje ciało.

Ale nie dopadł mnie.

Usłyszałem ciężki plask. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak ciemno ubrany mężczyzna w kominiarce tapla się w błocie, próbując się z niego wydostać.

Nie mogłem mu pomóc. Bagna i tak nie były raczej śmiertelne dla trzeźwego człowieka, a przed chwilą widziałem, jak mój prześladowca walnął i przejechał policjantkę, a może i zabił gigantycznego Listka.

Wciąż jednak mógł strzelić, a zapas czasu, który ugrałem, nie był znaczny. Miałem przed sobą jeszcze około pół kilometra mokradeł. Ruszyłem do przodu, skacząc między kępami i małymi drzewkami. Oddechu z tyłu już nie słyszałem.

W przebłysku trzeźwości wyjąłem telefon z kieszeni, żeby usunąć z niego kartę SIM: pieprzone jabłka Steve'a Jobsa; to oczywiście okazało się niewykonalne. Bez drucika ani rusz – przegrzebałem kieszenie, ale nic nie okazało się wystarczająco wąskie, by zmieścić się w otwór. Zrezygnowany, rzuciłem telefon za trzy tysiące w błoto i przykryłem ziemią.

Chwilowo uciekłem, ale czułem, że mój prześladowca w końcu mnie znajdzie, a połowa warszawskiej policji jest teraz w Izabelinie. To pierwsze nie mogło oznaczać niczego przyjemnego, to drugie zaś fakt, że władują mnie do aresztu, pozbawią kontaktu z dziećmi i stracę możliwość poszukiwania Mai. Żadne z tych rozwiązań mnie nie cieszyło.

Po przejściu bagien pozwoliłem sobie na chód, musiałem dać odpocząć zmęczonemu ciału. Wiedziałem jednak, dokąd zmierzam, i miałem nadzieję, że to miejsce jest ukryte dla innych, tak samo jak kiedyś było dla mnie.

Stare gniazdo, miniambona do obserwacji przyrody z odpadającymi deskami i ze szczątkową drabinką. Najważniejsze, że istniało oraz zapewniało szeroką perspektywę, tak że mogłem zobaczyć, jak ktoś się zbliża, zanim ten ktoś zobaczy mnie. Jeśli w ogóle poszukiwacze tam dotrą; gniazdo znajdowało się w sercu Kampinosu i nigdy tam nikogo nie widziałem. Lubiliśmy tę pustą okolicę i kilka razy to pies wiódł mnie do celu, miałem więc wątpliwości, czy sam je znajdę.

Po mniej więcej czterdziestu minutach marszu dotarłem. Gniazdo było w jeszcze gorszym stanie niż ostatnio. Już przedtem składało się właściwie z jednej tylko spróchniałej deski przybitej do konaru i oparcia. Szczerbata drabina, niedawno wsparta na ziemi, została zabrana albo wchłonęła ją przyroda.

Wspiąłem się po wystających z drzewa sękach, ale wejście zajęło mi więcej niż dziesięć minut, a spociłem się bardziej, niż biegnąc przez las. Byłem cały mokry, lecz w lesie panował ziąb i oparłem się pokusie zdjęcia kurtki. Usiadłem na wąskiej ławeczce, drewno pode mną zaskrzypiało, ale utrzymało osiemdziesięciopięciokilowy ciężar. Oparłem się i wgapiłem w przestrzeń. Dalej nie mogłem już uciekać. Nie miałem nawet dokąd. Musiałem przetrwać noc i apogeum poszukiwań.

Sytuacja, w której się znalazłem, zrobiła się bardzo nieciekawa. Zimną, jesienną nocą przebywałem w środku lasu, uprzednio zbiegłszy z radiowozu, ścigany przez człowieka w kominiarce, a pod domem pozostawiłem co najmniej jednego policyjnego trupa. Jeśli nikt nie obserwował nas z okien, to morderstwo mogło zostać przypisane mnie, bo przecież o aresztowaniu z pewnością wiedziało na policji więcej osób.

Nagle dotarło do mnie jeszcze, że Febik został na zewnątrz. Nikt z nas o nim nie pamiętał. Wyobraziłem sobie naszego psa, z nadzieją przyciskającego nos do drzwi tarasu.

Przeszył mnie chłód i poczułem dreszcze. Szczelniej opatuliłem się kurtką. Nadchodziła zimna noc i długie godziny czuwania. Spojrzałem w dół, a potem zdjąłem szalik i przewiązałem się nim w pół, mocując go do oparcia. Gdybym spadł i złamał nogę, mogłoby się to skończyć dla mnie śmiercią, tak samo pewną jak po spotkaniu z motocyklistą.

Kilka razy zamknęły mi się oczy, widziałem wtedy Maję, a potem Anię, Natalię i dzieciaki. Potem znowu Maję i Ochrenne. A później w tym śnie motocyklista zdejmował kominiarkę, a pod nią była martwa twarz Jonasza Marca. I wtedy wiedziałem, że nie muszę się bać, bo on nie żyje. Przecież widziałem zdjęcie. Ale oczy Jonasza otwierały się, a on sam zanosił się śmiechem.

Budziły mnie hałasy: to jakieś zwierzę kręciło się na dole. Widziałem tylko ślepią. A może to dalej był sen? Czułem przeraźliwe zimno i chyba miałem gorączkę, dygotałem i wciąż poprawiałem szalik, by nie spaść z gniazda.

O w pół do trzeciej trzeba było się zbierać. Zakładałem, że pierwsze miejskie autobusy odjeżdżają spod Kampinosu po czwartej. Nie miałem wyjścia, nie mogłem tu zdychać z zimna. Jeśli zaś mnie złapią, to może wtedy nie dopadnie mnie czarny napastnik.

Zszedłem z ambony i zacząłem kierować się w stronę Zalesia. Nie sądziłem, by policja obsadziła i tamte rejony. Przeczesałi najbliższe okolice, ale przecież nie musieli wiedzieć, że uciekłem do Kampinosu. Ktoś z sąsiadów, choćby Swetrowa, mógł obserwować walkę, ale wysiadłem z radiowozu od strony lasu, a i przed samochodem działo się całkiem sporo.

Maszerowałem w mokrych butach, wciąż dygocząc z zimna, ale to i tak było lepsze od tkwienia na starej ambonie. Nie czułem, abym przespał choćby minutę, mimo że przecież miałem sny. Staralem się iść lasem, kilka razy przecinając trakty, aż w końcu napotkałem pierwsze zabudowania i wiedziałem, że dotarłem do Zalesia. Byłem głodny i chciało mi się pić. Po drodze nie natknąłem się na żaden strumień, a nie mogłem błąkać się po lesie w poszukiwaniu wody.

Opustoszałe Zalesie to nie była elegancka sypialnia Warszawy jak Izabelin, ale typowa podmiejska wioska. O ile mnie zmysły nie zwodziły, to w powietrzu unosił się zapach palonego plastiku. Nawet nie wędzonki, która oznaczałaby węgiel. A więc w odległości trzydziestu kilometrów od stolicy wciąż palą śmieci. Nie zdziwiło mnie to. Z czego ci ludzie mieli czerpać dochody, dotykało ich ubóstwo energetyczne, czyli po prostu nie stać ich było na ogrzewanie. Nawet węglem. A rząd wcale nie kwapił się, by to rozwiązać; komu niby przeszkadza palenie śmieci w otulinie parku narodowego?

Domy w Zalesiu były zaniedbane, a psy, które mnie obszczekiwały, to były małe kundły, nie golden retrievery czy labradory jak Febik. Zdaje się, że i my byliśmy snobami, tylko takimi biednymi. Ale to tutaj zaczynała się prawdziwa Polska: Polska B, tak często zapominana na szczyblu centralnym, aż postawiła się i zaczęła rządzić krajem, a my, Polska A, mogliśmy się temu tylko przyglądać.

Za niedostatkiem podążała złość, bo tylko biedny wie, jak paskudnie jest nim być; co nie oznacza, że bogaci zawsze mają się świetnie. Tak jak Maciej Rus, posiadacz miliardowego majątku, którym mógłby przekonać do siebie wiele kobiet. Ale wybrał cudzą żonę, swoją własną. Matkę dwojga dzieci, wycofaną ze świata artystkę. Jakoś chciałem wytłumaczyć faceta, chciałem zrozumieć mechanizm zdrady, chciałem wierzyć, że tylko Maja mogła go uratować. Tak musiało być. Największy polski kapitalista szukał osoby żyjącej ponad światem – i znalazł najwspanialszą z nich.

Po czwartej dotarłem do centrum wsi. Przystanek był pusty, nie licząc nieuprzątniętych flaszek i petów. Nie dostrzegłem też policji; komu chciałoby się sterczeć o tej porze w takim miejscu? Mógłbym nawet usiąść pod budką, ale po zerknięciu na rozkład zająłem miejsce naprzeciwko, pod drzewem.

Kurtkę miałem brudną, to dobrze. Żuła nikt z autobusu nie wyrzuci, szczególnie jesienią i zimą, przecież pamiętałem, jak to było jeździć komunikacją miejską. Na szczęście miałem też czapkę, by zakamufłować gęste włosy. I ją nieco ubrudziłem, a potem po chwili wahania przejechałem

sobie brudną dłońią po twarzy. Teraz z daleka wyglądałem jak bezdomny, z bliska zaś jak upadły członek klasy średniej.

Wreszcie podjechał autobus starego typu, taki ze skajowymi, popękkanymi siedzeniami. Byłem jedynym pasażerem. Kierowca nawet na mnie nie spojrzał, zbierał podobnych do mnie okrągły rok. Wbiłem się na ostatnie siedzenia i udałem, że zapadam w sen; chwilę później nie musiałem już specjalnie symulować, bo film mi się urwał, a kiedy się ocknąłem, autobus był pełen ludzi.

Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje, czułem się gorzej niż wtedy, gdy wsiadałem, i miałem dreszcze. Może dlatego wokół mojego miejsca zrobiła się pusta przestrzeń, a kilka osób spoglądało na mnie z odrazą. Cuchnąłem bagnem i kałużami, no i potem, bo pocilem się wciąż jak diabli, pewnie z powodu gorączki. Ale napotykałem tylko zgorszone spojrzenia.

Już w Warszawie wyteżyłem pamięć, by przypomnieć sobie rozkłady jazdy. No i zadziałało. Popularny Edward, czyli E-2, wciąż jeździł. Do Belwederu był o tej porze dość pełny, więc musiałem stać, a potem zająłem pojedyncze miejsce i gapiłem się przez okno. Aż do Sadyby, gdzie wysiadłem.

Na ulicy Ani nie było radiowozów albo policjanci skryli się między drzewami. Czy odrapane daewoo, które stało kawałek dalej, należało do policji? Albo wypasiony jeep cherokee? Nasunąłem czapkę głębiej na czoło i poszedłem prosto do drzwi. Zadzwoiłem i chwilę później otworzyła. Przez moment chyba mnie nie poznała.

– Jezu, Matek – powiedziała w końcu.

– Postarzałem się tro... – Usiłowałem się uśmiechnąć, ale nie dała mi dokończyć. Zdecydowanym ruchem wciągnęła mnie do środka, a potem lustrowała jak psia matka szczenięta, kiedy zrzucałem z siebie brudne łachy. Wstała z fotela, dopiero gdy zostałem w samych bokserkach.

– Nic nie powiesz? – zapytała.

– Co mam powiedzieć? Nikogo nie zabiłem.

Ania poczerwieniała.

– Cholera, całą noc nie spałam, kiedy usłyszałam w wiadomościach, co się stało! Myślałam, że nie żyjesz!

Ręka jej się trzęsała.

– Ania... – zacząłem.

Odwróciła się ode mnie i potarła rękawem oczy. A potem nagle podeszła i przytuliła mnie mocno. Wreszcie się odsunęła.

– Musisz wziąć prysznic – powiedziała.

– Nie gadaj.

– Powiesz mi przedtem, co się właściwie wydarzyło?

– Listek przeżył? – odpowiedziałem pytaniem.

– Kto?

– Podkomisarz? Policjant?

– Żyje. Ta druga jest ciężko ranna. Widzieli napastnika. Policja uważa, że ciebie też załatwili. Listek widział, jak pognałeś w las, a tamten za tobą. Co się dalej działo?

Opowiedziałem i chyba ujrzałem cień uznania na jej twarzy.

– Dobra – skwitowała – dawaj pod prysznic, ja zrobię kawę, a potem zjemy śniadanie.

– Nie chcę cię zatrzymywać.

– Już i tak mi joga przepadła. – I zniknęła w kuchni, zanim zdążyłem zareagować.

Łazienka Ani okazała się prawdziwą drogerią. Znalazłem tu dziesiątki balsamów, masek i odżywek. Na szerokiej umywalce stały szeregi kremów, a także aparat na zęby; nawet nie wiedziałem, że go nosi.

Rozebrałem się i wszedłem do kabiny. Żaden prysznic w życiu nie sprawił mi takiej przyjemności. Kilka minut w gorącej wodzie spowodowało, że rozgrzałem się i łazienkę opuściłem zdecydowanie odświeżony.

Ania oglądała TVN24 w telewizorze w kuchni, ale wyłączyła go, kiedy wszedłem.

– Nie uważają, że jesteś winny – powiedziała. Była już ubrana do pracy. – Ale trąbią o tobie wszędzie. Otwieram lodówkę i wyskakujesz.

– Robota Bogusława Marca. Chce dopaść Maję.

– Nie powinienes tu zostawać.

– Jasne, nie chcę cię narażać.

– Na co? – przerwała mi. – Daj spokój. Po prostu nie wiem, czy chcesz dać się złapać. Chcesz?

– Chcę odnaleźć Maję.

– Tak. Nie zrobisz tego z aresztu.

– Policja znalazła mój włos na ciele Natalii. Nie wiem, skąd tam się wziął.

Kiedy to powiedziałem, przypomniała mi się scena sprzed kilku dni. Zanim jednak zdołałem rozwinąć frapującą hipotezę powstałą w mojej głowie, Ania zapytała:

– Myślisz, że Maja mogła go podrzucić?

Cisza. Oczywiście, przecież o tym myślałem, ale dopóki nie wypowiedziała tego na głos, to tak jakby ta możliwość nie zaistniała.

– Dlaczego? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Tak pytam, w końcu miała sposobność – odpowiedziała. – No i jest poszukiwana. Wciąż nie wiadomo, dlaczego Natalia była za nią przebrana. A może Maja jednak to zaaranżowała?

Spoglądała na mnie spokojnie, sugerując, że moja żona jest morderczynią. Może Ania miała o sprawie swoje zdanie, którym się ze mną nie podzieliła. Co właściwie wiedziałem o kobietach? Nie licząc epizodu z Natalią, od trzynastu lat znałem tylko jedną: Maję. I prawie już zapominałem o tych mrocznych czasach, kiedy dziewczyny kręciły mną jak na karuzeli.

– Niszcząc po drodze własny obraz? – zapytałem. – To bez sensu. Tak, prędzej jestem w stanie uwierzyć, że Maja kogoś zabiła, niż naruszyła swoją własną sztukę – powiedziałem, zanim ugryzłem się w język. – Oczywiście nikogo nie zabiła, gadam bez sensu. Jestem wykończony.

– Nie możesz tu spać, jeśli nie zamierzasz dokończyć nocy na policji. Masz pieniądze?

– Kilka stów w portfelu. Mam jeszcze kart...

– Namierzą cię w dwie sekundy – weszła mi w słowo. – Nie wyjdiesz ze sklepu.

– Wątpię, by tak szybko.

– Lepiej nie ryzykuj. – Wyjęła z kieszeni gruby rulonik banknotów. – Masz.

– Ania... – zacząłem.

– Nie marnuj mojego czasu – powiedziała. – Zrobiłbyś to samo dla mnie. Tak było.

– Przydałby mi się telefon, żeby mieć dostęp do internetu i do map.

– Co zamierzasz robić?

Nie wiedziałem, czy chcę ją wtajemniczać. I chyba zrozumiała moje milczenie.

– Nieważne. Co zrobiłeś ze swoim? – zapytała.

– Musiałem wyrzucić, bo inaczej nie dało się wyjąć karty z tego pieprzonego iPhone'a. Nie chciałem, żeby mnie po niej namierzyli.

– Telefon mogli ci namierzyć niezależnie od karty SIM. Czasem nawet wyłączony.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Wzruszyła ramionami.

– Miałam kiedyś klienta, który myślał podobnie jak ty – ucięła, otworzyła szufladę, pogrzebała chwilę i wydobyła starszego na oko smartfona. – Kupiłam w Niemczech bez simlocka, nigdzie nierejestrowany. Jeśli będą bardzo chcieli, może go namierzą, ale wątpię, czy dane urządzenia gdzieś jeszcze są. Dobra, muszę wyjść za dwie minuty. Mamy spotkanie z posłami.

– Jak idzie?

– Całkiem nieźle. Są przyciśnięci, Bruksela zakwestionowała ustawę efektywnościową i teraz trochę nie wiedzą, co z tym zrobić. Skorzystamy na tym.

Pokiwałem głową.

– Byłoby szkoda to wszystko zmarnować. Naszą pracę – powiedziałem.

– I nie zmarnujemy – odparła z mocą. – Przemyślałam to po wczorajszym. Nie po to haruję za grosze od dwóch lat, żeby to puścić z dymem.

Miała, nawiasem mówiąc, najwyższą pensję w biurze, wyższą od mojej. Warunek, by przyszła z Mattera.

– Przemienę z dymem – skomentowałem.

– Polipropylenowym.

– Dobrze to słyszeć z twoich ust.

– Fajnie się gada, Matek, ale naprawdę nie mam już czasu – oświadczyła. – Muszę ciągnąć ten wózek, dopóki nie wrócisz. Wyjdiesz tylnymi drzwiami. Nie wiem, co zamierzasz, ale najbliższy postój taksówek masz na Okrężnej. Chociaż w twojej sytuacji to co najmniej ryzykowne.

– Dlatego mam inny pomysł. Potrzebuję twojej fury.

– Po co?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała, nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo.

– I nic mi nie powiesz?

– Jadę poszukać Mai.

– Gdzie?

Pokręciłem głową. Westchnęła.

– Dobra, nie mów. I chyba rzeczywiście wolę nie wiedzieć – powiedziała. – Niestety, będę potrzebowała mojego auta.

– Aha – odpowiedziałem rozczarowany. Cały plan opierał się na skorzystaniu z samochodu. Jak niby mogłem teraz zrealizować to, co chciałem? Miałem ukraść samochód z ulicy? W zasadzie niewiele mogło mi już zaszkodzić, ale nie wiedziałem kompletnie, jak się do tego zabrać. Nie mówiąc już o moralnym aspekcie kradzieży porzucanego renault lub fiata należącego do jakiegoś dziadka. Bo chyba tylko takie auto byłbym w stanie teraz zwinąć, wspinając się na wyżyny zaradności, wsparty wiedzą z internetu.

– Ale dostaniesz drugie – powiedziała po chwili. – Radzisz sobie ze starymi autami, prawda? Nie jesteś łamagą motoryzacyjnym?

Skąd Ania wytrzasnęła ten samochód, nie wiedziałem. Był jeszcze większy od landka. Czerwony, kwadratowy nissan patrol, buda krzyczała latami dziewięćdziesiątymi. I wewnątrz także.

– Zużyjesz na paliwo wszystkie pieniądze, które ci dałam, ale dowiezie cię na miejsce. Tylko nie zaciągaj ręcznego. I nie przejmuj się, że czasem capi benzyną: nie wybuchnie.

– Po co wciąż go trzymasz? – zapytałem.

– Bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebny. Prawda? – zapytała Ania, wręczając mi kluczyki. Następnie zawahała się, patrząc gdzieś w bok, co było do niej niepodobne. – I uważaj na siebie. Wiesz, dzieciaki potrzebują ojca – dokończyła.

– Znajdę ją.

– Chcę, żeby się odnalazła – odparła.

– Wiem – odpowiedziałem. A potem pomyślałem, że wszyscy chcą.

Żenia obserwował, jak cel wychodzi z domu przy ulicy Goraszewskiej. Odgadnięcie, dokąd Chabrowski uda się po tym, jak wygrzebie się z lasu, nie było trudne. Taką wiedzę musiał posiadać, kiedy kogoś namierzał. Dalsze ściganie prawnika po całym Kampinosie było karkołomne i ryzykowne, policja z pewnością rzuciła większe siły do przeszukania lasów.

Tak więc oczyścił się z błota, a potem udał prosto pod dom prawniczki. Czuwał całą noc, mając oko na ulicę, czy nie zjawia się policja.

Zaryzykował, że Chabrowski pójdzie do innej, i tak się stało. Żona zniknęła, a facet uderzył do pierwszej w zasięgu ręki. Trzeba zresztą przyznać, że wyglądał teraz jak kupa gówna. Ciekawe, jak dobrze sytuowani ludzie szybko potrafią się stoczyć, kiedy tylko coś nie idzie po ich myśli. Żyją sobie w tych swoich bańkach, a potem bach, coś się dzieje i idą na dno jak tona żelaza. A teraz, niestety, Żenia musiał uzbroić się w cierpliwość. Bo jak rzadko kiedy stracił ją po tym, jak unurzał się w błocie poprzedniego dnia. Cena, jaką płacił, zdecydowanie przewyższała już wynagrodzenie.

Kiedy klient poinformował go poprzedniego wieczoru, że trzeba ponowić obserwację, przyglądać się obiektowi spokojnie i interweniować w ostateczności, Żenia się wściekł. Profesjonalizm nie pozwolił mu na okazanie emocji, ale tak docisnął szybkę telefonu, że pękła. Przez chwilę zastanawiał się nad porzuceniem zlecenia, zamiast tego zażądał dodatkowej, natychmiastowej zapłaty. I otrzymał ją. Znaczną kwotę; pojawiła się na koncie tuż po zakończeniu rozmowy. Klient był zdecydowany i nie oszukiwał, przynajmniej tyle.

Ale teraz Żenia żałował trochę i miał ochotę pozbyć się prawnika raz na zawsze. Uliczka była pusta o tej porze, mógł podbiec i władować mu nóż

w okolicy żołądka. Albo nawet oddać strzał. Bo zrobiło się naprawdę gorąco, tę policjantkę poprzedniego dnia rąbnął trochę za mocno. Jeśli kobieta umrze, wszystkie polskie psy zaczną go ścigać. Ale umowa to umowa, poza tym wiedział, że są ludzie, którzy mogą do niego dotrzeć, choćby nie wiadomo jak starannie zacierał za sobą ślady.

Poprzedniego dnia utopił bmw. Prawie płakał, kiedy rączka maszyny zniknęła w brudnych wodach Wisły. Zostały mu jeszcze trzy motocykle. Już wcześniej wymówił mieszkanie we Włochach i zapowiedział, że może wyjechać nawet wcześniej. Wspomniał, że firma, w której pracuje, przynosi go do innej placówki.

Wiedział, że właściciel, podobnie jak połowa warszawiaków, jest uprzedzony do Ukraińców, ale skoro Żenia płacił regularnie, to nie był ciekawski. Chociaż zrobił obchód pod pretekstem spisania stanu wodomierzy. Jednak wszystko, co mogło być interesujące, Żenia zdążył już wyrzucić bądź sprzedać tam, gdzie zakupił i gdzie nie zadawano pytań.

Nadszedł czas na wyjazd. Nad ocean. W Portugalii muszą jeździć na motorach i skuterach, jak to w południowym kraju. Nauczy się języka i będzie dłubał w silnikach. Chciał już usiąść na plaży i pogapić się na wodę, tak jak w Odessie. A oceanu Żenia jeszcze nie widział. Ciekaw był, jak bardzo różni się od Morza Czarnego, czy woda w nim jest równie ciepła, czy fale są wyższe.

Masywny, brunatnoczerwony i nieco porzewiały nissan wytoczył się z garażu. Za kółkiem siedział Chabrowski, Żenia obserwował go z daleka. Teraz tylko trzymać dystans, aż prawnik doprowadzi go w końcu do żony. A ta wyśpiewa, co się wydarzyło nad Ochrennem. Potem umrze, Żenia zgarnie zapłatę i tyle go będą widzieli w tym posranym kraju.

Ruszył powoli za patrolem. Intuicyjnie wyczuwał, że to będzie kawałek drogi. A jeśli tak, to już się na to cieszył.

Wydawałoby się, że bez dzieciaków droga nad Ochrenne zajmie mniej czasu. Najgłupiej jednak byłoby wpaść przez zwykłą drogówkę, a aplikacji Yanosik używać nie mogłem. Przecież pozbyłem się karty SIM. Szkoda, że internet wyparł pocziwe CB-radio dla kierowców. Chętnie zasięgnąłbym rady w ówczesnym slangu: „Mobile, jak tam ścieżka na Gdańsk?”. Zamiast tego drżałem, kiedy mijaly mnie insygnie i astry, i wypatrywałem, czy nie siedzi w nich drogówka. Wlokłem się jak zółw, uważając na każdy znak, w każdej jednej dziurze zwalniając do regulaminowych pięćdziesięciu albo i czterdziestu na godzinę. Kilka razy mignęła mi z boku zaciekawiona twarz innego kierowcy. W końcu niestary facet w trzylitrowej bestii nie powinien się tak wlec.

Musiałem gdzieś znaleźć wi-fi, żeby odebrać wiadomość od Leona. Okazało się to niełatwe, ale ostatecznie na tyłach jednego z Orlenów złapałem łączność. „Adam Parlej, Ochrenne 142”, przeczytałem. Nic mi nie mówiło to dziwne nazwisko. Leon był niezawodny, choć stawki miał wysokości połowy mojej pensji. Na znalezienie drugiej rzeczy, którą zleciłem, poprosił o jeszcze jeden dzień. Na koniec sucho napisał, abym skasował wiadomość i więcej nie korzystał z tego adresu, następnie założył nowe konto i z niego wysyłał wiadomości. Jeśli „będę musiał”. Przesłanie było czytelne. Leon wiedział, że jestem poszukiwany, niewiele go to obchodziło, ale nie chciał mieć na karku policji.

Skoro już korzystałem z internetu, sprawdziłem jeszcze wiadomości. Było tam o mnie, choć nie na czerwono, nie stanowiłem już *breaking news*. Może policja starała się zatuszować sprawę. Akcja w Izabelinie była przecież ewidentną wtopą, która w dodatku mogła zakończyć się śmiercią funkcjonariuszki.

Z nawyku wszedłem też na jeden z portali poświęconych energetyce. Czekala tam na mnie niespodzianka. Ze zdjęcia spoglądała zmarnowana, ale uśmiechnięta twarz Grześka Mroczkiewicza. Otoczony był grupą młodych ludzi, a w artykule pisano o wygranym przez zespół Politechniki Warszawskiej konkursie na projekt specjalnego pojazdu: samochodu elektrycznego dostosowanego do warunków miejskich.

A więc Grzesiek, czyli „profesor Mroczkiewicz”, ciągnął dalej ten wózek, nie załamał się po śmierci Natalii. Strata człowieka tego formatu byłaby dla nas wszystkich klęską. Zarazem to była pierwsza pozytywna rzecz, której się dowiedziałem od kilku dni, i na chwilę poczułem się lepiej.

Droga, którą ostatnio wlekliśmy się nad Ochrenne, pasowała mi najbardziej. Napotkanie tam większej liczby aut wydawało się mało prawdopodobne. I wkrótce znowu byłem w Ochrenkach. Przejechałem przez wieś, nie rozglądając się na boki, w czapce i ciemnych okularach Ani, które znalazłem w schowku. Jeśli ktoś rozpoznał mnie po wczorajszej wycieczce, to wolałem o tym nie wiedzieć – bo jaki właściwie miałem wpływ na to, co się stanie dalej?

Nocne wyziębienie, gorączka i niedospanie dawały mi się we znaki, ale adrenalina pchała mnie do przodu. Ściągnąłem mapę na smartfona od Ani, tak żebym mógł z niej korzystać w trybie offline, i w pewnym momencie zyskałem już pewność, że aplikacja mnie oszukuje. Droga, którą wskazywała nawigacja, okazała się jeszcze gorsza niż ta wiodąca do chaty Jonasza Marca, miejscami wręcz zanikała. Kiedy zatrzymałem się i wysiadłem z samochodu, dostrzegłem pojedynczy odcisk w błotnistej koleinie. Tylko ten ślad podtrzymał mnie w postanowieniu, żeby jechać dalej. W pewnym momencie wydawało mi się, że między drzewami widzę prześwit jeziora Ochrennego, ale zgodnie z mapą miałem spory dystans do chaty Marców.

Potem droga polepszyła się nieco, a po kolejnych kilkunastu minutach moim oczom ukazało gospodarstwo. Po lewej stronie dostrzegłem wodę i starą motorówkę zacumowaną kilka metrów od brzegu. Od nabrzeża do domu pozostawało niewiele ponad pięćdziesiąt metrów. A więc jednak

trafiłem nad jezioro Ochrenne, tylko że z drugiej strony. Okolica była tu bardziej zalesiona, a gospodarstwo można by uznać za niebrzydkie, gdyby nie panujący wszędzie bałagan. Wokół dwóch ceglanych budynków leżały dziesiątki rzeczy. Wyglądało to jak paserka śmieci.

Wysiadłem z patrola. Wielki żółty pies zaczął wydzierać się z oddali. Musiał być na łańcuchu, bo skowyt nie zmieniał nasilenia. A mały kundelek wył przy płocie.

Gdyby nie psy, w zasadzie nie byłoby dowodu, że ktoś tu mieszka, i na moment zwątpiłem w Leona.

Niesłusznie.

Kiedy w akompaniamencie psiego ujadania wyciągnąłem szyję ponad ogrodzenie, dojrzałem fragment pomarańczowego żuka. Pchnąłem brudnozieloną, pordzewiałą furtkę: była otwarta. Kundelek ujadał, jakby miał mnie rozszarpać na strzępy, ale w najlepszym razie mógłby nadgryźć kawałek mojego buta. Przystąpiłem przez ogrodzenie, czujnie obserwując większego psa, który dusił się już chyba, próbując zerwać z łańcucha. Nic dziwnego, że był zły, nawet Febik zmieniłby się w krwawą bestię w takich warunkach.

Poza innymi śmieciami na podwórzu było zaskakująco dużo starych mebli. Rachityczną wiatę też zapełniono nimi po brzegi. Zapukałem do drzwi domu. Bez rezultatu. Usiłowałem zapuścić żurawia przez okna, ale były małe i brudnoszare, jakby nie przepuszczały światła dziennego.

W końcu usłyszałem jakiś szelest, a potem w drzwiach pojawiła się kobieta. Nie mogłem stwierdzić, w jakim była wieku. Sylwetkę miała żylastą, a skórę wysuszoną. Mogła być przedwcześnie postarzałą dwudziestkąósemką albo całkiem niezłe trzymającą się czterdziestką.

Patrzyła na mnie wrogo.

– Szukam Adama Parleja – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Mam do niego pytanie.

– Z sądu pan?

– Nie.

– Na przywóz mebli się pan umawiał? – zapytała ze złością.

– Nie... – zacząłem, ale już mnie nie słuchała.

– Adam, znowu żeś nie zawiózł – zwróciła się gdzieś w stronę korytarza.

Cisza.

– Nie, to nie tak. Mogę porozmawiać z mężem?

– Mąż – zaśmiała się. – Na męża to ja go nie polecam. Adam – krzyknęła znowu – ktoś do ciebie!

– Po co? – usłyszałem słabszy głos, dochodzący gdzieś z głębi domu.

– Po co? – powtórzyła pytanie, jakbym był głuchy.

– Chciałem kupić więcej mebli – skłamałem szybko. – Słyszałem o państwu, buduję dom w okolicy...

Otakowała mnie uważnie, bezczelnie patrząc na spodnie, buty i kurtkę. Ostatecznie wyglądała na zadowoloną. Pewnie dlatego, że Ania zdołała je jakimś cudem trochę oczyścić.

– Gamoniu, kupiec jest! Pan poczeka – mruknęła i wróciła do środka, ale nie zamknęła drzwi.

Miałem ochotę podążyć za nią, również dlatego, że przeraźliwie wiało i przechodziły mnie dreszcze. Wielki pies na łańcuchu przestał na chwilę wyć i to stanowiło jakąś ulgę.

W końcu Parlej wyszedł, przetarł oczy, spojrzał na mnie mętnie. Ale po chwili na ziemistej twarzy pojawiło się ożywienie. Rzucił się do drzwi i usiłował je zamknąć, ale zdążyłem wsadzić stopę. Mocowaliśmy się chwilę w milczeniu, nagle to ja byłem napastnikiem.

– Ada – wydarł się w końcu. – Ada!

Po kilku sekundach w głębi korytarza ujrzałem dziewczynę. Biegła prosto na mnie z kuchennym nożem. Parlej błysnął zębami i ustąpił miejsca, a ja instynktownie zatrzęsnałem drzwiami. Wydawało mi się, że słyszę, jak nóż wbija się w drewno.

Lojalny wobec właścicieli kundelek szarpał mnie za nogawkę, kopnąłem go prosto w pyszczek, usłyszałem jęk bólu i pies odczepił się ode mnie. Przebiegłem przez podwórko i bramkę, prosto do auta.

Nie oglądałem się za siebie, dopóki nie zatrzasnąłem drzwiczek patrola i nie zamknąłem się od środka. Włożyłem kluczyki, silnik na szczęście odpalił od razu. To pozwoliło mi choć trochę opanować nerwy. Odetchnąłem głęboko i czekałem.

Po chwili zobaczyłem ich, szli w moją stronę. Obydwoje żółtowłosi, obydwójce chudzi, podniszczeni, taki sam koci krok.

Nagle pojąłem, że muszą być rodzeństwem.

Odchyliłem szybę i krzyknąłem:

– Chcę tylko porozmawiać!

Otworzyli bramkę. Parlej dzierżył w ręku łopatę, szepnął coś do dziewczyny, zamachnął się i usłyszałem, jak przednie światło patrola rozbija się w drobny mak. Dziewczyna stała bez ruchu, dopiero po chwili zobaczyłem w jej ręku nóż. Chwilę za późno.

Wzięła krótki zamach i wbiła ostrze w przednią oponę nissana. Zdawało mi się, że słyszę świst, i samochód wyraźnie opadł.

Byłem uwięziony. Wyciągnąłem z kieszeni fotografię Jonasza Marca i przytknąłem ją do szyby.

– Skąd mieliście to zdjęcie? Zapłacę za informację! – krzyknąłem.

Zatrzymali się na chwilę i naradzali. Szybkę od strony kierowcy opuściłem w dół na kilka centymetrów, tylko tak, aby coś słyszeć.

– Ile? – zapytał chłopak chrapliwym głosem.

Podliczyłem w głowie pieniądze od Ani. Wymieniłem połowę.

– Mało – skrzywił się Parlej.

Dołożyłem jeszcze dwieście złotych.

– Więcej nie mam. Przywiozę resztę, ile chcecie – powiedziałem.

Znowu narada. Parlej nie śpieszył się, wyciągnął papierosa. Jego towarzyszka automatycznie podała mu zapalniczkę. Parlej palił i patrzył się na mnie, a ona czekała. Szepnął coś do dziewczyny, spojrzała na mnie, potem odpowiedziała mu i odeszła.

– Niech pan wyjdzie z auta – odezwał się w końcu Parlej. – Wezmę, ile pan ma teraz. A potem się zobaczy.

Nie wiedziałem, czy chce mnie tylko wywabić, ale nie miałem wyboru. Przecież po to tu przyjechałem, a bez zmiany koła nie miałem jak wyjechać. Wsiadłem ostrożnie, oglądając sflaczałego nissana i zastanawiając się, czy koło zapasowe do czegoś się nadaje.

Parlej opierał się o łopatę.

– Pieniądze – powiedział. Z bliska widać było, że albo jest pijany, albo ledwo wstał po picciu. Na bezwłose ciało zarzucił puchówkę. Wręczyłem mu część banknotów.

– Druga połowa, kiedy coś pan powie – zastrzegłem. Wzruszył tylko ramionami. Niby co mógłbym zrobić, gdyby napadli na mnie z dziewczyną? Nikt by nie zauważył, że spocząłem w ziemi pod jednym z tych połamanych mebli.

Odwrócił się bez słowa i poszedł w stronę domu, po chwili ruszyłem za nim. Zostawił mi otwarte drzwi i wszedłem do tej ich jaskini. Z wąskiego przedpokoju przeszliśmy do kuchni, nawet nie takiej starej. Była tam kuchenka, do tego lodówka, a wszędzie wałały się puszki specjalu. Dostrzegłem kilka flaszek wódki, z tych tańszych, ale piwo królowało.

Dziewczyny nie widziałem. Kiedy wróciła, odłożyła nóż i wyciągnęła z torby laptopa. Dość jeszcze nowy komputer firmy Acer wyglądał dziwacznie w tej kuchni. Postawiła go na stole pokrytym ceratą, spod której wystawał fragment sosnowego blatu.

Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem dojrzeć wnętrze sypialni. Dziewczyna chyba przechwyciła moje spojrzenie, bo wstała i zamknęła drzwi.

Parlej wyciągnął sobie świeżą puszkę specjalu, otworzył z sykiem.

– To niech pan pyta, skoro już pan zapłacił – oświadczył.

– Skąd pan ma to zdjęcie?

– Po ojcu – powiedział.

– Po ojcu? Kim był?

– Nikim – odparł.

– Jak się nazywał? Czym się zajmował?

– Stefan Parlej. Głównie pił.

– Mieszkał tu?

– Zgadza się.

– Z panem?

– My z mamą mieszkaliśmy, a po śmierci taty dostaliśmy to gospodarstwo i tu się przenieśliśmy. A potem znaleźliśmy to zdjęcie w jednej książce. Tata nie był głupi, sporo czytał, kiedy nie pił. A potem tak już pił, że spać nie mógł, dlatego nad książkami siedział. Wszystkie w bibliotece w Ochrenkach wypożyczył... po nim Ada mądra taka.

Siostra uśmiechnęła się leciutko i przez moment była prawie ładna.

– Ojciec niewiele z nami rozmawiał, ale po śmierci żeśmy poszperali tu i ówdzie. Stary chlor, to wszędzie mógł gotówkę trzymać. I znaleźliśmy zdjęcie. Robiło za zakładkę.

Zamilkł i uśmiechnął się.

– A gdzie druga połowa kaski? – zapytał.

Wyciągnąłem stowy z kieszeni i położyłem na stole, Ada zgarnęła je szybkim ruchem.

– No my oczywiście wiemy, kto jest na tym zdjęciu. Jonasz Marzec.

– Skąd wiecie?

– Wszyscy w okolicy szukali, rodziny tych chłopaków płaciły dodatkowo, to i my chodziliśmy po lasach.

Przełknąłem ślinę.

– Czy on żyje?

– Kto?

– Jonasz Marzec.

– A skąd ja miałbym to wiedzieć? – powiedział Parlej. – Mi tam wygląda na trupa.

Przez gorączkę i zmęczenie poczułem też napływającą wściekłość.

– To co właściwie wiecie? Dlaczego ta fotografia trafiła do mnie?

Rzucił szybkie spojrzenie na Adę, która zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie mam pojęcia. – Wyszczrzył się i byłem pewien, że kłamie. – Trzymaliśmy zdjęcie i żeśmy się zastanawiali, co z nim zrobić, bo przecież

czytaliśmy, że policja nie znalazła ciała. A ta dziewczyna, którą chcieli sądzić, zniknęła. A potem Ada zobaczyła ten film w internecie.

– Jaki film?

– No film, na tym, Ada, jak to się nazywa, Pentagram?

– Instagram, kretynie.

– Zawrzyj mordę! – Poczerwieniał i przez moment miałem wrażenie, że jej przyłoży. Ada nie poruszyła się jednak ani na centymetr. Było to dziwnie pocieszające, wyraźnie potrafiła radzić sobie z bratem. A nawet wzbudziła moją wątpliwość, kto właściwie jest głową w ich biznesie.

– No tak, na Intagramie – kontynuował Parlej – Ada zobaczyła tę dziewczynę. Kobietę.

Moja wściekłość zgasła, zanim zdążyła się rozwinąć, za to poczułem nagły dreszcz na plecach.

– Co było na tym filmie? – zapytałem.

– No ta kobieta malowała jakiś obraz. Tak całkiem śmiesznie, wylewała coś na niego, bardziej to przypominało pomyje. Albo karmienie świń.

– Ale skąd... Kto wrzucił ten film do sieci? – skierowałem pytanie do dziewczyny.

Wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. Ale miał sporo wyświetleń. A potem zniknął.

Parlej pociągnął łyk piwa.

– No sam pan widzi, siostra cały czas w internecie siedzi, to już ma głowę zlasowaną.

– Zamknij się – syknęła.

Uśmiechnął się, teraz już wyluzowany, i uszczypnął ją w ramię. Nie zareagowała.

– Chwila – powiedziałem. – Siostra zobaczyła filmik. No i co?

– No i Ada mówi: patrz, to nie ta Julia, co zaciukała tych chłopaków?

Przełknąłem ślinę.

– Macie ten film?

Dziewczyna powoli kiwnęła głową.

– Usunięto go, ale zdążyłam zgrać na dysk.

Parlej uśmiechnął się z dumą.

– Ada ogarnia te sprawy.

– Mogę zobaczyć? – zapytałem.

Spojrzała na brata. Kiwnął głową.

– Zapłacił. Pokaż.

Zaczęła klikać, by wyszukać plik. Na zewnątrz powoli robiło się ciemno. Widziałem żółtego psa, jak leży, smutny i chudy. Pewnie nie dostaje za dużo karmy, pomyślałem, patrząc na piętrzące się puchy specjale. Dziewczyna też już ciągnęła browarka. Wreszcie, powoli i jakby niechętnie, przesunęła komputer w moją stronę.

Przez moment nie wiedziałem, co jest na ekranie, ale w końcu poznałem jasne włosy, bladą twarz i szczupłą sylwetkę, charakterystyczny pomarańczowy kombinezon. Maja. Moja żona w akcji. Całkowicie wkręcona w pracę, coś tam wylewała, coś poprawiała, nie widziała świata dookoła. To była jej pracownia, bez dwóch zdań. Film był bez głosu, lecz kiedy się skończył, wiedziałem, kto go zrobił. Kto nagrał moją żonę.

Przez chwilę siedziałem otępiały.

– Zaraz. Zobaczyliście film, ale jak poznaliście, że to ona? Po tylu latach?

– Nie zmieniła się wiele, od kiedy szukaliśmy Jonasza Marca, co nie, Ada?

Ciekawe, to samo mówił Listek, który rozpoznał ją na moim zdjęciu. Ale on miał dostęp do archiwów policyjnych. A Parlejowie? Zdjęć mojej żony nie było przecież w internecie.

Ada potaknęła. Rzeczywiście, Maja wyglądała młodo, nawet ubierała się tak jak wtedy, kiedy ją spotkałem. Mimo to nie wierzyłem w ani jedno ich słowo.

– Co było dalej? – zapytałem.

Parlej wyłopał swoje piwo i głośno beknął.

– No, potem żeśmy chcieli na tym trochę zarobić. Utrzymanie gospodarstwa sporo kosztuje.

Machnąłem ręką ze zniecierpliwieniem.

– Dlaczego to zdjęcie trafiło do mnie? – powtórzyłem pytanie.

– To ja przecież mówię, że nie wiem.

– Adam spieprzył sprawę – wtrąciła Ada złośliwie.

– Siedź cicho, głupia. – Pogroził siostrze pięścią, ale tym jej nie powstrzymał.

– Jechał do Warszawy z meblami, nachlał się po drodze i spieprzył sprawę – powtórzyła. – Zamiast naprawić sytuację, zasnął w samochodzie, a potem wrócił do domu. Z pustymi rękami.

– Siedź cicho, bo przyjebię.

Spojrzałem na Parleja. Oczy mu błyszczały, nie byłem pewien, na ile jest jeszcze przytomny.

– Wciąż nie rozumiem. – Pokręciłem głową.

Parlej chciał coś powiedzieć, ale Ada dała mu znak dłonią.

– Pieniądze – zażądała.

– Wszystko wam już oddałem – powiedziałem, myśląc o ostatnich kilku stówach w dzinsach. Musiałem skierować wzrok w dół, bo Parlej błyskawicznie to zauważył.

– Czuję sianko w kieszeni – powiedział i złapał mnie za ramię.

Wyszarpnąłem się.

– Halo! – krzyknął Parlej i spojrzał na siostrę, która przesunęła dłoń w stronę noża.

Przełknąłem ślinę. Pomyślałem o sflaczałym nissanie, o tym, w jakiej przebywam głuszy.

Siedziałem teraz bliżej wyjścia niż Parlejewie. Czy mogłem im uciec? Co potem?

– Gdzie miałeś jechać? – powtórzyłem pytanie. – Zapłaciłem wam.

Zamiast informacji na horyzoncie pojawiło się jednak coś innego.

Zobaczyłem, że Parlej kiwa głową, i poczułem, jak cały się napinam. Ada zamknęła laptopa i zacisnęła dłoń na ręczce tej swojej brzytwy.

Dowiedziałem się czegoś, choć dalej nic nie rozumiałem. Dalsza zwłoka mogła jednak oznaczać koniec poszukiwań Mai. A także inne, bardzo przykre konsekwencje.

Sosnowy stół wyglądał na lekki, miałem szansę. Szarpnąłem go do góry, udało mi się trochę zaskoczyć tym rodzeństwo.

Ada spadła z krzesła, niestety Parlej jakoś się utrzymał. Niewiele myśląc, uderzyłem go w twarz i od razu pożałowałem, że niczego nie trenuję. Musiałem sobie coś naruszyć, bo ręka zapiekła mnie w stawie.

Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Wybiegłem na zewnątrz. Mały pies już nawet mnie nie obskakiwał. Dopadłem do furtki.

Kulawy nissan do niczego się już nie nadawał. Za sobą słyszałem krzyk. To Parlej coś wrzeszczał do siostry. Usłyszałem też szczęk metalu i jakąś komendę.

Bardziej instynktownie wyczułem, niż usłyszałem, że wielki żółty pies został spuszczone z łańcucha.

Odwróciłem się w stronę drogi. Mogłem próbować nią uciekać, ale wiedziałem, że Parlej dogoni mnie żukiem. Las odpadał, nie znałem tych okolic.

Spojrzałem przed siebie i wiedziałem, że muszę podjąć decyzję. Teraz.

Wzięłem oddech i rzuciłem się w jedyne miejsce, w które mogłem, które miało teraz sens.

Na nabrzeże.

Biegłem w stronę jeziora, tak jak poprzedniego dnia do Kampinosu. Motorówka była coraz bliżej, ale słyszałem też sapanie żółtej bestii i krzyki Parlejów.

Z grząskiego brzegu wybiłem się w powietrze, licząc na to, że dosięgnę łajby rękami. Ale coś mnie zatrzymało i opadłem ciężko na ziemię. Głowę obmyła mi lodowata woda, szurnałem zębami po mule.

Żółty pies trzymał mnie za nogę i ból nadwerżonego nadgarstka to było nic przy tym, co robiło mi to zwierzę. Zatopił zęby w mojej łydce i warcząc, rozrywał ją na kawałki. Próbowałem się wyszarpać, zabolalo jeszcze bardziej. Widziałem czerwone oczy, nie mogłem wstać, ból zalewał mi czaszkę.

Na oślep poszukiwałem czegokolwiek, czym będę się mógł obronić. Parlejowie musieli być już blisko, słyszałem, jak nawoływali psa albo jeszcze go szczuli. Palcami natrafiłem na jakiś kant i wyciągnąłem z mułu cegłówkę. Podniosłem się na drugiej ręce i walnąłem bestię między oczy.

Żółty jęknął i na chwilę odpuścił. Tyle czasu potrzebowałem. Wstałem i odbijając się z jednej nogi, przewaliłem przez burtę łódki.

Dno zatrzęsało się niebezpiecznie i zdało mi się, że słyszę jakiś trzask, a moją łydkę, to, co z niej zostało, przeszedł paroksyzm bólu. Skoncentrowałem się tylko na tym, żeby uruchomić silnik.

Za drugim razem stara yamaha zapaliła.

Zerwałem cumę i odpłynąłem od brzegu, przywierając do brudnego dna łódki, tak jednak, by móc sterować. Płynąłem teraz na ślepo.

Krzyki powoli cichły, w miarę jak oddalałem się od nabrzeża, płynąc na środek Ochrennego. Piekła mnie noga, ciężko oddychałem i dopiero po kilku minutach, kiedy nie słyszałem już ludzi na brzegu, podniosłem się nieco,

żeby obejrzyć ranę. Wyglądała paskudnie, widać było ślady po zębach, żywe mięso. Ale kość pozostała chyba nienaruszona, mogłem ruszać stopą, co stanowiło dobry znak.

Wyrząłem przez burtę. Ludzie na brzegu zmienili się w malutkie punkciki. Mogli sobie krzyczeć, bo ukradłem prawdopodobnie jedyną łódkę w okolicy. Chwilowo byłem bezpieczny. Podciągnąłem strzępy spodni, zdjąłem but, skarpetka przykleiła się do rany. Wsadziłem nogę do jeziora. Pod wpływem lodowatej wody ulżyło mi odrobinę. Zachęcony tym, spróbowałem zdjąć skarpetkę, ale wraz z nią oderwał się płat skóry i czegoś jeszcze. Ból wrócił, ostrzejszy niż wcześniej.

Wrzasnąłem i dałem sobie spokój, koncentrując się na kierowaniu motorówką. Nie wiedziałem, dokąd płynę, byle dalej od Parlejew i wszystkiego, co mnie tam czekało.

Widziałem Ochrenne w całej okazałości. Jezioro wyglądało bardziej majestatycznie niż z miejsca, gdzie stała chata Marca. Ale chłodny wiatr, wiejący tym mocniej, im bardziej oddalałem się od brzegu, przenikał mnie na wskroś. Znowu przywarłem do dna, usiłując zapomnieć choć na trochę o ranie i zimnie.

Mogłem na chwilę zemdleć. Kiedy się ocknąłem, łódź, niesterowana, płynęła w sobie tylko znanym kierunku.

Po chwili zorientowałem się, że znam to nabrzeże. Z oddali patrzyłem na miejsce, które wizytowaliśmy wszyscy: ja, Ania, dzieciaki. Nie mogłem uwierzyć, że to było wczoraj.

Poznałem pomost, na którym stałem poprzedniego dnia. I budynek, w którym zamordowano Pawła Sępińskiego: mały domek powoli zabierany przez przyrodę. W którym moja żona, Julia Iskrzyńska, spędziła sama dwa dni, ranna i w szoku.

Wiedziałem już wcześniej, że chata Jonasza Marca znajdowała się po drugiej stronie jeziora. W linii prostej dzielił ją kilometr, może mniej, od gospodarstwa Parlejew.

I nagle coś zrozumiałem. Moja głowa zaczęła pracować i łączyć fakty.

Śnieg, wędkowanie na lodzie. Dwa dni i brak ciała.

Myślałem tak intensywnie, że na moment zapomniałem o bólu i o tym, że jestem sam na środku jeziora.

A wtedy silnik łódki zakaszał i zgasł.

Pociągnąłem za sznurek. Raz, dwa, trzy: nic. Dryfowałem kilkaset metrów od brzegu. Wiatr przeszywał mnie do kości, co gorsza jednak, wywoływał fale.

Łódź nie była szczelna, to już wiedziałem. Wskakując na nią, dopełniłem dzieła zniszczenia: listwa odchodziła już wyraźnie od dna. Spojrzałem jeszcze raz na brzeg i pomyślałem o temperaturze wody, kiedy włożyłem tam pogryzioną nogę.

A potem zrzuciłem kurtkę i dałem nura do jeziora.

Sweter zaciążył mi jak zbroja, a zraniona noga odmówiła posłuszeństwa. Zacząłem młócić rękoma, starając się utrzymać głowę nad powierzchnią.

Skoncentrowałem się na bólu ramion, próbując oszukać w ten sposób organizm. Lecz zimno docierało już nie tylko do moich kości, ale znacznie głębiej, gdzieś w zakamarki duszy. Nie patrzyłem na brzeg, bo wiedziałem, że wciąż jest daleko. Modliłem się o jedną pieprzoną kłodę, której mógłbym się przytrzymać, ale nic nie dryfowało. Płynąłem niezgrabnym kraulem, spoglądając na boki, byle nie na brzeg.

Moja strategia opłacała się, kiedy spojrzałem na niego ponownie po kilku, może kilkunastu minutach. Był już znacznie bliżej, ze dwieście metrów, żalosna odległość egzaminu na kartę pływacką. Dziecko by ją przepłynęło.

Ale wtedy właśnie opadłem z sił. Moje niewyrobite mięśnie ramion po prostu przestały pracować. Jak na komendę, z przemarznięcia i z wysiłku, jakby dotknął je paraliż. Pozostała mi praktycznie jedna noga i ta druga, ranna, która zaczęła nagle dawać oznaki życia.

Moje ciało przeskoczyło w jakiś tajemniczy tryb zarządzania kryzysowego, sięgając do zasobów, których już nie było. Przetawiałem się na chaotyczną żabkę, poruszając ramionami jak paralytyk. Co chwila upijałem łyk mętnej, zimnej wody. Piekły mnie oczy i nic już nie widziałem.

Nagle zaryłem twarzą w piach.

Usiłowałem wstać, ale runąłem. Na czworakach dotoczyłem się do skarpy, padłem i spowiała mnie ciemność.

Nie wiem, ile leżałem, ale kiedy się obudziłem, panował już zmrok. Dygotałem tak mocno, że zęby uderzały jeden o drugi. Ubranie przyłgnęło mi do ciała i zeszywniało.

Wstałem, ale od razu upadłem. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa, załamała się pode mną noga ugryziona przez psa. Przyjrzałem się ranie raz jeszcze: żółty wbił się w środek mojej łydki i rozerwał włókna mięśniowe. Na czworakach doczłapałem do krawędzi lasu i podniosłem patyk, na którym się oparłem.

Przez chwilę rozważałem, czy nie zdjąć mokrych ubrań. Rozebrałem się nawet do pasa, ale momentalnie przewiało mnie tak mocno, że z powrotem włożyłem wilgotne łachy. Wstałem i kulejąc, ruszyłem przed siebie. Gdybym zapragnął teraz wezwać pomoc, oddając się przez to w ręce policji, i tak nie miałbym jak tego zrobić. Byłem zdany tylko na siebie, wiotczącego ducha i kontuzjowane ciało.

Nagle pożałowałem tego, co zrobiłem. Uciekłem Parlejom, by stanąć w obliczu wykrwawienia i kompletnego wychłodzenia. Już przedtem byłem osłabiony nocą spędzoną w Kampinosie. A w ciągu tych kilkudziesięciu minut, a może kilku godzin, które minęły, od kiedy opuściłem zagrodę Parlejów, fizycznie całkiem się zniszczyłem.

Nie wiedziałem, ile czasu już idę i dokąd. Zarówno chata Marca, jak i zagroda Parlejów wydawały się daleko, a w żadnej nie było dla mnie nadziei. Maszerowałem prosto, gdzieś w kierunku Rucianego-Nidy, o ile orientacja w przestrzeni mnie nie zawodziła.

Na chwilę usiadłem, od razu zacząłem drzemać i zrobiło mi się całkiem przyjemnie. Wtedy otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Popatrzyłem na ciemny, jesienny las i zerwałem się na równe nogi.

Szedłem dalej, pogrążony w stuporze. Była już noc, kiedy zobaczyłem krawędź jeziora, księżyc odbijał się w tafli wody, bardziej niebieskiej niż w Ochrennem.

Przystanąłem. Na to liczyłem. Tak jak zapamiętałem z mapy, w okolicach Ochrennego, ale dobrych kilka kilometrów dalej, znajdowało się lotnisko. Były domki i jakaś tam droga dojazdowa. Cywilizacja.

Nie do wiary, że tyle przeszedłem. Ubranie już mi wyschło, ale wciąż miałem wysoką temperaturę. Chciało mi się pić, a mimo gorączki odczuwałem wściekły głód.

Brudnopomarańczowe domki wyglądały rachitycznie, jakby zbudowano je z papieru. Osłaniały jednak przed wiatrem i pewnie trochę przed zimnem. Podszedłem do pierwszego, szarpnąłem za drzwi. Zamknięte. Długo się nie zastanawiając, kamieniem wybiłem szybę, potem usunąłem resztki z ramy. Uważając, by do tego wszystkiego nie pokaleczyć sobie uda, wszedłem do środka.

W domku śmierdziało stęchlizną, stały tam dwa łóżka, były jakieś koce, łazienka, mała kuchenka. Okryłem się przegniłym pledem i leżałem dłuższą chwilę. Nie mogłem zasnąć, ale nie mogłem się też ruszyć, trwałem jak w katatonii. W końcu zmusiłem się do wstania, podszedłem do kranu, odkręciłem – wody nie było. Ani nic innego, resztek jedzenia czy apteczki. Tylko jeden dziurawy garnek, stary chińczyk i kilka tomów przygód Tomka Wilmowskiego.

Owinięty w koc, podszedłem do jeziora, nachyliłem się i jak pies zacząłem żłopać wodę, chyba odrobinę cieplejszą niż w Ochrennem. Ugasilem pragnienie, po czym ruszyłem dalej. Włamałem się do kolejnego domu i kolejnego. Wyślę im pieniądze, jeśli to się skończy, obiecałem sobie w myślach.

Wreszcie w którymś z kolei znalazłem apteczkę z jodyną i bandażem. Wróciłem nad jezioro i kilka razy wrzasnąłem, przemywając ranę i bandażując ją. Zbudziłem tym jakieś zwierzę, widziałem, jak całkiem spory cień podrywa się do biegu parę metrów dalej, a potem słyszałem tętent kopyt.

Rana była paskudna, ale doszedłem do wniosku, że raczej płytka. Może dlatego, że kawałek łydki już nie miałem. Tak starannie, jak potrafiłem, opatrzyłem nogę. Choć zużyłem cały bandaż, szybko przesiąkł

żółtawobrazowym płynem. Mimo to poczułem się lepiej, przynajmniej psychicznie, że zacząłem się leczyć.

W jednym z domków znalazłem paczkę sucharów i przeterminowane szproty w oleju. Zjadłem je tak łapczywie, że poharatałem sobie dłoń, ale nie przejmowałem się. W tym samym domku użyłem jednego z koców, by zasłonić szybę, i ległem na łóżku.

Kiedy się ocknąłem, gorączka lekko już chyba opadła i może to było nawet gorsze. Czułem zimno, łupało mnie w głowie i gardle, a łydka stała się jednym wielkim świdrującym bólem. Spojrzałem na zegarek: dochodziła szósta rano.

Pokuśtykałem do lustra: wyglądałem jak siedem nieszczęść. W jednym z domków znalazłem i zabrałem nóż. Podniosłem włosy do góry i zacząłem ciąć. Niezbyt ostry nóż nie ułatwiał mi zadania. Po półgodzinie byłem wykończony, a na głowie wykwitła obrzydliwa, nierówno przycięta szczecinka.

Mam wydatną brodę i w krótkich włosach z reguły wyglądałem jak zbój: teraz moja twarz była do tego poobcierana i przybrała odcień zielonosiny. Włożyłem kolorową ortalionową wiatrówkę, którą znalazłem w jakiejś szafie. Nie chciałem przesadzać ze zmianą wyglądu, ale musiałem wrócić do Warszawy. Dociałem jeszcze szczecinę na głowie: teraz byłem prawie łyсы, zwłaszcza że odsłoniły mi się zakola.

Przeprałem bandaż i jeszcze raz opatrzyłem nogę, a potem dłuższą chwilę ćwiczyłem chodzenie bez utykania. Wkrótce opracowałem ruch, w którym przenosiłem ciężar na drugą stopę. Na koniec odrobinę przybrudziłem sobie zęby: w nowym wcieleniu nie chciałem wyglądać, jakbym cieszył się opieką dentystyczną.

Spojrzałem na siebie raz jeszcze: teraz było dobrze.

Patrzył na mnie zaniedbany mężczyzna w średnim wieku, taki, co wygląda, jakby od dawna nikt go nie kochał. Budziłem bardziej niechęć niż zainteresowanie; tak to sobie wyobrażałem.

Miałem nadzieję, że pamiętam, w którym kierunku leży Ruciane-Nida. Stamtąd były dwie możliwości: autobus do Warszawy, z pewnością jakiś

kursował. Po kupnie biletu mógłbym zaszyć się z tyłu. Jeśli wezmę do środka piwo, będę wyglądał jak budowlaniec, taki, który wraca do roboty w stolicy po przedłużonym weekendzie.

I druga możliwość: pociąg. Kojarzyłem, że jeżdżą z Rucianego. To byłoby dobrym rozwiązaniem, gdyby nie konduktorzy, szczególnie jeśli połączenie nie będzie bezpośrednio.

Mimo tych wątpliwości miałem jakiś plan, cokolwiek. Dokończyłem szproty: wciąż były smaczne, ale czułem również stary olej i to stanowiło dobry znak. Odzyskiwałem zmysły.

Zostawiłem za sobą tekturowe domki i ruszyłem w drogę przez mazurskie lasy.

Maja myślała o swoich dzieciach. Tydzień to szmat czasu i Staś mógł się już zmienić. Iga również. Miała swoje humory i choć Matek tego nie dostrzegał, dziewczyna dojrzewała.

Od siedmiu dni Maja przenosiła się z miejsca na miejsce. Leżała teraz na niedopranej pościeli w robotniczym hotelu przy Instalatorów, bo tylko na to jeszcze było ją stać.

Usłyszała pukanie. Zastygła, a jej ręka odruchowo zacisnęła się na krawędzi łóżka. Usłyszała:

– Recepcja!

Powoli podeszła do drzwi. Z jej klitki i tak nie było gdzie uciekać.

W drzwiach stał ten sam łysawy recepcjonista, który przyjął ją pierwszej nocy.

Patrzył na nią jakoś tak dziwnie.

– Czy długo jeszcze pani zostanie?

Gapił się w okolice jej piersi, których prawie nie miała. Mimo to instynktownie zasłoniła je ramieniem.

– Nie wiem – odparła.

– Wolelibyśmy wiedzieć, rozumie pani. – Facet nagle znalazł się już w pokoju. Mały, chudy i obleśny. Kiedy przemykała ze spożywczaka, do którego dla bezpieczeństwa chodziła w nocy, widziała, jak oglądał filmy pornograficzne na małym telewizorze.

– Hotel jest pusty – powiedziała.

– Mamy nasz wewnętrzny regulamin. Poza tym spodziewamy się delegacji.

Oczywiste kłamstwo. Nikt dobrowolnie nie spędziłby nocy w takim hotelu, gdyby nie był zdesperowany. Albo bardzo biedny. Maja spełniała

teraz oba warunki.

– Jeśli zamierza pani przedłużyć pobyt, będę potrzebował dokumentów – oznajmił recepcjonista.

Zesztywniała.

– Przecież dostał pan pieniądze – powiedziała cicho.

Pierwszego dnia zapłaciła mu, by nie zadawał pytań. Nie miała przecież nic, wszystko zostało przy Natalii: dowód, paszport, nawet prawo jazdy. Reszta gotówki, którą zostawiła jej przyjaciółka, trzymała ją do tej pory na powierzchni.

Czy recepcjonista domyślał się, że jest Mają Chabrowską? Nie widziała, by w swoim kantorku oglądał wiadomości, a tym bardziej czytał gazety, wolał brudne filmy. Nie wyglądał też na takiego, na którego ktoś czeka w domu. Ani takiego, który ma kolegów, żeby pogadać, co się dzieje w kraju. A przed innymi gośćmi ukrywała się.

– Muszę poprosić o dokumenty – powtórzył twardo. Wciąż zaglądał jej w dekolt, a był ledwo jej wzrostu.

– Nie mam przy sobie – powiedziała cicho.

Wzruszył ramionami i czekał. Dałaby mu pieniądze, gdyby jeszcze je miała.

– Będę zmuszony panią wymeldować i zawiadomić policję. Brak dokumentów jest nielegalny w naszym kraju – oświadczył.

– Mam dokumenty, tylko nie przy sobie! Niech mi pan nie robi kłopotów – poprosiła.

– Możemy nawzajem wyświadczyć sobie przysługę – odparł. Niestety spojrziała w tym momencie na jego krocze, które zaczęło się wybrzuszać. Teraz dopiero się przestraszyła. Nie była przecież silna, on też nie wyglądał na takiego; już bardziej na schorowanego rencistę. Ale był facetem i miał ten przeklęty testosteron; w końcu łyślał.

– Chciałabym tylko wziąć prysznic – powiedziała.

Był wyraźnie podniecony i może powinna go dotknąć, może to rozwiązałoby sprawę, gdyby tylko nie budził w niej takiego bezgranicznego obrzydzenia.

– Nie musi pan wracać na recepcję? – zapytała.

Ocknął się nagle.

– Tak. Proszę tu na mnie poczekać, za godzinę przychodzi kolega na zmianę. I wtedy porozmawiamy.

– Kolega nie będzie chciał dokumentów?

– To zależy od naszej rozmowy. Jeśli okaże się pani miła, nie będzie o nic pytać. – Nawet nie znała jego nazwiska, ale tak bardzo go teraz nienawidziła, że wbiłaby mu nóż między żebra. Nóż, który trzymała pod łóżkiem i na którego rączce jej dłoń zaciskała się co najmniej kilka razy w nocy.

Recepcjonista wyszedł.

Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Musiała coś przedsięwziąć, ale kompletnie nie wiedziała co. Jeśli się wychyli, dopadną ją, tak jak dopadli Natalię. I będą zadawali pytania, na które będzie musiała odpowiedzieć. A jeśli powie prawdę, zginie. Co wcale nie było najgorsze, bo zginąć mogły też dzieci. I Matek.

Nie widziała go już tyle lat, ale wiedziała, że Wielki Boguś wciąż pragnie odpowiedzi na pytanie, co stało się z jego synem. I że może zastosować odpowiedzialność zbiorową.

Rozejrzała się. Pokój miał maleńkie okno, ale trzecie piętro nie nadawało się do ucieczki. Była tu uwięziona, a jedyna droga prowadziła przez recepcję. A więc godzina. Dotknęła palcem krawędzi noża, ale po chwili ze wstrętem cofnęła dłoń. Położyła się na łóżku, licząc sekundy, a potem minuty, aby choć trochę się uspokoić. Zamknęła oczy, a umysł zбочył w meandry przeszłości.

Znów miała dziewiętnaście lat, wracała do tamtych chwil, bo gdyby można było cofnąć to, co zaszło, odzyskałaby swoje życie. Mogłaby być Julią Iskrzyńską. To jedno lubiła, swoje nazwisko. A nie jakąś Mają Pilaszek, bezdomną, chorą, a w końcu martwą dziewczyną, której nie widziała na oczy.

Ale wtedy by nie wyjechała. Nie spotkałaby Mateusza, nie miałyby Igi i Stasia. Długo myślała, że to nagroda, rekompensata za to, co ją spotkało wtedy nad Ochrennem. I później, po Ochrennem.

Znów była wiotka i nieśmiała, a Jonasz trąbił pod blokiem, w którym mieszkała z Marianną. Bo jej matka nie pozwalała nazywać się inaczej. Jonasz nie wchodził do środka i wiedziała, że się brzydzi. W końcu skórzane kanapy i luksusowe meblościanki, wśród których dorastał, różniły się od ich domu, gdzie sprzątała tylko ona, bo Marianna leżała zaćpana. Albo rozpaczała po stracie kolejnej wielkiej miłości. Bo to było nieuniknione, że mężczyźni odchodzili, kiedy zaspokoili się tą podstarzałą hipiską i narkomanką. Wtedy jeszcze ze śladami urody. Świat Jonasza był inny i dziwne, że w ogóle się spotkali.

Tego poranka matka prosiła, by Julia z nią została, była przecież taka biedna i samotna – ona, która zawsze tak kochała ludzi. Ale Julia nie chciała dalej siedzieć przy tej biadolącej, egocentrycznej wariatce. Matkowała jej od dziesiątego roku życia, radząc sobie ze wszystkim sama.

Jeśli istniała karma, to wróciła do niej, zostawiając swój ślad na tym, co nastąpiło później. Co wydarzyło się po zatrzaśnięciu drzwi mieszkania w bloku, które Marianna otrzymała po swoich rodzicach i którego jeszcze cudem im nie zabrano.

Julia nie była pewna, jak to się stało, że związała się z Jonaszem, pewnym siebie chłopakiem, z którego ust nie słyszała nigdy nic błyskotliwego. Tak naprawdę podobali jej się ponurzy, mroczni artyści. Z premedytacją ich jednak unikała, bo dokładnie ten sam typ pociągał Mariannę. I Julia podejrzewała, że taki właśnie był jej ojciec, padalec, który nie odzywał się, którego nie poznała, ale za którego pieniądze żyły. Albo raczej żyła Marianna, bo przeimprezowywała wszystko, co dostawała, w ciągu kilku dni, a czasem godzin od przelewu. Julia nie otrzymywała z tego ani grosza, więc czasem zabierała pieniądze matce, czasem podkradała. A czasem się biły i Julii udawało się wyrwać wtedy garść banknotów, choćby po to, żeby zapłacić rachunki.

Tak więc tego słonecznego lutowego poranka bardzo cieszyła się na wypad za miasto z Jonaszem i Pawłem, kulturalnym i miłym chłopakiem, którego niesłusznie uważano za pacholka Jonasza. Julia wiedziała, że Paweł ma swoje zdanie, nawet jeśli niewiele mówi. Stali teraz obok auta, obaj rośli i barczyści, w puchówkach, w których wydawali się jeszcze więksi. Palili papierosy i wyglądali jak bracia.

Jonasz nałożył na twarz tę swoją maskę irytacji, której starała się nie zauważać, by go za wcześnie nie znieubić. Paweł unikał jej spojrzenia, miał jakąś wadę zgryzu, która odbierała mu pewność siebie. Z tego powodu wstydził się śmiać, a nawet otwierać szerzej usta: pewnie by się zdziwił, jak wiele dziewcząt uważało go za przystojnego, bo też niczego mu nie brakowało. Był posągowo zbudowanym ciemnym blondynem, a rysy twarzy, podobne nieco do Clintona Eastwooda, miał subtelniejsze niż Jonasz. Julia, jak zawsze, starała się mu posłać miły uśmiech, ale Jonasz już popychał ją, pakując torbę do bagażnika, a chwilę później pakował i samą Julię na tylne siedzenie auta.

– Jesteśmy już spóźnieni – narzekał.

Miło było jechać tym wielkim isuzu, którego jego ojciec używał do wyjazdów w głąsę. Jonasz szpanował samochodami swojego taty i może dlatego go pociągała – bo swego czasu okazała się jedyną z dziewcząt, której nie imponował nimb syna polityka, bogatego, ustawionego życiowo i swobodnego chłopca. Może dlatego to na nią zagiął parol i w końcu ją zdobył, ale nie była z Jonaszem szczęśliwa. Nie wiedziała jednak wtedy, czy w ogóle potrafi taka być, więc godziła się z tym, uśmiechając się w towarzystwie, unikając rozmów o swojej rodzinie, posłusznie jęcząc, kiedy uprawiali seks. Była pewna, że Jonasz uważa się za wielkiego kochanka i choć ona sama też nie miała wielkiego doświadczenia, to zdawała sobie sprawę, że jest po prostu beznadziejny. A to dlatego, że w ogóle nie dostrzegał jej potrzeb i nie rozmawiał z nią w łóżku. Odnosiła wrażenie, że Paweł jest inny. Nie, wiedziała to.

Zatrzymali się na frytki w przydrożnym zajeździe, wszyscy byli w dobrym nastroju, nawet Jonasz. Mieli przed sobą weekend w domku nad

jeziorem, o którym tyle słyszała. Chłopcy od tygodni gadali tylko o wędkowaniu. Sądziła, że u Jonasza to tylko preludium do prawdziwego sportu: polowania. Wielki Boguś, pan Bogusław Marzec, którego oślizgłych rąk i ust unikała w willi Marców, jak mogła, był oczywiście myśliwym.

Chłopcy nakręcili się na wędkowanie w przeręblu, kupili książkę na ten temat i naoglądali się filmów. Mieli teraz, a z pewnością Jonasz, zamiar zaszpanować złowieniem jakiejś fantastycznej ryby, strzelić zdjęcie z aparatu Pawła i chwalić się wszystkim dookoła.

Chata okazała się rzeczywiście piękna, dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażała. Mały przytulny domek wśród śniegu. Jezioro było większe, niż myślała; jedno gigantyczne lodowisko, a kiedy wysiadła i zmrożone powietrze zakłuło ją w nosie, stała dłuższą chwilę, napawając się widokiem i zapachem lasu. Tak bardzo chciała odetchnąć od dusznego mieszkania w bloku z Marianną i nadarzyła się pierwsza w tym roku okazja.

Jonasz przerwał tę upojną chwilę, oznajmiając, że jest głodny: w jego domu matka robiła za służącą i Julia wiedziała, że tego samego oczekuje od niej. Była gospodynią od dziesiątego roku życia, więc nie bardzo jej to przeszkadzało, choć apodyktyczny ton głosu Jonasza sprawiał, że każdego dnia lubiła go coraz mniej, a słowo „kocham” stawało jej w gardle jak ość.

Wstawiła ziemniaki i na maleńkiej kuchence podsmażyła kotlety. Chłopcy rozpalali w kominku, a potem widziała przez oszronione okno, jak wyrąbali dziurę w lodzie i zabrali się do roboty. Podobał jej się ich szczeniacki entuzjazm, naprawdę mieli radochę i nawet Jonasz zgubił tę swoją pozę młodego ważniaka. Przez zamknięte drzwi słyszała, jak sobie żartowali i przygadywali.

Potem straciła ich z oczu. Przygotowała obiad, ubrała się ciepłej i wyszła, żeby ich zawołać. Mieli czerwone nosy i dość nietęgę miny. Szczególnie Jonasz. Znów przybrał swój wyraz twarzy, który zazwyczaj nie oznaczał niczego dobrego. Dlatego nawet nie zapytała, jak idzie. Było jasne, że kiepsko. Kiedy Jonasz zorientował się, że Julia będzie milczeć, wstał z lodu, klepnął się w kolano i stwierdził:

– Zjemy, może coś walniemy na rozgrzewkę i wrócimy, co nie, Pablo?

Paweł pokiwał głową bez przekonania. Na filmach z Kanady, które oglądali, wyglądało to inaczej. Brodaci faceci wyciągali spod lodu wielkie ryby, wszyscy byli zadowoleni i uśmiechnięci. Tymczasem podłe leszcze, które bezsprzecznie mieszkają w Ochrennem, nie chciały im się pokazać na oczy.

Po obiedzie humor im się jednak poprawił. Wypili trochę bimbrowy, który przywiózł Paweł – mocny, ponad pięćdziesięcioprocentowy trunek – i wrócili na lód. Postąpiła z nimi chwilę, ale nie chciała prowokować Jonasza i narażać Pawła na zażenowanie widokiem, jak przyjaciel traktuje dziewczynę. Z jakiegoś powodu zaczęła się tego wstydzić. Wykorzystała czas wolny na spacer, tak by zbyt nie oddalać się od domku. Przeszła się wzdłuż brzegu w jedną, a potem drugą stronę. Kiedy wracała, światło w domu paliło się, chatka wyglądała przytulnie i był to chyba najładniejszy widok, jaki Julia widziała w swoim dziewiętnastoletnim życiu.

Chłopcy zwinęli już sprzęty, a dziura, którą wyrabiali, powoli zamarzała. W końcu zima była porządna tego roku, już kilka razy temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni. W chacie napalono, żeliwna koza szybko rozgrzała wnętrze, ale nastroje panowały mocno średnie. Chłopcy, rozwaleni na kanapie, pili bimber, lecz wrażenie porażki było aż nadto wyraźne.

– Jutro będzie lepiej – przekonywał Paweł z tym swoim nieśmiałym uśmiechem przysłaniającym zęby, za który tak go lubiła. – Za nisko żeśmy dzisiaj schodzili. Rano poprawimy wędkę i zobaczysz, pójdzie jak z płatkami. Do końca zimy będziemy żreć ryby, aż się porzygamy.

Jonasz uśmiechnął się krzywo. Julia unikała kontaktu z nim. Obiecała sobie, że po powrocie zerwie związek. To nie mogło tak trwać, czasem przecież czuła, że się go boi, a czasem, że go nienawidzi. Obawiała się też jednak jego reakcji i porywczowości, kiedy mu powie, że to koniec. Myślała, żeby poprosić Pawła, aby był w pobliżu, na wypadek gdyby Jonasz ją zaatakował, ale wciąż nie miała pewności, czy to dobry pomysł.

Jonasz i Julia spędzili noc na rozkładanej kanapie, a Paweł na futrze rozłożonym na podłodze. Cała drżała, że Jonek będzie się do niej dobierał,

ale był chyba zbyt pijany i strasznie chrapał. Później lojalnie zawtórował mu Paweł i Julia już sobie nie pospała.

Ale poranek zrekompensował jej wszystkie niedostatki. Zaparzyła sobie kawę i wyszła na powietrze. Jezioro było takie piękne. Weszła na nie: lód okazał się twardy jak skała. Śliznęła się trochę w stronę środka i jeszcze kawałek. I jeszcze. Była już kilkanaście metrów od brzegu, wokół niej panowała idealna cisza, jezioro wydawało się jej przyjacielem, sprzymierzeńcem. Gdyby mogła tu zostać na zawsze, w tej chatce, tylko malować i może coś pisać. Już i tak zmęczyli ją ludzie, opieka nad matką, ciągły trud, niezawinione kłopoty, niewrażliwość i znieczulica społeczna. Nic nie była winna Mariannie. Wiedziała także, że matka niedługo umrze. Wmawiała sobie, że nic jej to nie obchodzi.

Usłyszała jakieś dźwięki. Z początku sądziła, że to ptaki, potem ujrzała wysoką sylwetkę na brzegu. Jonasz, pomyślała, ale potem rozpoznała pomarańczową puchówkę Pawła i ucieszyła się, nawet przyśpieszyła kroku. Może jednak nie chciałyby tak zupełnie sama tu mieszkać, pomyślała, może wolałyby z kimś, kogo lubi.

Pozdrowiła go, bo wydawało jej się, że on też to robi. Dopiero po chwili dostrzegła, że Paweł trzyma w ręku aparat. Przyłożył go do oka i celował w nią obiektywem.

Uśmiechała się, przybierając zabawne pozy, a Paweł strzelił jej kilka zdjęć. Następnie schował aparat do futerału i sam wkroczył na zamarznięte jezioro.

– Nie wychodź tak daleko sama – zasugerował. Oczy miał zaczerwienione od picia. – Nie wiadomo, jak z lodem.

– Daj spokój, twardy jak skała.

Pokiwał głową.

– Nasza dziura już zamarznęta – powiedział. – Musimy wywiercić nową.

– Nie idzie wam, co? – zaryzykowała pytanie.

– Aż tak widać? – zaśmiał się. – Jonasz jest bardzo ambitny, nie wyjedziemy stąd bez ryby.

– Macie jeszcze tylko jeden dzień.

Musieli wracać w niedzielę rano. Siostra Pawła miała urodziny, Julia miała cichą nadzieję kiedyś ją poznać.

Wzruszył ramionami.

– To się jakąś kupi od miejscowego. Chyba nas nie wydasz?

– Skąd.

Zaśmiał się.

– Jesteś równa – powiedział. – Od początku to widziałem. Inna niż wszystkie dziewczyny.

Zarumieniła się.

– Nie wiem, co przez to rozumieć. Chyba muszę powiedzieć: dziękuję?

Też się spłoszył tym swoim nagłym komplementem i pokiwał głową. Chciałaby zobaczyć kiedyś te jego zęby, które przystojnemu, inteligentnemu chłopakowi odbierały całą pewność siebie. Chyba nie mogło być tak źle. Żałowała, że nie spotkała go wcześniej. Teraz chciała go poznać lepiej.

W drzwiach chaty pokazał się Jonasz. Palił papierosa, zwyczaj przyjęty od niedawna. Kurzył tylko parlamenty i tylko amerykańskie, bo smakowały inaczej, jak kiedyś tłumaczył Julii w bardzo nudny sposób.

– Ranne ptaszki – rzekł, podchodząc bliżej. Też patrzył na dziurę.

Widać było, że entuzjazm chłopców ostygł, a i kac dołożył swoje. Jonasz westchnął i powiedział do Pawła:

– Po śniadaniu to sobie rąbniemy, co nie? Za zimno, żeby tak siedzieć na sucho.

Tankowali cały dzień i może dlatego nie złowili ryby, ale Jonasz wydawał się pewny swego. Miał plan, w który ich nie wtajemniczał. Był w każdym razie przekonany, że wyprawa zakończy się sukcesem. Nie wiedziała, z czego to wnosi, ale wołała nie nadstawiać karku. Uśmiechała się i dolewała im, a sama udawała, że pije. Bo wystarczająco dużo naoglądała się Marianny, żeby już do końca życia mieć dosyć alkoholu.

Posłusznie ugotowała obiad: nie mieli ryb, więc upiekła kiełbaski od mamy Jonasza. Paweł komplementował i to było super, bo dzięki temu Jonasz nie wybuchnął gniewem, że to nie ryby. Które sam miał złowić. Zaczynało zmierzchać, a Julia trochę martwiła się powrotem do miasta.

Zdawała sobie sprawę, że Jonasz jest coraz bardziej pijany, ale nie wyłapała momentu, kiedy zrobił się milczący. A to nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. Widziała go kilka razy w tym stanie. Raz nawet oberwała, bardzo ją przeproszał i obiecał, że to się nigdy nie powtórzy.

I właśnie teraz, kiedy wróciła z dworu, donosząc drewna do kozy, zorientowała się, że nastąpił ten moment. Jej chłopak wszedł w fazę agresora. Skuliła się w sobie, a potem pomyślała, że jest przecież jeszcze Paweł.

Jonasz szukał zaczepki, ale nie chciała dawać mu żadnego pretekstu.

– Strasznie długo cię nie było – powiedział w końcu.

Wzruszyła ramionami. Nie zamierzała odpowiadać, ale i to okazało się błędem.

– Co? – zapytał. – Zaniemówiłaś nagle? A cały dzień pierdolisz bez sensu.

– Och, daj jej spokój – wymamrotał Paweł. Sam był mocno nietrzeźwy, skończyli dziś tę butelkę bimbrowa i on z kolei wyglądał, jakby mógł zaraz zasnąć. Wzrok miał mętny, ale to i tak było sto razy lepsze od spojrzenia Jonasza – nienaturalnie ożywionego, natarczywego.

I okazało się, że nie musiała dawać Jonaszowi okazji do zaczepki, bo właśnie dał ją Paweł.

– Ach, obrońca się znalazł. Czujesz miętę do mojej dziewczyny, co, Pablito?

Paweł wymamrotał coś z fotela w kącie.

– Co? Nie słyszę cię, kolego! – krzyknął Jonasz. – Ale widzę wszystko, debilu. Robisz do niej maślane oczy. Czy nasza Julcia o tym wie?

Spojrzał na nią, a ona, zaskoczona, za wolno spuściła wzrok. Nawet zapijaczony wyczytał w nim odpowiedź. A może szczęście? Poszła od razu do kuchni, by zniknąć Jonaszowi z oczu, ale było już za późno.

– Ej – wrzasnął Jonasz – wracaj tu! Dokończymy rozmowę.

Nie chciała. Oparła się o blat. Usłyszała szybki krok, potem silną dłoń na ramieniu, następnie Jonasz wykręcił jej rękę.

– A ty? Pawełek też ci się spodobał, co? Myślisz, że nie wiem, co robicie za moimi plecami?

– Jonasz – powiedziała słabo – jasne, że nic nie robimy...

– Kiedy jestem nawalony? Zupełnie nic? Ty kurwo! – Trzasnął ją teraz prosto w twarz. Przez moment nie mogła zareagować. Mariannę albo jakąś dziewczuchę by sprąła, ale to był Jonasz. Kawał agresywnego chłopca, silny i ciężki, czuła to przecież, kiedy na niej leżał.

Usłyszała, jak Paweł wstaje z fotela.

– Jonek, zostaw ją – powiedział.

– O, jest i Brutus kochany. Co mi dziewczynę obrabia na boku.

– Jonek... – zaczął Paweł, ale Jonasz nawet na niego nie spojrzał, nie odwrócił się. Przywalił Julii jeszcze raz, poczuła, jak krew leci jej z wargi. Miała za sobą blat, nie było gdzie uciec.

– Teraz taka ładna już nie będzie. I będziesz mógł ją sobie wtedy wziąć, Pawełek – rzekł Jonasz.

Po chwili zakotłowało się. To Paweł rzucił się na przyjaciela i założył mu chwyt klamrowy.

Chata Marców nie była przygotowana na zwanie dwóch mężczyzn, obydwu powyżej metra dziewięćdziesięciu i słusznej wagi. Julia, sparaliżowana, skuliła się w kącie między blatem a kuchenką elektryczną.

Ścianami domku trzęsło, kiedy chłopcy się tłukli. Nie można było się zorientować, kto wygrywa, słyszała tylko głuchoe odgłosy uderzeń. Pachniało potem i czymś jeszcze. Wciąż nie mogła się ruszyć, gapiła tylko bezmyślnie i w pewnym momencie uświadomiła sobie, że to nie bójka barowa, ale drapieżna walka o życie.

I wtedy to się stało. Zobaczyła, jak odrywają się od siebie, jak Jonasz uzyskuje chwilową przewagę. I jak ją wykorzystuje: złapał Pawła za głowę i rąbnął nią o żeliwną kozę. Zanim zdążyła krzyknąć, powtórzył cios.

Paweł opadł na ziemię jak kukła, a ona nie mogła z siebie wydobyć głosu. A potem Jonasz odwrócił się i zobaczyła, że jego gniew jeszcze nie został zaspokojony. Szedł teraz w jej kierunku.

Podniosła się, oparła o blat. A potem usłyszała hałas i wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Teraz jednak, w roku 2017, nie była już tą samą dziewiętnastoletnią dziewczyną. Była trzydziestotrzyletnią matką dwojga dzieci.

Nie mogła pozostać bierna, nie mogła czekać, aż zadecydują inni. Poszła do łazienki i pochyliła się nad ubikacją. Ta była w niezłym stanie: porządna, gruba ceramika, nie żaden plastik. Podważyła wieczko, ułamała przy tym lekko paznokiec, ale odkręciła i zdjęła pokrywę. Wzięła ją ze sobą do pokoju. A potem czekała.

Miała nadzieję, że kierowany żądzą recepcjonista przyjdzie wcześniej.

I nie zawiodła się. Drzwi otworzyły się w końcu. A ona rąbnęła pokrywę, kiedy tylko ujrzała błysk łysego czerepu.

Nie trafiła. Uderzyła go w ramię. Mężczyzna zatoczył się. Przytomnie zatrzasnęła drzwi i spróbowała jeszcze raz. Był niski i tym razem trafiła go w sam środek głowy. Zwalił się na podłogę ciężiej, niż wskazywałyby na to jego gabaryty.

Nie czekała, aż ktoś zareaguje. Wybiegła z hotelu.

Była już tylko jedna osoba, do której mogła się udać. Bliski jej człowiek, choćby nawet nie łączyły ją z nim więzy krwi.

Musiała skontaktować się z Łukaszem Orskim.

Przespałem całą drogę w autobusie z Rucianego, obudziłem się już w Warszawie i wysiadłem na rondzie Starzyńskiego. Wielką zaletę Pragi stanowiło to, że tutaj mój wygląd nikogo nie dziwił: można powiedzieć, że połowa menelów tak się prezentowała, a nawet i moja rana na nodze wysiadała przy tym, na co cierpieli niektórzy prascy bezdomni. Z nogą nie było zresztą dobrze. Rana spuchła, wypełniła się żółtą ropą, z pewnością powinienem przyjąć zastrzyk przeciwtężcowy.

Musiałem zadzwonić. Smartfon od Ani po przesuszeniu wprawdzie wciąż działał, ale potrzebowałem karty SIM. Rząd zaś wprowadził kolejną ustawę: numery musiały być rejestrowane. Trudno było się połapać w tych wszystkich posunięciach. W mojej sytuacji nie mogłem tak sobie wejść do operatora z dowodem osobistym, aby zarejestrować starter.

Poszedłem więc do kiosku, gdzie poprosiłem o kartę do budki telefonicznej. Zdziwiona sprzedawczyni dała mi ją za darmo, bo system nie szczytywał już kodów kreskowych.

Cudem znalazłem działający automat, na klawiaturze wcisnąłem kilka cyfr. Znałem je na pamięć, tak jak szereg innych ważnych numerów: Mai, Igi i Ani. W końcu często dzwoniłem, by zapowiedzieć, że przyjdę po Stasia.

Swetrowa odebrała po kilku sygnałach. Na dźwięk głosu sąsiadki zapragnąłem znaleźć się pod jej dachem. Gorączka przeszłaby mi w dwie sekundy pod wpływem mleka z miodem lub innego domowego specyfiku.

– To ja. Mateusz Chabrowski.

Cisza. Może była na podsłuchu.

– Tak – odpowiedziała w końcu.

– Jak dzieciaki?

– Dobrze. Martwią się o pana.

– Są w szkole?

– Staś tak. Igusia została. Pozwoliłam jej dziś nie iść – oznajmiła.

Wkurzył mnie ten autorytarny ton. Choć Swetrowa miała rację. W szkole zjadłyby Igę dzieciaki, a może i bezwzględni dziennikarze. Staś w przedszkolu był nieco bardziej chroniony.

– Czy ktoś się wypytywał o dzieci?

– Kto niby?

– Policja? Jakies inne służby? – zapytałem.

Znowu cisza. Swetrowa była wyraźnie zła.

– Czy myśli pan, że wpuściłabym urzędasów do mojego domu? – zapytała.

– Nie.

– Dzieci potrzebują teraz spokoju! U mnie im dobrze.

– Tak, al...

– Mnie pana sprawy prywatne nie interesują – przerwała mi. – Ale niech pan wie, że zabroniłam dzieciom oglądać telewizji i wyłączyłam internet w domu.

– Dziękuję.

– Proszę mi nie dziękować, tylko wypłatać się z tego. I wrócić do nich.

Cisza. Czulem, że chce zakończyć rozmowę. Może naprawdę była na posłuchu i nie chciała, bym wpadł. Rozejrzałem się wokół nerwowo. Praskie osiedle, przy którym stałem, wyglądało bardzo spokojnie. Dwóch mężczyzn przeszło obok, dyskutując zawzięcie. Gdyby to byli tajniacy, już by mnie jednak zatrzymali.

– Chciałbym porozmawiać z Igą – powiedziałem.

– Nie jestem pewna.

Przez zmęczenie i gorączkę przedarła się w końcu nuta złości.

– To wciąż moja córka – warknąłem.

– Nie jest pan modelowym ojcem ostatnio.

Policzyłem do trzech, odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

– Proszę mi dać córkę do telefonu.

– Ma pan pięć minut – oświadczyła Swetrowa i położyła słuchawkę tak głośno, że aż mnie ucho zabolalo.

Usłyszałem strzępy rozmowy, a potem stanowczy tembr Swetrowej. Jak mogła podnosić głos na moją córkę? A po chwili dotarło do mnie, że to Iga nie chce rozmawiać. W końcu jednak podeszła.

– Halo – powiedziała ospałym głosem.

– To ja. Tata.

– Yhmm.

– Jak się miewasz?

– Dobrze. Staś...

– Pytałem o ciebie – przerwałem.

– ...płakał dzisiaj bardzo – dokończyła.

Przełknąłem ślinę.

– Chciałem zadać ci pytanie. – Nie wiedziałem, czy Swetrowa mówiła serio, jeśli tak, zostały mi jeszcze pewnie ze cztery minuty. – Widziałem film z mamą. Z Instagrama.

Cisza. Przełknąłem ślinę.

– To ty go wrzuciłaś, prawda? – zapytałem.

Znowu cisza.

– A co? – Głos mojej córki zabrzmiał wrogo. Usłyszałem przyśpieszony oddech.

– Igusia, to nic... – powiedziałem, ale w tym momencie zaczęła bardzo szybko mówić:

– Tato, ja przepraszam, ja tak strasznie przepraszam – wybuchła. – Naprawdę nie chciałam.

Rozbeczała się na dobre. Albo tak mi się wydawało, albo usłyszałem Swetrową, jakby czaiła się gdzieś w pobliżu.

– Iga – zacząłem, ale mi przerwała.

– Ja... od dawna nikt nie lajkował moich postów. Kiedyś czekałam na mamę w pracowni, po szkole. Nagrałam ją i wszystkim bardzo się podobało. Potem skasowałam. To wszystko moja wina, prawdaaa?

Łkała teraz rozpaczliwie. Chciałem ją przytulić, a byłem tak daleko.

- Iga, to nie twoja wina.
 - Mojaaa – płakała dalej. – Mama zniknęła przez ten film.
 - Nie – powiedziałem z naciskiem. – Nigdy tak nie myśl.
- W słuchawce usłyszałem drugi, cięższy oddech.
- Okej – powiedziała w końcu słabo Iga.
 - Nigdy – powtórzyłem. – Niedługo wrócę, kochanie.
 - A mama?
 - Mama też.

Rozmowa z Igą zdenerwowała mnie, ale zdobyłem się na to, by kulawym krokiem opuścić budkę. Jak najszybciej, gdyby jednak Swetrowej założono pluskwę. Kuśtykałem aż do najbliższego parku, gdzie opadłem na ławkę, żeby zebrać myśli.

Wcale nie było okej, trząsałem się z wściekłości na córkę. Wiedziałem już, że to wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, lata przed urodzeniem się Igi, a może i ona sama nigdy nie pojawiłaby się na świecie, gdyby nie makabra nad Ochrennem. To jednak Iga okazała się katalizatorem tego, co się potem wydarzyło. Jej bezmyślność, jej głupie „internety”, których codziennie byłem świadkiem. A teraz siedziałem z poważną raną nogi, poszukiwany przez policję oraz akrobatów na motorach, a moja żona, jeśli w ogóle żyła, zaginęła na dobre.

Ukryłem twarz w dłoniach i powtarzałem sobie: „To nie Iga, to nie Iga, to nie Iga”, aż zaczęło mi się wydawać, że w to wierzę. A potem, kiedy już trochę wyczyściłem głowę, nabrałem gotowości, żeby pójść tam, gdzie nie mogło być przyjemne, ale gdzie dziwnie dzisiaj pasowałem.

Pod wejściem do kawiarni na Targowej złapałem wi-fi. Odebrałem maila, a w nim adres. Na końcu wiadomości Leon zaskoczył mnie rzadkim dowcipem, doradzając, żebym uważał na latające igły.

Byłem głodny, zrobiłem szybkie zakupy w małym spożywczaku po drodze. Jabłko, twarda kanapka z jajkiem i butelka coli zero posłużyły mi za lunch.

Skręciłem z Targowej w Ząbkowską i po dziesięciu minutach dotarłem na miejsce. Fasada kamienicy, której szukałem, była podniszczona, choć zachowała ślady dawnej urody. Wystarczyło jednak wejść do środka, by uciec z krzykiem: pachniało brudem i nieuregulowanym stanem własności. W swoim zwykłym wcieleniu pasowałbym tam jak pięść do nosa, teraz jednak dzieciaki kopiące piłkę na podwórku i młodzi żule spijający piwa na ławce nie zwrócili na mnie większej uwagi.

Prawie dwadzieścia lat temu, jako długowłosa, wrażliwy student prawa, jeździłem po tych rewirach jako dostawca pizzy. Zrezygnowałem, kiedy zamiast zapłaty łysy sterydowiec kazał mi – jak się wyraził – „spierdalać”, a w pracy odliczyli mi to od pensji. Dzisiaj – kulejący, w przegniłej ortalionowej kurtce – zlałem się z otoczeniem.

Klatka z niedziałającą windą miała przetarty do cna drewniany parkiet. Ponad połowę okien w budynku powybijano, część zasłonięto dyktą, a część zabito zwykłymi deskami. Odniosłem wrażenie, że w kamienicy panuje stały przeciąg.

Wdrapałem się na czwarte piętro. Zgodnie z wytycznymi Leona próbowałem odnaleźć lokal numer 43, ale rzadko które z mieszkań miało jakąś tabliczkę. W końcu, odliczając od czterdziestki wzwyż, natrafiłem na podwójne drzwi.

Leon doradził, żeby nie pukać. Pchnąłem, były otwarte. W mieszkaniu panował półmrok, prawie zupełna ciemność, a także smród. Do tego już przywykłem, pokonując kolejne piętra kamienicy, od zwielokrotnionego zaduchu rozboleła mnie jednak głowa. Wciąż miałem gorączkę i odnosiłem wrażenie, że moje ubranie na przemian wilgotnieje i schnie.

Mieszkanie było ogromne i wysokie na prawie cztery metry oraz całkowicie pozbawione mebli. Pewnie wszystko, co można sprzedać, sprzedano. Po chwili zacząłem rozpoznawać ludzkie kształty. Byli poukrywani po kątach, pojedynczo, miejscami w większych grupkach. W samej bieliźnie i grubo poubierani. Większość wychudzona, młodzi, starzy i w nieokreślonym wieku. Przez pokój przeszedłem do kuchni, w której było przeraźliwie zimno. W miejscu okna wisiała tu dziurawa szmata.

Przy stole siedziało dwoje bardzo młodych ludzi, na oko niewiele starszych od Igi. Głowy mieli skierowane w dół, siorbali kawę.

Obydwoje byli zakapturzeni. Jedno mogło być dorastającym chłopakiem, drugie zaś wyglądało na dziewczynę; spod kaptura bluzy widziałem orzechowe i bardzo smutne oczy.

– Wiecie, gdzie jest Marianna? – zapytałem.

– Kto? – zareagował chłopak po dłuższej chwili.

– Marianna Iskryńska – powtórzyłem.

– Nie, my tu dopiero od kilku dni – odparł. Dziewczyna jeszcze na mnie nie spojrzała. Otworzyłem usta, potem zamknąłem, otworzyłem ponownie.

– Dlaczego tu jesteście? – zapytałem. – Nie wiecie, co to za miejsce?

Teraz dopiero zdobyłem cień ich zainteresowania. W spojrzeniach dzieciaków dostrzegłem wręcz zaskoczenie. Trudno było się temu dziwić, chyba nie tego spodziewali się po łysym, poobdzieranym i sinym facecie w średnim wieku, w ubraniu bezdomnego.

W oczach chłopaka pojawiło się zrozumienie.

– Z policji – powiedział.

– Nie...

– Z opieki? – Zrobił zdziwioną minę.

– Ja nie wracam – skomentowała dziewczyna zaniepokojonym głosem. A potem znowu pochyliła się nad swoją kawą i poprawiła kaptur, by zasłonić twarz.

– Nie, ani jedno, ani drugie – powiedziałem. – Ale nie możecie tu być. Chyba widzicie, co tu się dzieje. Widzicie tych ludzi? Chcecie skończyć tak samo?

Rozkręciłem się, bo dziewczyna przypominała mi Igę. Poza tym było mi przykro, bo przed czymkolwiek uciekała, wyglądało na to, że trafiła z deszczu pod rynnę.

– Gdzie mamy pójść? – zapytał hardo chłopak.

– Istnieją przecież inne miejsca.

– Jest zimno, a tu nikt o nic nie pyta. Właściwie nikt nic nie mówi w ogóle.

– Kto jest właścicielem mieszkania?

– A czy to ma znaczenie? – powiedział chłopak. – Może już umarł. Nie ma prądu, ale jest woda, raz na jakiś czas chodzą z czapką, każdy się dorzuca, jak ma. Przeczekamy zimę, pojedziemy z Martą dalej.

Nie mógł mieć więcej niż czternaście, piętnaście lat, ale otaczał dziewczynę opieką.

Chciałem ich przestrzec, żeby nie ćpali, ale po co.

– Nie używajcie cudzych igieł – powiedziałem tylko i chwilę później pożałowałem tych bezdusznych słów. Może zgorzkniałem przez ostatnie dwa dni. Ale co mogłem im tak naprawdę poradzić?

Próbowałem rozeznaczyć się w leżących ciałach, ale spora część zatraciła już charakterystykę płciową. Żadne z nich nie było podobne do Mai.

Czego mogłem się jednak spodziewać? Starszej kopii mojej żony? Eleganckiej kobiety w średnim wieku, która wypije valium raz na jakiś czas? W tym miejscu musiał królować najtańszy kompot.

Nie odpowiadali mi w ogóle albo niezrozumiale bełkotali. Błąkałem się po tym ogromnym mieszkaniu w ciemności i chłodzie, czując się coraz gorzej. Miałem wrażenie, że majacę.

W ostatnim maleńkim pokoju, takim, w którym kiedyś, dawno temu, mieszkała zwykle służba, znalazłem już tylko śmieci, pod nimi zaś przegniłą podłogę i stos starych kurtek. Było tam też trochę jaśniej, zachowało się niczym nieosłonięte, niewielkie okno.

Warstwa kurtek poruszyła się, mało co nie podskoczyłem ze strachu. Dostrzegłem fragment chudej ręki. Podszedłem bliżej i zacząłem odwalać ubrania na bok. Zobaczyłem maleńką staruszkę. Miała króciutkie, rzadziutkie włosy, przezroczystą cerę.

Pochyliłem się nad nią.

– Wie pani, gdzie jest Marianna Iskrzyńska? – zapytałem.

Wymamrotała coś. Oczy miała ładne, niebieskie. W oceanie zmarszczek, brudu i ranek tylko te oczy zachowały jeszcze urodę. Poprosiłem, by powtórzyła, i za drugim razem zrozumiałem.

– Gdzie jest pani córka? – zapytałem.

Bełkotała, nachyliłem się ku niej.

– Proszę powtórzyć – zażądałem.

– Nie widziałam jej, uciekła... – Usłyszałem.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

Mogłem usłyszeć Mariannę Iskrzyńską, tylko kiedy byłem nie dalej niż kilka centymetrów od wysuszonych warg. Oto poznałem prawdziwą babcię Stasia i Igi.

– Za działkę – wychrypiała.

– Proszę tu poczekać – powiedziałem bezmyślnie, tak jakby gdzieś się wybierała. Bo wszystko wskazywało na to, że nie wstawała. Od dawna.

Znowu rozpocząłem wędrówkę, tym razem poszło mi szybciej. Za dwadzieścia złotych kupiłem trochę kompotu i strzykawkę. Próbowałem znaleźć nową, nie było, lecz ćpun zapewniał mnie, że wyparzana.

Przyniosłem towar i od razu opowiedziałem o strzykawce. Jakby ją to obchodziło, może już była chora. Zaczęła obwiązywać sobie rękę, ostrzegłem jednak, że nie tak prędko. Za kilka sekund niewiele więcej bym się dowiedział.

– Kiedy widziała ją pani ostatni raz? – zapytałem.

– Kilka lat temu.

– Kilka? Może kilkanaście?

– Kilka – powiedziała. – Kwaśniewski był prezydentem.

Westchnąłem.

– Pomogła jej pani wtedy uciec? – drążyłem.

– Nie miałam o tym pojęcia. Moja córka ich nie zamordowała, tych chłopaków... – powiedziała. – Kim pan w ogóle jest, że pyta?

– Znajomym.

– Moja córka nie zadawała się z takimi łachudrami – oświadczyła.

– Co się działo w trakcie procesu? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Proces jak proces.

– Aha. A coś więcej?

– Wszyscy się interesowali i on się zainteresował. Moim zdaniem bał się, że to do niego dojdzie.

– Kto on?

– Pewnie przed żoną to ukrywał wtedy – chrypiała cicho dalej. – A swego czasu szalał za mną. Wyznawał mi miłość, że zawsze będziemy razem. Że nigdy się nie rozstaniemy i będziemy mieć dzieci. A potem sobie poszedł.

– Zerwał z panią?

– Nie, wciąż jesteśmy razem – zachichotała, co trwało dłuższą chwilę. Przeczekałem, mnie nie było aż tak do śmiechu.

– O kim pani mówi? – powtórzyłem.

Spojrzała na mnie chytrze i tylko dzięki temu zrobiłem unik, kiedy zerwała się po strzykawkę. Odepchnąłem jej dłoń, omal sam nie kalecząc się ohydną igłą.

– Nie dostaniesz tego, jeśli nie dokończymy rozmowy – ostrzegłem. – O kim mówisz?

Spojrzała na mnie zła.

– O nim – oświadczyła. – O ojcu Julii. O jedynym mężczyźnie, którego kochałam. Wszyscy później się nie liczyli.

– Kim był?

Zastanowiła się, jakby zapomniała na chwilę.

– Maciek, mój Maciuś, król Maciuś Pierwszy – powiedziała.

– Jaki Maciej? Jakie nazwisko? – zapytałem i w tym momencie uświadomiłem sobie, że już znam prawdę. Że byłem w błędzie, a Maja wcale nie miała romansu.

– Maciej Rus – wychrypiała Marianna.

Rubin, który dostała moja żona, rzeczywiście symbolizował miłość. Ale nie taką, o jakiej myślałem.

Maja nie miała kochanka. Nawiązywała kontakty z własnym ojcem.

Jeśli dostałem się do Konstancina nierozpoznany, to tylko dlatego, że budziłem lekką odrazę. Choć trzeba przyznać, że kilkoro ciekawskich pasażerów w autobusach rzuciło zdziwione, a nawet zatroskane spojrzenie na moją twarz. Spojrzenie mówiące: jeszcze dość młody, a już bezdomny.

Potem jednak ich wzrok przesunął się w stronę mojej nogi i to przeważnie oznaczało koniec troski: czerwieniejąca i ropiejąca rana prześwitująca przez spodnie mogła zniechęcić nawet najbardziej życzliwych.

Na szczęście wkrótce minęliśmy Starą Papiernię i mogłem już wysiąść.

To Mai przyjaciółka tu mieszkała. Moja żona bywała w Konstancinie częściej i pamiętała, w które z tych sielskich leśnych uliczek, kryjących w sobie prawdziwie wersalskie rezydencje, należy skręcać.

Dlatego szedłem na wycucie i zaczynałem się zataczać, kiedy widziałem spacerowiczów bądź biegaczy: dobrze zakonserwowanych pięćdziesięciolatków i kobiety ze śladami botoksu na twarzy w tej jednej z bogatszych polskich gmin.

Okoliczny las był niemal tak ładny jak Kampinos, a przewaga nad Izabelinem leżała w tym, że tutaj on domy otaczał. Pseudorzymskie rezydencje, nowoczesne klocki, a nawet przedwojenne pałacyki ukazywały się zniecka. I w przeciwieństwie do Izabelina, podbitego przez osiedla jednorodzinnych potworów, w Konstancinie każdy budynek był inny. Dlatego te domy z rzadka tylko przywoływały skojarzenie z moim własnym, do którego nie miałem pojęcia, czy jeszcze powrócę. Zdawało mi się, że dobrze idę, ale pobłądziłem. Było już całkiem ciemno, a niektóre z tych leśnych ulic nie miały zamontowanych latarni. Wiedziałem, że kolejna noc spędzona na zimnie może skończyć się bardzo źle. Jadąc do Konstancina, oglądałem wiadomości wyświetlane na monitorach reklamowych: media już

podawały informacje o pierwszych zmarłych z powodu chłódów, przeważnie bezdomnych.

Oparty o szybę autobusu, kilkakrotnie zasnąłem, ale za każdym razem budził mnie ból. W tych krótkich, gorączkowych snach Łukasz Orski ucinął mi nogę, a Jonasz Marzec stał obok i się śmiał.

W „Forbesie” przeczytałem, że Maciej Rus był wdowcem i, na papierze przynajmniej, nie miał swoich dzieci. Majątek odziedziczył po nim pasierb. Nie na podstawie testamentu, ale ustawowo, bo Rus nie miał krewnych.

Tak przynajmniej powszechnie uważano i tak musiał ocenić sąd, przyznając spadek Łukaszowi Orskiemu.

Wyglądało na to, że się mylili, zakładając oczywiście, że ktokolwiek weźmie na poważnie słowa narkomanki. Mnie Marianna przekonała, opowiadając mi historię ich związku i rozstania. I łatwo było mi uwierzyć, że Rus nie chciał do tego wracać.

Udowodnienie jego pokrewieństwa z Mają nie będzie łatwe, ale wciąż realistyczne. Z pewnością bogacz pozostawił mikroślady i można przeprowadzić badania DNA. Maja okazała się dziedziczką miliardów, a przecież mało co nie utonęliśmy przez brak pięciuset tysięcy na dom.

Wspomnienia sprzed miesiący układały się w mozaikę. Oczywiście Maja wiedziała. Musiała wiedzieć. Właśnie wtedy, kiedy W Imię Natury zaczynało się zapadać, a w nas walnął frank szwajcarski, pojawił się sponsor i grant, a niedługo później moje podejrzenie romansu Mai. A potem ten głupi epizod z Natalią w odpowiedzi na to, że moja żona miała kochanka. A wcale go nie miała, tylko chodziło o ojca i ten ojciec jej pomógł. I to nie pierwszy raz.

Pomógł jej po tym, co się wydarzyło nad Ochrennem. Tylko tak mogła zwać z kraju i w jakiś sposób zdobyć nową tożsamość. Miałem nadzieję, że w tym celu nie zamordowano prawdziwej Mai Pilaszek, ale nie mogłem mieć pewności. Co do niczego.

A potem, jak już pomógł nam z tym grantem, między ojcem i córką mogła zaistnieć jakaś bliskość. W końcu była jego jedynym dzieckiem. Nie wiem, ile to trwało, ale pewnie się skończyło; być może z mojego powodu.

Może Maja zorientowała się, że jestem zazdrosny, a nie mogła wyznać mi prawdy, nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości.

Jaki z tym wszystkim związek miała śmierć Rusa? Jeszcze do tego w Bernie, w Szwajcarii. Czy zniknięcie Mai łączyło się z tymi wydarzeniami?

Chory i słaby, szedłem do jedyne go człowieka, do którego jeszcze mogłem się zwrócić o pomoc. I tak się składało, że miał on całkiem dobry powód, aby mnie nienawidzić. W pewnym momencie poznałem w końcu tę ulicę. Tak, na pewno, bo po drugiej stronie stał rozpadający się sklepik, zupełnie niepasujący do otoczenia. Zobaczyłem mur posiadłości Mroczkiewiczów, a właściwie teraz tylko Grześka.

Szczękając zębami, zadzwoniłem do bramy. Nikt nie odbierał. Przez wysoki mur nie widziałem świateł, choć przecież wiedziałem, że są tam wygodne sypialnie, przestronny salon z wielką kanapą, korty tenisowe, a nawet sauna. Sauna, w której rozpoczął się mój romans z nieżyjącą już panią domu.

Zadzwoniłem ponownie. Dwóch nocnych biegaczy spojrzało na mnie i zaczęło coś szeptać między sobą, odniosłem wrażenie, że chcą do mnie podejść. Miałem nadzieję, że mój wygląd ich odstraszy. Zadzwoniłem trzeci raz, wierząc, że gospodarz jest w domu. Trwało przecież dochodzenie i Grzesiek nie powinien wyjeżdżać. Nie dopuszczałem myśli, że mógł mieć inne lokum, na przykład mieszkanie w mieście.

Zamknąłem oczy, zadzwoniłem kolejny raz i wreszcie usłyszałem zaspane:

– Halo.

– To ja, Mateusz – powiedziałem cicho.

– Jaki Mateusz? – odparł gardłowo. Coś było nie tak w tym głosie. Myślałem przez chwilę, zanim dotarło do mnie, że pewnie pije. Kto by nie pił w jego sytuacji?

– Mateusz Chabrowski – powiedziałem ciszej. Biegacze coś szeptali za moimi plecami. Usłyszałem szelest, jak gdyby ktoś wyjmował telefon z kieszeni kurtki biegowej.

– To naprawdę ty? – zapytał Grzesiek.

– Ja, Mateusz – powtórzyłem.

Pauza. Oczy mi się zamykały, nie mogłem wrócić do lasu.

Co z tych wszystkich tajemnic, które mnie otaczały, jeśli rano będę sztywny?

Czego właściwie dokonałem w życiu do tej pory? Nabiłem parę groszy na obsłudze spółek, dałem zarobić kilku partnerom z Mattera, bogatym prawnikom z Nowego Jorku bądź Londynu, a także przedsiębiorstwom, opracowując przemyślnie i najbardziej korzystnie finansowo rozwiązania prawne. Współtworzyłem Stasia i Igę, to mi się chyba najbardziej udało.

Sekundy mijały wolno, biegaczka za mną powiedziała:

– Przepraszam pana.

Nie odwracałem się. Czekałem.

– Halo – dodał mężczyzna. – Czy pan tu mieszka?

Usłyszałem zgrzyt otwieranej furtki. Wszedłem, nie oglądając się za siebie.

Widziałem zapalone światło nad drzwiami wejściowymi. A wkrótce na ganku pojawiła się znana mi pochyła sylwetka. Zszedł po schodkach w moim kierunku i przystanął. Widziałem, że w pierwszej chwili mnie nie rozpoznał, potem zobaczyłem w jego oczach zaskoczenie. Zaskoczenie, niezrozumienie i niepokój, mimo że wiedział, kim jestem.

– Mateusz – powiedział.

Poczułem ulgę, kiedy go zobaczyłem, pierwszą znajomą twarz od momentu ucieczki z gospodarstwa Parlejów. A za nim dom i wszystko, co się z tym wiązało. Ciepło. Może jakieś leki.

– Biedaku – powiedział, podchodząc bliżej. Ujrzałem zdecydowanie w oczach Grześka. Objął mnie, poczułem silny zapach alkoholu. Skierowaliśmy się do drzwi. Zobaczyłem skrawek komfortowych wnętrz i znów zapadłem w ciemność.

Ocknąłem się. Leżałem na przydługiej kanapie, bez mojego okropnego ubioru, w jakimś czystym T-shircie, bez spodni. Nogę miałem

zabandażowaną. Grzesiek siedział kawałek dalej z solidną szklanką bursztynowego płynu w dłoni.

– Zrobiłem, co mogłem. Jeśli nie obejrzy cię lekarz, skończysz z protezą – powiedział. – O ile dobrze pójdzie.

– Chyba nie jestem w dobrym momencie życiowym na szpital – odparłem.

Wzruszył ramionami, wstał, podszedł do barku i nalał kolejną porcję z karafki do świeżego szkła. Liczyłem, że ta whisky jest dla mnie.

Wręczył mi szklankę i po chwili poczułem, jakbym wylądował w środku dębowej beczki. Alkohol ogrzewał mi gardło. Czułem, że to głupota, ale pociągnąłem jeszcze jeden łyk, podnosząc się na łokciu, a po chwili wypilem całość.

Grześ uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Zapatrzył się w oszklone drzwi swojego salonu. W tym salonie spędziliśmy tyle wesołych chwil z dziećmi i nawet pan domu zdawał się nieźle bawić z Igą i Stasiem. Teraz pokój był opustoszały i jakby zakurzony. Gospodyni nie żyła, moja żona być może również, a na kanapie siedziało dwóch smutnych facetów w średnim wieku. Jeden prawie podeszłym, choć w wyraźnie lepszej formie niż ten młodszy.

– Co się stało? – zapytał i przez chwilę miałem ochotę powtórzyć mu, że nie zabiłem Natalii, zanim zrozumiałem, że nie o to pyta.

Poprosiłem o paracetamol, nie mogłem czekać, aż moje ciało pokona gorączkę. Opowiadanie przychodziło mi z pewnym trudem, ale streściłem Grześkowi dwa ostatnie, najgorsze dni mojego życia.

Kilka razy przełyk przepaliło mi uczucie wstydu, że spałem z żoną tego człowieka. Oskarżałem Maję o romans, a sam zdradziłem wszystkich dookoła. Teraz płaciłem za błędy.

Kiedy opowiedziałem mu o Macieju Rusie, zapytał:

– Co z tego według ciebie wynika?

– Może to, że Łukasz Orski miał motyw, żeby usunąć Maję? A Natalia zginęła przypadkowo?

Skrzywił się.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Muszę jakoś żyć bez niej – odparł. – Tylko czemu miałyby się przebrać za Maję... Tego nie rozumiem.

– Wciąż nie wiem. Posłuchaj – powiedziałem zapalczywie. – Kiedy Maja dostanie pieniądze ojca, dla Orskiego to może oznaczać koniec marzeń o farmie wiatrowej. Więc jeśli moja żona zażąda swojego spadku, jeśli żyje...

Głos mi się załamał i nie mogłem dalej mówić.

Grzesiek wstał i podszedł do mnie.

– Żyje – powiedział, mocno trzymając mnie za ramię. – Słyszysz? Żyje, zapamiętaj to.

– W każdym razie to byłyby już jej pieniądze, jej decyzja, co z tym wszystkim zrobić – dokończyłem.

– I jeśli ją odnajdziesz, co jej powiesz? – zapytał Grzesiek, opadając znowu na fotel.

Wzruszyłem ramionami.

– To jej sprawa – powtórzyłem. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić tych pieniędzy. Maciej Rus chyba nie był najlepszym ojcem, ale przecież już raz jej pomógł, podrzucając nam grant za pośrednictwem Clean World. Śmieszna kwota w kontekście swojej fortuny. Więcej stracił na naszym istnieniu.

Mógł dać jej pieniądze bezpośrednio albo przekazać jako zapłatę za obraz. Tylko że nie uwierzyłbym w taką jego wartość. Grantem miał szansę wspierać nas systematycznie.

Musiał kochać swoją córkę. Może trochę nas lekceważył. A Maja kochała mnie, dlatego poprosiła ojca, aby wsparł swojego przeciwnika.

– A co jej doradzisz jako prawnik i ekolog? – zapytał Grzesiek.

– Nie jestem żadnym ekologiem – odparłem. – I to byłaby jej decyzja. Ale Grzesiu, nie o to chodzi, przecież Łukasz Or...

– Jeśli ją odnajdziesz – przerwał mi, starannie dobierając słowa – to myślę, że powinieneś powiedzieć, aby wsparła tę farmę wiatrową. Przecież to jest wszystko, o co walczyłeś. Wiesz, jaka to jest zmiana.

Zabrzmiało to mechanicznie.

– To nie ma dla mnie w tym momencie żadnego znaczenia, Grzesiek – powiedziałem. – Byle się odnalazła.

Pokiwał głową.

– Pewnie chcesz się przespać – zaproponował w końcu.

Byłem rozgorączkowany i niezbyt śpiący, co nie mogło oznaczać niczego dobrego, więc tylko pokiwałem głową.

– Tak, powinienem odpocząć.

Nie spałem w tej części domu, którą zwykle zajmowaliśmy z dziećmi. Umieścił mnie w wąskiej, ciemnej sypialni; może jednak chciał mnie trochę ukarać. Zapadłem w sen błyskawicznie, ale obudziłem się zlany potem dosłownie chwilę później.

Spojrzałem na zegar ścienny, przespałem dwie godziny i nie miałem pojęcia, czy czuję się lepiej, czy gorzej. Uznałem, że lepiej, choć noga bardzo bolała i bałem się na nią patrzeć.

W domu panowała cisza.

Wstałem, aby pójść po wodę. Miałem słabe pojęcie, gdzie śpi pan domu, ale przynajmniej wiedziałem, jak dotrzeć do kuchni.

Lodówka, zwykle fantastycznie pełna dzięki Natalii i gosposi z Ukrainy, nie wyglądała dobrze. Kilka gotowych dań do odgrzania w mikrofalówce pośród świeżej pleśni. Butelki po małych heinekenach: wszędzie. A więc piwko na śniadanie, a whisky na kolację. Tak Grzechu radził sobie ze śmiercią, może też niewiernością żony, i miał do tego prawo.

Nalałem wody z kranu w dłonie. Wypiłem ją, następnie przeszedłem przez salon i zaległem na kanapie jak koń po długim rajdzie. Musiałem zebrać siły, aby wrócić do łóżka, a moje mięśnie męczyły się teraz bardzo szybko.

W rogu salonu był stół w stylu kolonialnym, na którym leżał macbook. Obok rozrzucono papiery, firma nie mogła się prowadzić sama. Coś wiedziałem o tym, jak funkcjonują biznesy, kiedy nieobecna była „głowa”; nawet moja krótka nieobecność sprawiała, że praca w Naturze nieco zamierała. A przecież tacy z nich ideowcy – denerwowałem się wtedy na moich ludzi.

Zebrałem się, wstałem z kanapy i podszedłem do okna. Chwilę wpatrywałem się w ciemność, w mur otaczający posiadłość, w korony drzew nad nim. Tu, u Grzeška, byłem chwilowo bezpieczny, mogłem zebrać siły i postanowić, co dalej.

Przysiadłem ponownie, przy biurku, na wielkim, wygodnym fotelu, z obiciem wytartym od wytężonej pracy. Poczulem, że jeszcze zasnę, kiedy tylko dotelepię się z powrotem do mojej sypialni. Wiedziałem, że ten kolejny sen przyniesie mi głębszy odpoczynek. Potrzebowałem jeszcze kilku minut, żeby wstać.

Porządku Grzegorz nie utrzymywał. Ja mogłem pracować, tylko kiedy biurko było kompletnie puste, co stanowiło stały obiekt żartów w Naturze. Wysoka sterta papierów rozchodziła się na boki, uporządkowałem ją nieco. Zerknąłem na nagłówek jednej z kartek i wziąłem ją do ręki. To był draft dłuższej umowy.

Mój wzrok zatrzymał się na pierwszych paragrafach. Wahałem się przez kilka sekund, zanim zacząłem przeglądać dokument. A po chwili zrozumiałem, co czytam.

Grzechu sprzedawał swoją firmę Solvex. A więc Ania miała rację, jak zawsze. Ale żeby tak szybko, tak zdecydowanie? Chciałem z nim pogadać, przecież to było dzieło jego życia. I do tego świetny przykład biznesowego wykorzystania akademickiej wiedzy.

Zrobiło mi się przykro. Bezmyślnie przewracałem strony grubego kontraktu, dopóki nie uświadomiłem sobie, że nie czytam już tego dotyczącego sprzedaży Solvexu.

Umowy były dwie, pod spodem znajdowała się kolejna.

Zacząłem ją wertować. Mój gospodarz nabywał inną firmę i dobrze znałem ten jego zakup.

Grzesiek przejmował Power Mobils, firmę Sójki, mojego znajomego, który wsparł działalność Natury pierwszym grantem. Firmę raczkującą teraz w produkcji polskich samochodów elektrycznych.

Kwota była zawrotna, ale Sójka rozkręcił swój biznes w ostatnich latach. Nie miałem mu za złe, że cofnął mi dofinansowanie, potrzebował pieniędzy

na rozwój. A teraz będzie mógł robić co chce za absurdalną wręcz sumę pieniędzy, którą zapłacił mu Grzesiek.

Po chwili uświadomiłem sobie własny błąd: jeśli Łukasz Orski zbuduje tę swoją farmę, jeśli nastawienie do energii odnawialnej w Polsce się zmieni, a za tym nasz węglowy miks energetyczny... wtedy i produkcja samochodów elektrycznych będzie mieć więcej sensu. A jeśli ktoś był pionierem na tym polu i miał przewagę nad innymi, to właśnie Sójka. Właściwie wycenił swój *know-how* i pozycję na rynku, a Grzesiek gotów był mu tyle zapłacić. Cena jest w końcu taka, jaką oferuje rynek za dane dobro.

W głowie mi się nie mieściło, że Grzesiek podjął decyzję tak szybko i w żałobie po śmierci Natalii.

Spojrzałem na macbooka na stole. Wystarczyło otworzyć i wpisać hasło, jeśli nie ma bardziej skomplikowanego sposobu uwierzytelniania. Otworzyłem klapkę.

Zamknąłem oczy. I przypomniałem sobie ten wieczór, gdy już obydwój z Natalią nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą robić w hotelowym pokoju. W obliczu mojego dwuznacznego milczenia zaproponowała, abyśmy obejrzeliby coś na jednym z internetowych serwisów filmowych. Wybraliśmy VOD, nie miałem wykupionego dostępu, więc Natalia podała mi dane do logowania i hasło do konta Grześka. A potem powiedziała: „*Shit*, tylko zaraz zapomnij, Grzesiu używa tego hasła do wszystkiego”.

Tak powiedziała moja ekskochanka i usiłowałem sobie przypomnieć, co to było.

„Jastarnia07” – wpisałem po chwili. Oczywiście chodziło o miejsce i miesiąc ich ślubu.

Zadziałało: po chwili pojawiły się liczne ikonki.

Wszedłem w pocztę: miliony maili z kondolencjami, pozostawione bez odpowiedzi, korespondencja firmowa również. Mnie interesował folder Wysłane. Wpisałem w wyszukiwarce: „Power Mobils” i wyskoczyła mi długaśna wymiana maili.

Grzesiek kupował firmę Sójki od miesięcy.

To, co leżało przede mną, stanowiło efekt długotrwałych negocjacji.

I co z tego? Może od dawna wiedział, jakie plany ma Orski?

Ale pamiętałem też coś innego, nawet nie od Natalii, tylko od Mai, która opowiadała mi o początku ich małżeństwa, kiedy to Grzesiek, zahukany wykładowca po pięćdziesiątce, zakochał się w Natalii na zabój. Zdaniem Mai to Natalia stała za jego późniejszym sukcesem, za tym, że wszedł ze swoją wiedzą na rynek i odniósł sukces.

Nie zawarli umowy intercyzy. To znaczy, że mieli wspólność majątkową. Do podjęcia wszystkich decyzji dotyczących firmy, tak radykalnych jak sprzedaż, potrzebna była zgoda Natalii.

To znaczy, już niepotrzebna.

I czy to złudzenie, czy też rzeczywiście Natalia o tym wspominała? Że usiłowała mu się sprzeciwić? Że bała się, że Grzesiek wariuje i stracą wszystkie pieniądze?

A to, że się go obawiała? Te słowa, które wtedy wypowiedziała: „Mógłbyś się zdziwić”?

Grzegorz to był wizjoner, to wszystko wokół, ten dom i cała reszta, to go nie obchodziło zbyt wiele, Natalia była motorem ich dobrobytu materialnego. Jego samego zajmowały tylko praca i Natalia. Chciała pałacu, więc go zbudowali.

A potem odkrył, że Natalia ma kochanka. Mnie.

Stałem i dygotałem, nie mając pojęcia, czy z gorączki, czy pod wpływem natrętnego potoku myśli: bo jeśli Grzegorz przestał ją kochać, to liczyła się już tylko praca. A Natalia, ta zdradzająca żona, nie chciała sprzedaży firmy.

Nie mogłem czytać dalej. Odwróciłem się, spoglądając w okno, gdzie widziałem swoje słabe i bardzo blade odbicie.

W rogu pokoju zapaliło się światło, lampka biurowa na jednej z szafek.

Oświeciła wnętrze na tyle, że zobaczyłem, że tam siedzi. Wpatrywał się we mnie, a oczy mu błyszczały. Nie było go w sypialni, bo nigdy do niej nie dotarł. Zaległ tam, gdzie pił, a może w ogóle nie zaległ, tylko dalej tankował.

Pił, bo zamordował żonę, a nie bo ją stracił. Pił ze strachu, a może też z utraconej miłości.

I nie spoglądał przyjemnie.

– Używaj sobie dalej wśród moich rzeczy – oznajmił. – Śmiało. Co moje, to twoje.

– Grzesiek... – zacząłem, ale wszedł mi w słowo:

– Co ci z tego przyszło, że to przeczytałeś, Mateusz? Jak oceniasz umowę z punktu widzenia rasowej gnidy prawniczej? Pożaluję biznesu? Znalazłeś jakieś kruczki? No powiedz, kochany chłopcze. Skoro już wsadziłeś w to nos i przeczytałeś. Czy robię dobry interes?

– Grzesiek, naprawdę nie wiem.

– Kto jak kto, ale ty wiesz – powiedział podniesionym głosem – bo ty w tym siedzisz. Będzie koniunktura dla samochodów elektrycznych w Polsce?

– Posłuchaj...

– Wiesz, jakie świetne projekty realizujemy teraz na politechnice? – przerwał mi ponownie.

– Czytałem.

Grzesiek już mnie jednak nie słuchał. Zaskoczyło mnie, jak bardzo się podekscytował.

– Zebrałem naprawdę fantastyczny zespół – powiedział. – Wygraliśmy konkurs, a to dopiero początek. Wkrótce ci wszyscy zdolni ludzie będą pracować u mnie jako inżynierowie. A jeśli klimat się zmieni, to i dla nas powstanie rynek. Będziemy przygotowani na polskie auta elektryczne i polskie stacje dokujące. Myślisz, że to mrzonka?

Milczałem.

– Może i tak – skwitował. – Ale tym chcę się teraz zajmować.

– A Natalia? – zapytałem.

– Co Natalia? – Siedział i patrzył na mnie, wstawiony, ale czujny.

– Jak ona zapatrywała się na twoje plany? Akceptowała sprzedaż firmy?

– A co to ma do rzeczy? – zapytał.

– Sporo. Bo jeśli nie akceptowała, to raczej nie mogłeś sprzedać Solvexu bez jej zgody, prawda?

– Natalia nie była przeciwna – powiedział.

– Czyżby? Słyszałem co innego.

Sekundę po tym, jak to powiedziałem, zorientowałem się, jak to zabrzmiało.

– Ty skurwysynu – wycedził. – Powinienem cię zostawić na dworze, żebyś zdechł jak pies. Opatrzyłem cię i przebrałem. Umyłem, choć było mi niedobrze.

– Tak, wtedy na pewno nie dowiedziałbym się o twoich zamierzeniach – powiedziałem. – O tym, że śmierć Natalii leżała w twoim interesie.

– Nie zrobiłem tego – powiedział.

– W każdym razie miałeś solidny motyw. Ewentualny rozwód kosztowałyby cię zbyt wiele. No i odwet...

– To od ciebie wszystko się zaczęło – powiedział, wstając z fotela. Był ode mnie starszy, słabszy fizycznie, ale przecież teraz ledwo chodziłem. – Ale chcesz naprawdę wiedzieć, co jest w tych papierach, chcesz?

Podchodził szybkim krokiem do biurka.

– To są umowy – powiedziałem. – Przed chwilą o tym rozmawialiśmy.

Nie słuchał, potrząsał tylko głową.

– Nie, mylisz się, Mateusz, cały czas się mylisz. To jest gdzie indziej, te papiery to tylko atrapa.

Patrzyłem na niego zahipnotyzowany i sekundę za późno dotarło do mnie, na co mu pozwoliłem. Próbowałem złapać go za ramię, ale uchylił się, szybko jak na swój wiek. Straciłem równowagę, rąbnąłem czołem w otwartą szufladę i upadłem na ziemię.

Krew spływała mi po twarzy, a kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem lufę pistoletu. Lśniący, nowy i dobrej jakości. Pewnie nierejestrowany. Bogacze musieli jakoś bronić swojego dobytku.

Podniosłem się powoli. Nie chciałem umierać na kolanach. Usłyszałem szcęk kurka.

– Pomyśl o moich dzieciach – powiedziałem.

– W dupie mam twoje bachory.

– Nie wytłumaczysz się z tego.

– Czyżby? Zbiegły morderca mojej żony włamuje się, aby usunąć i mnie. Czy to nie jest stan wyższej konieczności, prawniku?

– Nie do końca.

– Zamknij się! – ryknął. – Mam cię dość, i tej twojej kurwy, od kiedy się pojawiliście w naszym życiu, wszystko się spieprzyło, a byliśmy z Natką tacy szczęśliwi.

Wiedziałem, że nigdy tak nie było. Ale czy pozostało cokolwiek do powiedzenia? Dzielilo nas kilka metrów, mogłem skoczyć, ale poczułem się bardzo zmęczony. I dziwnie winny. Wyprostował rękę. A potem strzelił.

Cicha leśna uliczka okazała się idealna, nie mógł sobie wymarzyć lepszego miejsca. Mimo to ręce Żeni trzęsły się, kiedy zsuwał się z dachu budki naprzeciwko posiadłości Mroczkiewicza. Nauki czeczeńskich najemników znowu się przydały, przywarł do ziemi jak glista. Był niewidoczny z nieoświetlonej drogi, ale sam widział, czy ktoś nie nadchodzi.

Prawnik miał doprowadzić go do żony. Za to Żenia otrzymał pieniądze. Tylko że to okazało się trudniejsze, bardziej kłopotliwe niż wszystko, z czym miał do czynienia do tej pory. Uważał się za sprawnego wykonawcę, ale zadanie przekroczyło jego możliwości. Odnosił wrażenie, że nie ma wszystkich danych na temat prawnika, klient też nie był zbyt rozmowny, więc już nic z tej sprawy nie rozumiał, a pozornie całkiem proste wydobycie informacji od Chabrowskiego zmieniło się w bezsensowne ściganie go po całej Polsce.

Ale otrzymał pieniądze, pracę należało wykonać. Ponadto nie znał klienta, nie miał pojęcia, kim jest i kto za nim stoi. Czy mocodawca go obserwuje, czy jeśli zwieje, już pierwszego dnia nad Atlantykiem nie skończy z poderżniętym gardłem.

Myślał teraz tylko o Portugalii. Policzył, że po ostatniej wypłacie ma dość pieniędzy. Zerwie z tym wszystkim. Z zimną Europą Środkowo-Wschodnią, pełną świrów i zбочeńców. Południowcy byli mu bliżsi, pamiętał z Odessy dobrze zbudowanych Hiszpanów i Włochów. No i uwielbiali motory, choć głównie stowudziestki i pięćdziesiątki i ścigacze.

Tropiąc prawnika, Żenia miał czas na rozmyślanie. O tym, że może znajdzie na miejscu klub pięściarski. Nie był w końcu jeszcze taki stary, na olimpiadzie nie wystąpi, ale mógłby jeszcze trochę poboksować zawodowo. A może spotka kiedyś starego trenera z Odessy i pokaże mu, że wyrósł

z niego zawodnik. Wiedział, że trener, jeśli się nie zapił, będzie z tego powodu szczęśliwy.

Już na mokrej ziemi Żenia rozkręcił broń. Użył tłumika i nikt z okolicznych nie mógł słyszeć wystrzału. Brzdęk rozbijanej szyby nie poniósł się daleko.

Czuł zmęczenie i senność po długiej obserwacji domu. Całe szczęście jednak, że tak zrobił. Mąż Natalii Mroczkiewicz okazał się całkiem nieprzewidywalny. Żenia zastrzelił tego faceta, bo Chabrowski musiał jeszcze żyć, musiał doprowadzić go do żony.

Spakował swój karabin AWP do torby i czekał.

Po kilku minutach Chabrowski wyszedł z domu, rozglądając się na boki. Wyglądał jak trup, jakby miał się rozsypać. Żenia zaniepokoił się, facet nie mógł zejść, zanim nie odnajdzie swojej żony. Ale prawnik jakoś powłókł się dalej, wyraźnie utykając. Niestety, nie wyglądał na takiego, który wie, dokąd zmierza. Żenia nie musiał specjalnie uważać. Czuł, że Chabrowski nie usłyszałby go, choćby szedł metr za nim.

Wysunął się z zarośli, stąpając cicho jak ryś po wytartej ścieżce biegnącej wzdłuż krawędzi lasu. To ostatnie zlecenie, które przyjął, miał już pewność.

To poczucie natchnęło go świeżą energią i zachciało mu się śmiać z własnych problemów – kulejący facet, za którym podążał, nie mógł być aż takim wyzwaniem.

Nie pamiętałem, jak wydostałem się z domu Grześka, nie zadbałem, by wytrzeć odciski palców i wszystko inne, co mogło mnie później pograżyć. Widziałem tylko precyzyjną dziurkę w głowie gospodarza i zdziwiony wyraz jego rozumnej twarzy.

Może zobaczył to ułamek sekundy wcześniej, światełko zza okna, czerwony punkcik czy cokolwiek innego, zanim strzał przeszedł przez szybę i odebrał mu życie. Runął w chwili, gdy szkło rozbiło się w drobny mak. Przez chwilę leżałem bez ruchu, a potem pokuśtykałem na zewnątrz.

Nikogo nie dostrzegłem. Słyszałem odgłosy lasu, ale żadnych syren, nic.

Czekałem. Może dźwięk nie przedostał się na ulicę, hałas rozbijanej szyby został zniwelowany przez mury i rozłożyste drzewa. Ale co ze strzałem? To, że ja go nie usłyszałem, o niczym nie świadczyło. Grzesiek był martwy, zastanawiałem się tylko, ile minie czasu, zanim znowu będę miał na głowie policję.

Wyszedłem na ulicę i chwilę później maszerowałem leśnymi drogami z powrotem w stronę miasta. Ciało Grześka pozostawiłem za sobą i dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że mogłem wziąć jego volvo.

Zawahałem się, ale teraz było już za późno. Któryś z sąsiadów, albo nawet szalonych nocnych biegaczy, mógł zadzwonić na policję. Nie mogłem tego wykluczyć i nie miałem pewności, czy jestem w stanie prowadzić samochód. Bolał mnie każdy nacisk na chorą nogę.

Dwugodzinny sen nie przywrócił mi sił. Słaniałem się, kulejąc, i wiedziałem, że nie ujdę zbyt daleko. Nikt nie nadjeżdżał, wciąż nie słyszałem syren i miałem już prawie pewność, że nikt nic nie usłyszał. Grześka znajdzie dopiero sprzątaczką, policja, jeśli wciąż się nim interesowała, pracownicy Solvexu albo któryś z tych genialnych studentów.

Do tego momentu minie jednak trochę czasu i będzie tam leżał – z dziurą w głowie, w swojej ogromnej willi, zastrzelony przez nieznanego sprawcę. Nie zrealizuje ambitnych planów w dziedzinie transportu elektrycznego. A jeśli ktoś byłby zdolny je wcielić w życie, to właśnie Grzesiek.

Czy to na pewno on zamordował Natalię? Może i miał motyw, ale jak się to wiązało z Ochrennem? Z Jonaszem Marcem i moją żoną?

Teoria o mężu – mordercy rozłąziła się w szwach i starałem się nie utwierdzać w przekonaniu, że Grzesiek zginął przede mną. Że gdybym nie sprowokował go swoimi podejrzeniami, nie wymierzyłby we mnie pistoletu. Co z kolei zaktywizowało strzelca, kimkolwiek był.

Minąłem już willową okolicę, przede mną był park zdrojowy. Wiedziałem, że nie ujdę wiele dalej. Zrobiło się już nieco jaśniej, ale do świtu pozostało kilka godzin. Drżałem z zimna, przemierzając te wybrukowane uliczki z wypielegnowanymi trawnikami. Bezskutecznie szarpałem za drzwi parkowych budynków. Wszystkie były zamknięte.

Dotarłem do tężni solankowej – chodziła nawet i o tej porze, mała dawka morskiego powietrza pod Warszawą. Podszedłem do ogrodzenia zrobionego z czegoś pomiędzy sianem a chrustem. Drzwi do tężni były z tego samego materiału, lecz z zasuwką od środka. Mocowałem się chwilę z haczykiem, zanim udało mi się je otworzyć.

Napis na tabliczce nie kłamał. W środku poczułem się jak nad morzem. Ten aromat, zapach jodowanej atmosfery momentalnie przywołał wspomnienie z wakacji, na które jeździliśmy całą rodziną do Poddąbia, małej nadmorskiej miejscowości. Tam, gdzie nad skarpą rosły piękne buki, a większość wczasowiczów mieściła się w przedziale wiekowym poniżej dziesięciu albo powyżej osiemdziesięciu lat. To oznaczało, że Iga ponownie nie miała szczęścia i stale musieliśmy ją przekupywać goframi, aby dała nam żyć.

Usiadłem na ziemi, bezradny, i rozpłakałem się znowu. Nie było tu wiele cieplej niż na dworze, ale miałem to gdzieś. Jeśli dane mi było już się nie obudzić, to nic takiego. Straciłem wiarę, energię i siły, by czuć się odpowiedzialnym za rodzinę.

- Włamał się tutaj.
- Teraz wszędzie ich pełno, zalegają, śmierdzące, w tramwajach.
- Och, przestań, gdzie mają się podziać, kiedy jest zimno?
- Nie ma dla nich jakichś przytułków?

Otworzyłem oczy. Ostatnie słowa należały do jakiegoś chłopaka. Był z dziewczyną w swoim wieku. Obydwoje w kurtkach z napisem „obsługa”. Skostniałem z zimna, ale czułem się chyba lepiej, przepełniony tym morskim powietrzem. Próbowałem wstać, noga odmówiła posłuszeństwa. Dziewczyna, cała obsypana piegami, ruszyła w moją stronę, ale chłopak zatrzymał ją gestem.

– Co ty! – powiedział. – Zarazi cię jakimś syfem.

Spojrzała na niego zimno i wyrwała się. Pochyliła się nade mną i pomogła mi wstać.

– Nic panu nie jest? – zapytała.

– Wszystko – odparłem, ale byłem jej wdzięczny.

– Nie trzeba pana zabrać do szpitala?

– Nie. – Skierowałem się już w stronę wyjścia.

– Ma pan się gdzie zatrzymać? – Słyszałem za plecami słowa dziewczyny, a potem drwiący głos chłopaka:

– No i masz swoją pomoc.

– Och, zamknij się – odparła. Wydała mi się miła i chciałem jej podziękować. Innym razem.

Kuśtykałem, przemierzając park zdrojowy, zapełniający się już spacerowiczami. Wiedziałem już, dokąd zmierzam.

Cała Polska знаła tę najdroższą w kraju posiadłość, prywatne miasteczko Macieja Rusa. Miejsce, gdzie bogacz pozmieniał nazwy ulic zgodnie ze swoim życzeniem i stworzył sobie państwo w państwie. To miejsce odziedziczył teraz Łukasz Orski.

Nie wiedziałem, czy Maciej Rus przekazał swojemu pasierbowi prawdę o Mai.

Jaka istniała więź między tymi mężczyznami? Jakim człowiekiem jest Łukasz Orski?

Nie miałem nic do stracenia, musiałem zaryzykować. Jeśli ktoś jeszcze był zainteresowany odnalezieniem mojej żony, to właśnie on.

O ile nie zajął się tym wcześniej.

Konstancińskie wille wyglądały jak budki z piwem przy fortecy Orskiego. Zza muru nie mogłem dojrzeć domu, ale widziałem ciągnącą się przestrzeń, tak jakby posiadłość była siedzibą plantatora z okresu wojny secesyjnej. Pod bramą stał strażnik i przyglądał mi się uważnie, kiedy podchodziłem niepewnym krokiem w mojej cudacznej kurtce.

Nie miałem jednak innego wyjścia, niż podejść do cerbera i poprosić o rozmowę z panem domu, spadkobiercą jednego z najbogatszych Polaków i wszystkich jego interesów.

– Chciałbym się zobaczyć z Łukaszem Orskim – poinformowałem strażnika, wielkie bydlę z irokezem na głowie i w długiej puchówce z futrzanym kapturem.

– Nie sędzę – odparł.

– Muszę z nim porozmawiać – powiedziałem.

– Spierdalaj lepiej stąd, zanim cię jebnę, choć Bóg mi świadkiem, że się brzydzę – odparł.

– Muszę z nim porozmawiać – powtórzyłem.

– Masz dziesięć sekund, żeby się ulotnić.

Patrzył jednak z zainteresowaniem, rysem okrucieństwa w oku. Wystarczyło, żebym dał mu okazję; co z tego, że się brzydził. Nudził się tutaj cały dzień. Zapewne chętnie skatowałby bezdomnego.

Z pewnym żalem podniósł nieco kurtkę i zobaczyłem kaburę.

– Proszę przekazać, że chce z nim rozmawiać Mateusz Chabrowski.

Na twarzy strażnika niechęć przeszła w zdziwienie. Widziałem telewizor w ekskluzywnej budce strażniczej. Oglądał wiadomości, cokolwiek w nich o mnie gadali.

– Cyganisz, dziadku – oznajmił w końcu. – Widziałem zdjęcia, tamten facet jest dwadzieścia lat młodszy.

Sięgnąłem do kieszeni. Krzyknął ostrzegawczo.

– Tylko po portfel – powiedziałem, a jego dłoń pozostała na kaburze. Wydobyłem dowód i wręczyłem mu. Spoglądał to na fotografię, to na mnie i widziałem ten wysiłek umysłu, bo przecież jakieś podobieństwo wciąż było, ale w „normalnym życiu” nosiłem włosy zaczesane do tyłu, ciemne i lśniące, a teraz miałem na głowie brudną szczecinę ze strupami i wygląd narkomana.

– Poczekaj tu – warknął, a kiedy obróciłem się, żeby znaleźć miejsce, gdzie mógłbym usiąść, żeby odpocząć, dodał: – A spróbuj się ruszyć o metr, widzę cię.

Zniknął na pięć minut, a kiedy wrócił, na kwadratowej twarzy miał wypisaną ciekawość.

– Chodź – powiedział. Przeszliśmy przez bramę. Wciąż nie widziałem domu. Szeroka szosa ciągnęła się w dal między równo przyciętymi trawnikami, teraz przyprószonymi śniegiem, ale czyściutkimi i bez żadnych liści.

Cerber był tuż za mną. Opierałem się na jednej nodze, bo kiedy stałem prosto, ból przeszywał mnie do trzewi.

– Na co czekamy?

Nie odpowiedział.

W końcu zobaczyłem ciemny kształt zbliżający się do nas jak powolny robal. Idealnie przyklejona do drogi bmw siódemka. I to w jakiejś powiększonej wersji, pojazd był gigantyczny. Po takim nowoczesnym, bogatym luzaku jak Łukasz Orski spodziewałbym się hipsterskiego jeepa, a przyjechało po mnie typowe mafijne auto.

Samochód zatrzymał się bezszelestnie, po czym wyskoczył z niego wizualny brat bliźniak cerbera; nie patrzył ze zdziwieniem, tylko doskonałą obojętnością, która podobała mi się jeszcze mniej. Z bliska widać było, że jest jednak starszy od strażnika; czterdziestolatek z brzuchem, ale ogromny i nabity, musiał ważyć ze sto dwadzieścia kilo.

Bez słowa otworzył przede mną drzwi, nie było w tym uprzejmości.

Z tyłu nikt nie siedział. Przejechaliśmy z kilometr, zanim zobaczyłem beżową fasadę całkiem nowoczesnego budynku z ogromną liczbą okien. Media nie kłamały, posiadłość była monstrualna, kilka tysięcy metrów kwadratowych, ale mimo to całkiem zgrabnie wkomponowana w płaskie mazowieckie przestrzenie i zabudowania parkowe.

Kierowca minął front budynku z szerokimi drzwiami wejściowymi i na rondzie skręcił w kierunku budynków gospodarczych, a może gościnnych. Chyba jednak to ostatnie, oceniłem po architekturze tych kilku piętrowych, murowanych domków, o takiej samej piaskowej fasadzie jak budynek główny.

Mój opiekun wysiadł i bez popychania, ale też bez uprzejmości skierował mnie do pierwszego z nich. A potem schodami w górę. Wspinałem się z trudem. Cerber numer dwa cierpliwie za mną podążał. Poprowadził mnie do prostego pokoju, przypominającego hotelową sypialnię. Bez słowa zamknął drzwi, ale nie na klucz.

Usiadłem na łóżku. Wiedziałem, że nie mogę położyć głowy na poduszce. Czekałem.

Po kilkunastu minutach usłyszałem szybkie kroki i w pokoju pojawił się facet w zwykłym swetrze i dżinsach, odrobinę tylko lepszych niż z Zary czy H&M. Wyglądał starzej niż na zdjęciach w gazetach, musiał być już po czterdziestce, ale odmładzały go żywe oczy i uśmiech: szeroki i ufny, jakby się z takim urodził.

Spojrzał na mnie, a oczy mu się śmiały, kiedy zajął krzesło naprzeciwko.

– Ależ pan wygląda! – powiedział.

Kiwnąłem głową.

– Kiedy przekazali mi, że pan tu dotarł, w głowę zachodziłem, jak udaje się panu tak swobodnie podróżować. No a teraz już chyba rozumiem.

Uścisnął mi rękę. Mocno i konkretnie.

– Łukasz Orski.

– Wiem. Chabrowski.

– Już kiedyś się spotkaliśmy. Na sali sądowej.

– Naprawdę?

– Jestem radcą prawnym. Tak jak pan.

– Jestem adwokatem.

– Pracowałem w zespole obrońców Energy Future w sprawie Elektrowni Tarków. Więc może nie zwrócił pan na mnie uwagi, bo głównie robiłem notatki. Ale to już przeszłość, bo teraz już bardziej biznesmen ze mnie niż papuga – zaśmiał się znowu. Dopiero po chwili zobaczył moją nogę, cokolwiek z niej zostało. Zaklął. – Nieźle się pan urządził – zauważył.

– I jak było w roli adwokata diabła? – zapytałem.

– Okropnie! – powiedział. – Chyba pan słyszał, że wcale tego nie wspieram. Dla mojego ojczyma liczyły się tylko interesy, rządowi chcieli węgla, bo związkowcy i wyborcy go chcieli, bo z pozoru jest tani... to go dostali. Ale ja stoję po drugiej stronie barykady.

Pokiwałem głową.

– Ale niech pan mi powie, bo już ze dwadzieścia minut się nad tym zastanawiam – powiedział Orski – co zbiegły prawnik, podejrzany o zabójstwo, robi w moim domu? Zamierza pan prosić o wsparcie działalności? Zdobyłby pan mój szacunek. Nie boi się pan, że wezwę policję?

– Wie pan, że zaginęła moja żona? – odpowiedziałem pytaniem.

– Słyszałem. Przykro mi.

– Mam powody sądzić, że była córką Macieja Rusa.

Zamrugnął oczami, a potem parsknął śmiechem.

– A to ciekawa informacja!

Patrzyłem na niego, jakbym chciał go przeświecić, ale za nic nie umiałbym odkryć kłamstwa na tej uśmiechniętej twarzy jak z gumy. Stary Rus był biznesmenem dawnego typu, pańskim jak siedemnastowieczny magnat. Jego pasierb wyglądał jak nowoczesny kupiec, rzutki i sprytny, co to dogada się z każdym i każdego może zrobić w konia.

– Ciekawa dla pana – zauważyłem.

– Jeśli prawdziwa. Czy to sprawdzone? Skąd pan to wie?

– Od jej matki.

– Jest wiarygodna? – zapytał. Czyżbym zobaczył cię przebiegający przez gładkie czoło? – To znaczy, sporo jest takich wariatów. Nie mówię, że ona do nich należy. Ale to są skomplikowane sprawy, żeby udowodnić pokrewieństwo.

Pokiwałem głową.

– A jeśli to prawda, to znaczyłoby, że jesteśmy powinowaci – zaśmiał się.

– I że moja żona ma prawo do majątku ojca.

– Czy podejrzewa pan, że ją porwałem?

– Jeśli wiedział pan o pokrewieństwie, kto miałby lepszy interes, aby zrobić mojej żonie krzywdę?

– Ale skąd... – zaczął Orski, ja jednak ciągnąłem dalej:

– Co z farmą wiatrową, na którą przeznaczają pan majątek ojczyzna? Co, jeśli badania wykażą, że Maciej Rus był jej ojcem? – Szedłem na całość, choć wykańczała mnie już ta gra. Za matterowych czasów rozegrałbym Orskiego jak partię szachów. Teraz chciałem tylko znać prawdę.

Wzruszył ramionami.

– Pokrewieństwo trzeba udowodnić w sądzie. Należy mieć podstawy, żeby wnieść wniosek. I musi być wnioskodawca... Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale czy ma pan pewność, że ona żyje?

Nie miałem.

– Wyskakując z tym, naraża się pan na podejrzenia naciągactwa – kontynuował Orski. – A to nieładnie. Daleki jednak jestem, żeby to panu przypisać. Szanuję pana działalność, stoimy przecież po tej samej stronie barykady i moglibyśmy ramię w ramię walczyć o zieloną energię. Jak to było: „początek pięknej przyjaźni”? Zawodowej? No, co pan sądzi?

Wpatrywałem się w tę pewną siebie twarz i nie mogłem uwierzyć w jego dwulicowość. A może zwyczajnie nie wiedział, że obciął mi finansowanie? Może takie pierdoły ogarniali za niego podwładni? On z kolei wpatrywał się we mnie, ale czułem, że myślami jest już gdzieś dalej. Zerknął na zegarek.

Czy jednak mogłem odmówić?

– Tak – oświadczyłem. – Przyjmuję pomoc.

– No to w takim razie jeszcze pogadamy – powiedział Orski, podnosząc się z krzesła. – Ale najpierw powinien się pan przespać, to może inaczej spojrzysz pan na to wszystko. Zdaje się, że jest pan bardzo zmęczony. Przyślę kogoś z kolacją. I... – pociągnął nosem, spoglądając z fascynacją na moją nogę – lekarza też przyślę.

Po wyjściu Orskiego odczekałem trochę i korzystając z poręczy, zszedłem na dół: na parterze znalazłem aneks kuchenny z salonem i telewizor na ścianie. Cały domek był kompaktowy, wygodny. Pociągnąłem za klamkę, drzwi były zamknięte na klucz, podobnie okno. Zerknąłem na dziedziniec, powoli zaczynało się ściemniać.

Może było tu wygodnie, ale pozostawałem więźniem. Zaległem na łóżku, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłem. Nie czekałem nawet na jedzenie i obiecanego lekarza. Ciało wskazało mi, czego potrzebuję najbardziej.

Śniło mi się, że leżę na szpitalnym łóżku, a lekarz z wypolerowaną łysiną ogląda moją ranę, przemawiając uspokajającym tonem. I taką to stanowiło ulgę, że wreszcie ktoś się mną zajął i że nie stracę nogi, że rozplakałem się w tym śnie, szczęśliwy przez moment i bez żadnych kłopotów.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że przecież wciąż nie odnalazłem Mai. A lekarz pochylał się nade mną i coś mruczał. Chciałem mu przekazać, że niestety, ale muszę już iść. Zamiast tego zacząłem bełkotać.

– Teraz nigdzie się pan nie wybiera.

Otworzyłem oczy. Stał nade mną facet z włosami i brodą, różnił się od lekarza ze snu, ale przemawiał do mnie tak samo, oglądając nogę z zawodowym zainteresowaniem w oczach.

– Ortopedą nie jestem, ale chyba wdało się zakażenie. Rana goi się z opóźnieniem – powiedział. – Gdzie się pan tak urządził?

Patrzyłem na niego otepiały. Nie było przy nas strażników, a przecież lekarz musiał otworzyć sobie drzwi wejściowe. A więc uznano, że jestem bezbronnym inwalidą.

Wstałem bez słowa. Potrącając lekarza, skierowałem się w stronę schodów. Rolki bandaży ciągnęły się za mną.

– Gdzie pan idzie?! – krzyknął za mną.

Ignorując ból, zszedłem po schodach i szarpnąłem za klamkę drzwi wejściowych. Były otwarte. Widziałem z daleka ochroniarzy, palili na zwirowanym dziedzińcu. A po mojej prawej stronie, po stronie pozostałych domków gościnnych, nikogo nie dostrzegłem.

Lekarz coś wrzeszczał, zbiegając po schodach. Ruszyłem w prawo, w stronę kolejnego budynku. Pchnąłem jego drzwi i zobaczyłem takie samo wnętrze jak w pierwszym.

– Maja?! – krzyknąłem. – Julia?!

Cisza. Ale wiedziałem, że gdzieś tu jest, musiała być. To moja ostatnia szansa. Pozostał trzeci domek.

– Maja?! – powtórzyłem. Już nie słyszałem lekarza za plecami, tylko hałas niczym stada byków. Ochroniarze biegli w moją stronę.

Pchnąłem drzwi ostatniego z domków.

– Maja?! – krzyknąłem. Cisza.

Pochyliłem głowę. Dlaczego myślałem, że odnajdę tu żonę? Bo sądziłem, że nie ma innego wyjścia, niż zwrócić się po protekcję i pomoc do swojej drugiej „rodziny”?

Maja w ogóle nie interesowała się gospodarką, polityką zaś w minimalnym stopniu. Interesowaliśmy ją my i jej sztuka. Przecież gdyby wiedziała o ambitnych planach Orskiego... nie ryzykowałaby. Fortuna Rusa i rewolucyjna inwestycja to zbyt dużo, by pozwolił jej żyć.

Więc nawet jeśli do niego przyszła, może już było po sprawie. Zginęła, a ja nadstawiałem zmaltretowany kark.

Obejrzałem się. Sfora Orskiego była już blisko. Skuliłem się w oczekiwaniu na uderzenie. Stałem tak w drzwiach, bez motywacji i siły, aby się ruszyć.

I wtedy gdzieś z góry usłyszałem najpiękniejszy dźwięk świata. Lekko zachrypnięty głos mojej żony.

– Matek? – zapytała Maja, zapalając światło i ukazując mi się na schodach.

Przytulała się do mnie, nawet kiedy dopadli nas ochroniarze. Nie chciała mnie puścić, a ja nie chciałem, żeby odeszła.

– Zostawcie go! – krzyknęła.

Była kobietą mojego życia, matką moich dzieci i nawet jeśli mnie okłamywała, to nie miało to teraz żadnego znaczenia.

Jeden z mężczyzn chwycił Maję stanowczo za barki i ciągnął z powrotem w stronę domku. Szamotałem się z kolejnym, udało mi się zanurkować do jego kurtki i wyjąć z niej telefon. Wsunąłem go do kieszeni, na sekundę zanim ochroniarz wykręcił mi rękę.

– Orski! – krzyknąłem. – Chcę porozmawiać z Orskim!

– Nie ma go – usłyszałem.

– Przekażcie mu, że mam propozycję.

Nie widziałem Mai, już zatrzasnęli za nią drzwi, znowu ją straciłem. Mnie samego właściwie wlekli. Kolana szurały po ziemi, śnieżnobiałe przed chwilą bandażę zabarwiały się na brązowo.

– Przekażcie mu – powtórzyłem. – Gdybym nic nie znaczył, już by mnie tu nie było, prawda?

Starszy od innych ochroniarz o stalowoszarych włosach i jedyny, w którego spojrzeniu widziałem ślad inteligencji, zawahał się.

– Chwila – powiedział, na co tamci przestali mnie ciągnąć, ale wciąż trzymali mocno za ramiona. Wyprostowałem nogę, czując wściekły ból.

– Dzwonię – dodał siwy po chwili.

Odszedł na bok, wydając krótkofalówkę. Spoglądałem na niego w napięciu, a pozostali ze znużeniem.

– Czekać tu – powiedział.

Nigdzie się nie wybierałem. Chwilę to trwało, staliśmy na zimnie, zacząłem drzeć. Było ze mną czterech, bo ten, który wciągnął Maję do domku, już wrócił.

Po pięciu, może dziesięciu minutach drzwi frontowe głównego domu otworzyły się, a potem zobaczyłem Orskiego zmierzającego do nas energicznie. Odgłos kroków odbijał się echem na płaskiej, rozległej przestrzeni.

Gospodarz już się nie uśmiechał. I nie odzywał. To ja miałem coś zaproponować.

– Chcę ją tylko odzyskać, żadne z nas nie pragnie twoich pieniędzy. Nie interesuje mnie, co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś. Wyjedziemy z kraju – wyjaśniłem.

Już nie widziałem roześmianego, nowoczesnego przedsiębiorcy. Patrzył na mnie chłodnym wzrokiem. Ochroniarze odsunęli się od nas, stali w odległości kilku metrów; nie musiał wydawać im poleceń. Widziałem już, że nie tylko dowodzący grupą, ale i pozostali mają zmarszczki na twarzach. Może pracowali jeszcze dla starego Rusa, a ta posiadłość kryła w sobie więcej tajemnic.

Gospodarz powoli pokręcił głową.

– Ludzie są chciwi. Będzie chciała odzyskać swoje pieniądze – powiedział.

– Pomyśl: wyjedziemy, a ty usuniesz wszelkie ślady DNA po swoim ojczymie, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś – odparłem. – Stać cię na dobrych prawników, takie procesy trwają latami. Czy myślisz, że będziemy ryzykować życie? Mamy dwoje dzieci.

Z pewnością już podjął decyzję. Może nie chciał więcej zbrodni. Ale nie mógł pozwolić Mai odejść.

Wpatrując się intensywnie w Orskiego, miałem zawężone pole widzenia i może dlatego z kilkusekundowym opóźnieniem dotarło do mnie, że z bmw pod domem coś się dzieje. Ktoś krzyknął cicho, usłyszałem odgłos silnika, a kiedy Orski odwrócił się w stronę domu, auto jechało już do nas. Szybko.

Jeden z ochroniarzy ruszył w kierunku samochodu i to on odbił się pierwszy od maski. Zaraz potem bmw gwałtownie zaparkowało i nie zdążyłem nawet zauważyć, skąd po kilku sekundach dobiegły dwa strzały, po których ochroniarze padli na ziemię. Gdzieś z tyłu usłyszałem trzaśnięcie drzwiami.

Orski schronił się w domku gościnnym.

Obracałem się wkoło otępiały, kiedy poczułem szarpnięcie. Tuż przy mnie stał ubrany na czarno mężczyzna w kominiarce.

– Gdzie ona jest? – zapytał z dziwnym akcentem.

Wpatrywałem się w niego bez słowa.

– Gdzie ona jest? – powtórzył i uderzył mnie w twarz. – Nie mamy czasu, jestem po twojej stronie.

Zmysły wracały powoli: co ryzykowałem? Widziałem przedtem decyzję w oczach Orskiego. Że nie pozwoli nam odejść, opuścić tej posiadłości. Nikt nie wiedział, że tu jesteśmy. Nikt by się nie dowiedział. Cokolwiek reprezentował ten człowiek, nie mogło być gorsze. Wskazałem trzeci domek.

– Pójdę po nią – powiedziałem, ale w tym momencie otrzymałem potężne uderzenie w splot słoneczny, po którym zgiałem się w pół i zabrakło mi tchu. A kiedy się podniosłem, mężczyzny w czerni już nie było.

Rzuciłem się w stronę domku, nie mogłem ponownie jej stracić, nie mogłem pozwolić, by zrobił jej krzywdę.

Nie miał takiego zamiaru. Szybko pojawił się w drzwiach, prowadził Maję za sobą, trzymając ją za rękę.

– Do auta – powiedział. – Już!

Skierował nas na tylne siedzenie bmw, które zostawił na włączonym silniku.

Orski musiał tymczasem zadzwonić po wsparcie, bo nagle jego ludzie byli wszędzie. Pojawiły się inne auta, słyszałem krzyki.

– Na podłogę – rozkazał mężczyzna w czerni.

Spojrzałem na Maję, która nie reagowała. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w przyciemnianą szybę. Złapałem żonę i ściągnąłem w dół.

Przykryłem ją sobą i wyciągnąłem telefon, który zwinąłem ochroniarzowi, modląc się, żeby nie był zabezpieczony.

Mężczyzna ruszył, po ryku silnika rozpoznawałem, że jedziemy coraz szybciej. Ze swojej pozycji widziałem tylko prawą rękę naszego kierowcy i fragment nieba.

– Leżcie! – krzyknął ponownie. Po chwili zrozumiałem dlaczego.

Musieliśmy już zbliżyć się do granic posiadłości. Kątem oka dostrzegłem, że mężczyzna nacisnął pilot do bramy przymocowany do tapicerki.

Uniosłem nieco głowę. Brama otwierała się. Ale po chwili stanęła i jakby z niechęcią zaczęła się z powrotem zamykać.

Nasz kierowca jeszcze przyśpieszył. Sądziłem, że się zmieścimy, tak jakbyśmy mieli wpakować się w bardzo wąskie miejsce parkingowe. Lecz tak mi się tylko wydawało: kiedy wpadliśmy z impetem w bramę, usłyszałem, jak chrzęści blacha auta, jak odpadają boczne lusterka, a potem znowu krzyki i strzał. Mężczyzna schylił się pod kierownicą; nagle jakby rozpląszczył się na siedzeniu.

Koła buksowały, bmw było uwięzione w bramie. Setki koni mechanicznych walczyło z uciskiem metalu. Maszyna kontra maszyna, słyszałem, jak silnik wydaje z siebie furiackie odgłosy, wykorzystywaliśmy całą moc tego potwora.

Nagle brama stanęła. Ochroniarze usiłowali zbić szyby w samochodzie, ale musiały być opancerzone. Jak w zwolnionym filmie widziałem, jak nasz wybawiciel zmienia skrzynię na manualną i na pierwszym biegu wrywa auto poza granice posiadłości. Byliśmy wolni.

Mknęliśmy prawie sto pięćdziesiąt na godzinę po wąskich drogach. Mężczyzna w czerni nie powiedział już ani słowa. A potem nagle skręciliśmy w las i gdyby nie pasy, przynajmniej jedno z nas rozbiłoby sobie głowę. Jechaliśmy dalej, wciąż co najmniej sto na godzinę, po nierównych traktach leśnych. Samochodem telepało, niskie zawieszenie nie wytrzymywało wertepów. I kiedy już myślałem, że coś musi się złamać, stanęliśmy.

– Czekać – powiedział mężczyzna. Zdjął kominiarkę, widziałem czarną czuprynę i fragment spoconego czoła. Wydawał mi się całkiem młody, lecz nie odwracał się do nas jeszcze. W jego głosie słyszałem wschodni akcent.

– Ile? – zapytałem. – Na co czekać?

– Czekać – powtórzył spokojnie.

Spojrzałem na Maję i ścisnąłem jej dłoń. Miałem tyle pytań do mojej żony, ale ulga, że była już przy mnie, przysłaniała wątpliwości.

– Na zewnątrz – powiedział mężczyzna, wyszedł z auta i otworzył nam drzwi.

Staliśmy na niewielkiej polanie, na niskiej łące z powbijanymi w ziemię palikami. Kawałek dalej dostrzegłem drogę wyłaniającą się z brzeziny.

Spojrzałem na mężczyznę; w blasku nocy widziałem jego twarz, młodą i ładną. Mógł mieć szesnaście lat, a może i dwadzieścia sześć. Spotkałem go już wcześniej. Jeszcze przed akcją pod Kampinosem, na pewno, tylko gdzie?

Przeciwnie do aparycji, w działaniu chłopaka nie było nic dziecięcego. Błyskawicznym ruchem kopnął Maję w kolano od tyłu. Padła na ziemię z krzykiem.

Rzuciłem się na niego. Szybkim, niemal niedbałym ruchem zdzielił mnie w skroń pięścią.

– To nie o ciebie tu chodzi – powiedział, kiedy z trudem podnosiłem się z ziemi. – Jeśli będziesz przeszkadzał, umrzesz.

Gruchotało mi pod czaszką od jego uderzenia. Maja klęczała na podmokłej łące, jęcząc cicho. Czuję wstyd, że nie potrafię obronić swojej żony, ale byłem bez szans w starciu z tym chłopcem.

– Gdzie jest Jonasz Marzec? – zapytał ją. Wyjął z kieszeni telefon i trzymał go przy Mai. Zaświeciło się. Nagrywał moją żonę.

Milczała.

Ja jednak znałem odpowiedź na jego pytanie. Domyśliłem się jej po tym, jak płynąłem przez jezioro.

Zrozumiałem wtedy, co mogło się wydarzyć czternaście lat temu nad Ochrennem.

– Nie żyje – odpowiedziałem za Maję.

Błyskawicznie się na mnie obejrzał.

– Siedź ci... – zaczął, ale Maja mu przerwała.

– On mówi prawdę. Jonasz nie żyje – powiedziała. – Ten mężczyzna utopił go pod lodem.

Obserwowałem jasną twarz Mai, ale nie patrzyłem jej w oczy. Bałem się tego, co w nich ujrzę.

– Jaki mężczyzna? – zapytał chłopak.

– Stefan Parlej. Miejscowy. Jonasz zadzwonił do niego, żeby pomógł z łowieniem ryb. Znali się już wcześniej. Ja i Paweł nic o tym nie wiedzieliśmy, Jonasz zadzwonił do niego, kiedy drugiego dnia nic nie złowili. I Stefan Parlej powiedział, że przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł.

– Skąd to wiesz?

– Parlej mi wyjaśnił... później. Jonasz z Pawłem pili. I wywiązała się walka. – Rozplakała się. – A potem Jonasz go zamordował.

– Sępińskiego?

– Tak, Pawła. Był zazdrosny. I pijany. Potem ruszył na mnie z nożem, a wtedy do chaty wszedł Parlej. Nie rozumiał, co się dzieje, i usiłował mi pomóc. Wtedy... któregoś z nas pchnęło Jonasza albo on sam się nadział na ten nóż kuchenny.

Głowę miała pochyloną nisko. Było mi tak przykro. Tyle lat ukrywała tę tajemnicę. Tajemnicę, która sprawiła, że uciekła z kraju, pozbywając się na zawsze swej prawdziwej tożsamości.

– Dlaczego nie poszliście na policję?

– Baliśmy się ojca Jonasza. Parlej też go znał. Nie wiedział, które z nas go pchnęło. Przez moment myślałam, że mnie zabije. Ale potem wspólnie zdecydowaliśmy się pozbyć zwłok.

– Jak to zrobiliście? – kontynuował chłopak. Miałem wrażenie, że odpowiedź jest mu obojętna i liczy się tylko nagranie w telefonie.

Zamilkła.

– Przyjechał na skuterze, prawda? – zapytałem.

Zdałem sobie z tego sprawę, gdy dryfowałem po Ochrennem, uciekając z zagrody Parlejów. Zrozumiałem, jak w środku zimy można było pokonać jezioro od drugiej strony. A potem niepostrzeżenie wrócić. I co zakrywa ślady pojazdu. Śnieg.

Maja drgnęła, ale chyba nie potrafiła na mnie spojrzeć. Mężczyzna zrobił krok w moim kierunku.

– Nie! – krzyknęła Maja. – On ma rację. Jezioro było skute lodem. Nikt nie wiedział o obecności Parleja, zatarliśmy ślady w domku. A potem ranił mnie, tak jak ustaliliśmy. I już nie byłam w stanie wyjść, przez jakiś czas. A on wywiózł zwłoki, wyrąbał przerębel na środku jeziora i wrzucił Jonasza do wody. Przedtem obciążył go kamieniami. A ja miałam czekać. Razem z martwym Pawłem. – Głos jej się nagle załamał i umilkła. Po chwili powiedziała: – Na śnieg. Żeby nie było widać śladów skutera na jeziorze. A kiedy napadało, poszłam do wsi i powiedziałam, że Jonasz uciekł.

– To Parlej zrobił zdjęcie – wtrąciłem znowu. Chłopak już na mnie nie reagował, jakby się znudził.

– Tak – powiedziała Maja. – Nie wiedziałam o tym. Wykorzystał aparat Pawła. Kiedy posprzątaaliśmy wszystko i przygotowaliśmy na policję, i kiedy dźgnął mnie i zostawił, zrobiło się już rano. Byłam zmęczona i ranna, nie wszystko do mnie wtedy docierało. Nie miałam potem kontaktu

z Parlejem... Przez te wszystkie lata nie miałam pojęcia, że on ma zdjęcie Jonasza. Że będzie chciał je kiedyś wykorzystać.

Może wcale nie chciał. Parlej umarł, a jego dzieciaki otworzyły puszkę Pandory, pomyślałem w ciszy, która zapadła po tych słowach.

Ptaki, które nie zamierzały wylecieć na zimę, zaczęły swój koncert, nieświadome tego, co rozgrywało się tutaj, pośród przyziemnych. Odzyskałem żonę, ale teraz nie miałem pojęcia, co ten chłopak zamierza z nami zrobić. Widziałem go w akcji, byliśmy bez szans. A wraz z nami gdzieś tam klarowała się, a może kończyła przyszłość Igi i Stasia.

– Poczekajcie – powiedział.

Odszedł na bok. Usłyszałem, strzępki rozmowy: „tak”, „jezioro”, „skuter”, „Parlej” – chłopak relacjonował komuś opowieść Mai, choć przecież się nagrała. A potem całkiem wyraźnie usłyszałem, jak oświadczył: „nie taki był plan”, „widzieli mnie”. A potem: „nie, obydwójce, on też”, „zgodnie z umową”, „tak, ona pierwsza”.

Patrzyłem na Maję, która wciąż klęczała na mokrej ziemi, ale bałem się podejść.

Zakończył rozmowę. Wydawało mi się, że dostrzegłem rozdrażnienie na jego młodej twarzy.

– Odwróć się – powiedział do mnie.

– Dlaczego?

– Odwróć się – powtórzył. – Jeśli nie chcesz patrzeć na śmierć żony.

Zamiast się odwrócić, skoczyłem na niego. Był zaskoczony, ale tylko przez moment. Nie mając pojęcia, jak się bić, chciałem chwycić go za gardło – ale betonowa łapa od razu wysadziła mnie w powietrze i upadłem koło Mai. Nie straciłem jednak przytomności i zasłoniłem ją ciałem. Czułem zapach swojego potu, potu mojej żony, odór rany na nodze.

– Najpierw ona – powiedział chłopak, jakby relacjonował suchy fakt.

Nagle w ciemności mignęły reflektory. I zaraz zgasły. On chyba też to zauważył i przez chwilę, tak samo jak ja, wgapiał się w brzezinę. A potem usłyszeliśmy warkot. Wielki land rover jechał prosto na nas.

Uskoczyłem, ale chłopak nie zdążył. Był w trudniejszej sytuacji: samochód, ostro skręcając, uderzył go zderzakiem.

Usłyszałem jęk niczym u ranionego zwierzęcia. Land rover zatrzymał się koło nas; drzwi nie otwierały się. Ale nie miałem na co czekać. Dосkoczyłem do leżącego chłopaka. Zdążyłem kopnąć dłoń, w której trzymał pistolet, ale chora noga załamała się pode mną. Broń przeturlała się po trawie. Padłem na ziemię, ale byłem odrobinę bliżej. Teraz czołgaliśmy się obaj do pistoletu, który leżał kilka metrów dalej.

Sekundę, zanim to nastąpiło, wiedziałem, że będę pierwszy.

Zacisnąłem rękę na śliskiej rączce, odwróciłem się w jego stronę i nacisnąłem spust. Odrzuciło mnie do tyłu, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak piękna twarz chłopaka rozpada się na tysiąc kawałków. I wtedy znowu straciłem przytomność.

Pochylały się nade mną dwie kobiety. Dwie najlepsze kobiety mojego życia, Maja i Ania. Z telefonu ochroniarza Orskiego wysyłałem Ani naszą lokalizację. Przyjechała, żeby nas uratować, i to był koniec.

Maja przytulała mnie, a Ania sprawdzała mi tętno. Odchyliła też nogę i oglądała ją, niemal z klinicznym zainteresowaniem. Te chłodne umysły prawnicze. Usiadłem.

Zdjęcie. Trójkąt. Maja, Jonasz i Paweł Sępiński. Raport policyjny.

„Nie, obydwójce, on też”, a potem „tak, ona pierwsza” – powiedział przed chwilą chłopak, leżący teraz w błocie z głową jakby wsadzoną do maszynki do mięsa.

Mój zagubiony grzebień, którego bez powodzenia szukałem w kosmetyczce dzień po zniknięciu Mai.

Miałem gorączkę, ale wiedziałem, że się nie mylę. Spojrzałem na ziemię, nie było tam już broni. Podniosła ją Ania. Wyciągnąłem rękę, aby wyrwać jej pistolet. Była jednak szybsza, odsunęła się i krzyknęła.

– Mateusz, zwariowałeś?!

Odczołgałem się teraz do tyłu, wstałem i powiedziałem:

– Maja, odsuń się od niej.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Durniu, właśnie uratowałam ci życie – powiedziała Ania.

Wbijałem spojrzenie w moją współpracowniczkę.

– Nie mogłem zrozumieć, po co Adam Parlej miałyby przekazać mi zdjęcie – powiedziałem.

– Kto? – zapytała.

– Adam Parlej. Przecież go poznałaś.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Rozmawiałem z nim nad Ochrennem. I wiesz co?

Wpatrywała się we mnie bez słowa.

– On w ogóle nie wiedział, kim jestem. To zdjęcie nie było przeznaczone dla mnie.

– Co ty... – zaczęła, ale wszedłem jej w słowo.

– Parlejewie znaleźli fotografię Jonasza Marca. A potem Ada Parlej obejrzała film na Instagramie. Film, na którym widać było zaginioną Julię Iskrzyńską. Pewnie zresztą mnie okłamali i w rzeczach swojego ojca znaleźli więcej zdjęć. Na jednym z nich musiała być Maja. Dlatego rozpoznali ją na tym filmie.

Wydawało mi się, że Maja chce coś wtrącić, ale mówiłem dalej:

– Wiedzieli, kogo może zainteresować zdjęcie Jonasza. Dotarli do tej informacji już wcześniej. Choć nie chcieli mi tego powiedzieć.

Milczenie.

– Ta koperta była skierowana do ciebie – powiedziałem do Ani.

Maja zrobiła ruch w moją stronę, jakby chciała coś powiedzieć, ale ją zignorowałem.

– Postanowili dotrzeć do ciebie – kontynuowałem. – Nie do mnie. Wyszukali w internecie, że pracujesz teraz w Naturze. Pijany Adam Parlej nie zaadresował koperty ani nie dołączył listu. Może chciał z tobą porozmawiać? Jego siostra powiedziała, że spieprzył sprawę, a Eliza wspomniała, że bełkotał coś o przekazaniu wiadomości. Pewnie chciał pieniędzy za informację o Mai. A konkretnie za film.

– Mateusz, zupełnie tego nie rozumiem. Jaki film? – zapytała Maja.

– Z tobą – odparłem i zwróciłem się ponownie do Ani. – Eliza spłoszyła Parleja. Dlatego zdjęcie Marca trafiło do mnie. Wrzuciłem je do skanera, a kiedy zobaczyłaś fotografię, nie musiałaś oglądać żadnego filmu. Wiedziałaś, kim jest i gdzie jest Maja. Wiedziałaś to od zawsze.

Maja spoglądała to na mnie, to na Anię. Ja patrzyłem tylko na moją współniczkę. Ania zaśmiała się, ale nie powiedziała ani słowa.

– Ukradłaś mi z kosmetyczki grzebień. Nie wiem kiedy, ale nie miałaś czasu albo okazji podrzucić go z powrotem. Przekazałaś temu człowiekowi

mój włos, żeby mnie później wrobić – powiedziałem. – A telefon, który mi pożyczyłaś... dzięki temu ten chłopak namierzył mnie później u Grzeška, prawda?

– Matek, to bez sensu – powiedziała Maja. – O czym ty w ogóle mówisz? I dlaczego Ania miałaby to robić?

– Piskorska – kontynuowałem niewzruszony. – Nazwisko masz po mężu, tak łatwo zapomnieć, że kiedyś byłaś zamężna. I czytałem o tobie w raporcie policyjnym, miałem twoje panińskie nazwisko przed oczami.

Cisza.

– Sama mi kiedyś wyznałaś, że miałaś starszego brata. Co się z nim stało? – dodałem. – Byłaś już kiedyś nad Ochrennem. Zanim przyjechałaś tam ze mną. Spotkałaś Parlejów, czternaście lat temu.

Przecież znałem Anię tak dobrze. Ufałem. Ale teraz z jej twarzy nie mogłem wyczytać niczego.

– A twój brat... nazywał się Paweł Sępiński, tak?

Wciąż mogła odjechać i pewnie bym jej nie powstrzymał. Żyliśmy, choć zginęły już trzy osoby, łącznie z chłopakiem leżącym teraz z roztrzaskaną głową. Zabiłem go. Też musiał mieć jakąś historię za sobą. Matkę, ojca, rodzinę, dziewczynę. Marzenia. Każdy ma marzenia. Poza tym zginęła Natalia. I Grzesiek.

– Trwałaś przy mnie dlatego, że chciałaś być blisko Mai – powiedziałem, kiedy wciąż milczała. – Nie wiem, kiedy zorientowałaś się, kim jest. Wynajęłaś detektywa, by ją wytropił za granicą?

Ania milczała, obserwując mnie uważnie.

– Byłaś blisko, czekałaś, aż Maja kiedyś się zdradzi – powiedziałem. – Obserwowałaś ją, dzięki współpracy i przyjaźni ze mną. Ale kiedy zobaczyłaś tę fotografię, którą przesłałem mailem... kiedy wiedziałaś, że i ja ją widziałem, zrozumiałaś, że nie masz już dużo czasu. I wynajęłaś jego, prawda? – Wskazałem na martwego chłopaka. – Żeby odnalazł i przycisnął Maję, co się stało nad Ochrennem. A potem ją zamordował. To z tobą przed chwilą rozmawiał. Nie chciałaś, by mnie zabijał. Chciałaś, by zginęła Maja. Właśnie dlatego powiedział: „nie, obydwójce, on też”. Bo ty kazałaś zabić

tylko kobietę... dlaczego?! – krzyknąłem. – Przecież słyszałaś, że ona nie zabiła Pawła, zrobił to Jonasz.

Ania milczała. Maja spoglądała intensywnie to na mnie, to na nią.

– Kiedy dostałem to zdjęcie, nie mając o niczym pojęcia, pokazałem je Mai. A kiedy Maja zobaczyła Jonasa na śniegu, spanikowała. Nie wiem tylko, dlaczego uciekłaś – powiedziałem do żony. – Mogłaś mi przecież powiedzieć. I dlaczego wciągnęłaś w to Natalię? Skąd ten kamuflaż?

Ale kiedy to powiedziałem, nagle zrozumiałem.

Grzesiek i brak intercyzy. Grzesiek nie zamordował Natalii. Zamordować ją musiał ten chłopak, którego z kolei zabiłem ja... byłem już blisko, ale wtedy Ania zaśmiała się.

– Skończyłeś już, Mateusz? Wszystko gładko opisałeś. Chłopak zamordowany przez kolegę brutalnie i zmieszana z błotem piękność ze złamanym życiem, cierpiąca za niewinność.

Spojrzałem na żonę.

– Nie tak to jednak wszystko wyglądało, prawda, Julia? – zapytała Ania.

– Powiedziałam prawdę – odparła Maja.

– A o tym, że oszukiwaliście z moim bratem Jonaszem? Tego nie usłyszałam. Że manipulowałaś Pawłem, zwodziłaś go? Że to właśnie było przyczyną ich kłótni? Jonasz był tępy, ale zorientował się w końcu, że coś się dzieje, i zorganizował wyjazd, żeby was obserwować. Upewnić się w swoich podejrzeniach. Paweł zrobił się nerwowy, kiedy pojawiłaś się w jego życiu. Myślałam wtedy, że chodziło o przyjaciela. A to nie o niego był zazdrosny. Szybko zawróciłaś mu w głowie. Paweł podkradał Jonaszowi rzeczy i przekazywał je tobie. Kiedyś mama znalazła drogi zegarek w jego szufladzie. Kiedy się go pozbył, nie drażyła. Miałaś nad Pawłem całkowitą władzę. Piękna, niewinna Julia. Prawie przekonałaś do tego policję. A potem zwiłałaś, ale wróciłaś. I odnalazłam cię.

Patrzyłem na Maję przez dłuższą chwilę. Chodząca niewinność, przecież sam ją tak zdefiniowałem: niewinność, zmysłowość i czułość w jednym. Aż prosiła się o opiekę, o miłość, jej oczy spoglądały, jakbym był jedynym mężczyzną na świecie.

Ania musiała się mylić, przecież nikogo nie znałem tak jak swojej żony, pomyślałem, zanim nie zdałem sobie sprawy, że nawet nie wiedziałem, jak ma na imię.

Do niedzieli nie wiedziałem o istnieniu Julii Iskrzyńskiej.

– Nawet jeśli Paweł zginął przypadkiem... – kontynuowała Ania – ...to tylko twoje świadectwo. A jeśli mówisz prawdę, że zamordował go Jonasz, to i tak jesteś winna jego śmierci, bo wywołałaś ich konflikt. Razem z Pawłem umarła część mojej mamy, a potem ona sama. I przez lata naprawdę myślałam, że Jonasz zwiął.

Cisza.

– Kłamstwa – wyszeptała słabo Maja, ale nie patrzyła w moją stronę, kiedy usiłowałem wyczytać w jej oczach odpowiedź.

Kręciło mi się w głowie z bólu i wyczerpania. Spojrzałem na Anię.

– Jesteś odpowiedzialna za śmierć Natalii – powiedziałem.

– Nie rozumiem, co się wtedy wydarzyło.

– Ale on ją zamordował, prawda? – Wskazałem na zwłoki chłopaka.

– Nie chciałam tego.

– I poleciałaś zabić moją żonę! – wybuchłem.

– Zasłużyła – odparła zimno Ania.

– Nie byłaś tam z nimi w domku nad Ochrennem – powiedziałem.

Moja współniczka nie skomentowała. Obydwoje wiedzieliśmy, jak rzadko się myliła.

Zastanawiałem się, gdzie jesteśmy. Z pewnością jeszcze w Mazowieckiem; jak daleko od najbliższych zabudowań? Czy byłbym w stanie przejść kilka kilometrów? Wszystko jednak zależało od mojej współniczki. Mogła wsiąść do samochodu i odjechać. Zostawić nas tutaj. Zamiast tego trzymała w ręku broń, a w jej oczach widziałem wahanie.

– Matek, słabo mi – powiedziała moja żona. – Muszę usiąść.

– Nie ruszaj się, wytrzymasz – ostrzegła Ania.

– Jesteś odpowiedzialna za śmierć Natalii – powtórzyłem. – I Grzeška, jej męża. Ten chłopak go zabił, prawda?

– Nic o tym nie wiem.

Zawahałem się. Nie musiałem jednak dzielić się ze światem wiedzą, kim stał się pod koniec życia Grzegorz Mroczkiewicz. Zwróciłem się do Mai:

– Sąsiadka na Inwalidów powiedziała, że widziała ciebie, czyli prawdopodobnie Natalię, zamykającą drzwi – powiedziałem. – A jednak zastałem je otwarte. Dlaczego? Powiedz, co się stało. Przecież to nie twoja wina.

Nie odzywała się. Ania patrzyła na nas z napięciem.

– Były otwarte, bo Natalia zabrała ci klucz i zamknęła cię w pracowni, prawda? – kontynuowałem. – Otworzyłaś od środka, ale już nie mogłaś zamknąć... Maja, co się wtedy wydarzyło? Tego dnia, kiedy zobaczyłaś zdjęcie? Co Natalia ci zrobiła? – Przełknąłem ślinę. – Widziałem zniszczenia na twoim obrazie – dokończyłem.

– Zaatakowała mnie – powiedziała Maja. – Kiedy pokazałeś mi zdjęcie Jonasza, spanikowałam i zadzwoniłam do niej. Wiedziała o mnie, znała mnie jako Julię. Umówiliśmy się w pracowni. Chciałam ją poprosić, żeby zajęła się wami, kiedy mnie nie będzie. Żebyś nie zrobił niczego głupiego. Za plecami uderzyła mnie czymś ciężkim. A kiedy się ocknęłam, nie miałam przy sobie dokumentów ani kluczyków do samochodu. Tylko trochę gotówki. Uciekłam.

Przerwane płótno. Drzwi do pracowni. Makijaż, włosy, przebranie i dokumenty. Brakowało tylko jednego elementu układanki.

– Wiem o Rusie – powiedziałem.

Maja spojrzała na mnie, ale nie wiedziałem, czy jeszcze cokolwiek pojmuję. A potem zniemacka dostrzegłem na jej twarzy ulgę. Tak długo musiała przede mną wszystko ukrywać. Ale zanim odpowiedziała, dodałem:

– Uciekłaś bez wahania. Nie zabrałaś nas ze sobą. Zamierzałaś po nas wrócić?

Serce waliło mi w piersi w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

Skinęła głową.

– Czy on ci coś zostawił? Tam, gdzie umarł? – zapytałem.

– Tak. Mam konto w Szwajcarii – powiedziała. – Nie wiem, ile tam jest, podobno sporo. Kiedy pokazałeś mi zdjęcie... zdecydowałam, że wyjadę i stamtąd się z tobą skontaktuję. Ściągnę was. Bałam się Bogusława Marca, ty nie wiesz, co to jest za człowiek. Nawet Jonasz się go obawiał. Nie wiem, dlaczego Natalia tak ze mną postąpiła. Ale chyba dlatego zginęła.

Ja jednak wiedziałem. Obawiała się Grześka, bo sprzeciwiała się jego planom sprzedaży Solvexu, i kiedy pojawiła się szansa ucieczki, skorzystała z niej.

– Myślę, że w Szwajcarii zamierzała podać się za ciebie. Pobrać pieniądze z twojego konta – powiedziałem. – Zabrała twoje dokumenty, paszport, dowód, no i samochód. I wtedy on ją dopadł, prawda, Ania? – Wskazałem na martwego chłopaka, starając się nie patrzeć na jego twarz. – Kazałeś mu torturować Maję Chabrowską, zamordował Mroczkiewiczów. Czy nie wystarczy ci już ofiar?

Usłyszeliśmy dźwięk silnika, daleko, ale coraz bliżej. Reflektory błyskały w naszą stronę. Spoglądaliśmy teraz wszyscy w kierunku drogi, cała nasza trójka w sieci kłamstw i wzburzonych, sprzecznych emocji.

Maja okłamała mnie, wielokrotnie. Ja okłamałem ją, zdradzając z Natalią i pośrednio przyczyniając do jej śmierci. W wyniku naszego romansu Grzesiek stracił dla żony serce i Natalia zaczęła się go bać. Zobaczyła swoją szansę na ucieczkę, kiedy zadzwoniła do niej Maja. Postanowiła pożyczyć sobie tożsamość mojej żony i dlatego zginęła. Wspólniczka zaś okłamywała mnie przez całą naszą przyjaźń i współpracę. A teraz czekaliśmy, aż policja znajdzie zwłoki chłopaka, zaginioną kobietę i ściganego za morderstwo mężczyznę. I tylko Ania, która za tym wszystkim stała, pozostała w świetle prawa niewinna, dopóki nie udowodni się, że jest inaczej. Zamknąłem oczy.

Samochód zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od nas.

– Jak oni nas znaleźli?... – zapytała Ania.

Zaśmiałem się.

– Mieli cię na podsłuchu. Zaczęli namierzać twój telefon i w końcu dzisiaj coś wypłynęło. Przecież jesteś bliską mi osobą, prawda?

– Śmierć Pawła zniszczyła naszą rodzinę – powiedziała Ania. – Ojciec odszedł, nie mógł znieść depresji mamy. To wykończyło ją jeszcze szybciej. Wszystko przez ciebie, Julia.

Maja nic nie mówiła, ciemność zasłaniała jej twarz.

Nie wiedziałem, czemu jeszcze nie ma policji. Nie mieliśmy szans na ucieczkę. Chyba już jej nie chciałem. Moje życie połamało się, byłem chory i bardzo zmęczony.

W końcu kogoś zobaczyliśmy. Szedł ku nam gigantyczny policjant, który nękał mnie od początku tej historii.

Gdzieś w podwarszawskich lasach urządziliśmy zebranie ze zwłokami pośrodku. Zamknąłem oczy. Listek wydawał się rozbawiony.

– Wszyscy odnaleźli się za jednym zamachem – powiedział. – A wystarczyło być cierpliwym.

Ropusze usta śmiały się, ale oczy pozostały chłodne.

– I gwóźdź programu: pani Julia Iskrzyńska – powiedział do Mai. – Świetnie się pani ukryła, ale w końcu się spotykamy. Na szczęście! Prawda zawsze wychodzi na jaw, sama pani widzi...

– Listek – powiedziałem. – Nie rozumie pan, co się tutaj dzieje. Ten chłopak...

Przerwał mi ruchem dłoni.

– Rozumiem lepiej od pana.

– Ale... ona... – kontynuowałem, niezdecydowany, czy demaskować Anię.

– Tutaj kończy się ta historia – uciął. – Jonasz Marzec nie żyje, prawda, pani Julio?

– Ja nie chciałam... nie zabiłam go – odparła.

– To bez znaczenia – powiedział Listek, a coś w wyrazie jego twarzy bardzo mi się nie spodobało.

Spojrzałem na radiowóz.

– Dlaczego jest pan sam? – zapytałem.

Zachichotał znowu, trochę nerwowo.

– Dlaczego jest pan sam? – powtórzyłem. – Ania, on...

Listek szybkim ruchem wyrwał broń z rąk Ani. Pistolet martwego chłopaka wyglądał w dłoni podkomisarza jak zabawka.

Moja współpracowniczka rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– To się nawet dobrze składa – mruknął pod nosem.

Zrozumiałem, że chodzi mu o broń. Już to inscenizował w myślach. Koledzy nie będą tego podważać. Tak jak i on byli suto wynagradzani przez Bogusława Marca.

Skierował pistolet w stronę Ani, potem Mai. W oczach żony dostrzegłem zmęczenie i rezygnację.

- Musi umrzeć – powiedział podkomisarz. – Takie było polecenie.
 - Listek, błagam, zabij mnie! – krzyknąłem.
- Pokręcił głową. I nacisnął spust.

Długo się później zastanawiałem, dlaczego to zrobiła. Może i ona była umęczona? Życiem w imię zmarłego brata? Podporządkowaniem wszystkiego zemście i odkryciu tajemnicy? A może czuła się też winna śmierci Natalii i Grzeška? Ale dlaczego ocaliła właśnie Maję, tę, której nienawidziła najbardziej?

Chciałem jednak myśleć, że to dzięki Stasiowi i Idze, dzięki tym chwilom, które spędziliśmy razem. Kiedy zajmowała się Igą, kiedy bawiła się ze Stasiem nad Ochrennem. Może to ich właśnie Ania miała przed oczami, kiedy przyjęła na siebie kulę przeznaczoną dla Mai.

Padły obie na ziemię. Nie wiedziałem, co się dzieje, i nie wiedział też Listek. Chwila jego zaskoczenia wystarczyła mi, żebym na niego skoczył. Ja, pierdoła z rozharataną nogą. Trwało to krótko. Przygniótł mnie zaraz swoim wielkim cielskiem i zaczął dusić. Widziałem wściekłość w jego oczach, byłem dla niego jak mucha i tyle miałem szans. Zacząłem odpływać, wędrowałem gdzieś ku górze i jeszcze zdążyłem zobaczyć nad sobą twarz anioła.

A potem usłyszałem huk, poczułem ciepło i zimno naraz i pochłonęła mnie ciemność.

Śniłem o utracie nogi, dzieciach i wszystkim innym. A potem obudziła mnie pielęgniarka. Dostrzegłem czyste, ogromne okna, niemal na całą wysokość ściany, i równiutki trawnik za nimi. Piękne mamy szpitale, pomyślałem, a dopiero potem zdziwiłem się, że żyję.

I ta kobieta poprawiająca mi pościel: schludna, uśmiechnięta, profesjonalna. Nie rozumiałem, co do mnie mówi. Poprosiłem, by powtórzyła. Zaśmiała się i spytała po angielsku, jak się czuję.

– Gdzie jestem? – zapytałem, przechodząc na ten język. Śniłem niezwykle realistycznie.

– W Bernie.

– W Szwajcarii?

– Tak – odparła z uśmiechem. – Spał pan trzy dni. Lekarzom udało się uratować pana nogę, nie zostanie panu nic poza blizną. A mężczyzna może mieć blizny, prawda? – Zaśmiała się ponownie.

– Gdzie jest moja żona?

– Czuwała przy panu prawie cały czas. Czy chciałby pan zobaczyć dzieci?

– Dzieci?

– Oczywiście. Wspaniałe dzieci, jeśli mogę tak powiedzieć. Szczególnie dziewczynka, taka rezolutna, mam w domu podobną.

– Na pewno mnie pani z kimś nie myli? – zapytałem, a ona spojrzała na mnie z niepokojem.

– Chyba nie ma pan temperatury, ale zaraz sprawdzimy. – Przytknęła mi termometr do czoła. – W porządku, ale jest pan zdezorientowany, tak?

– Chcę zobaczyć moją żonę – naciskałem.

– Jeśli jest, zaraz ją tutaj poproszę. Najpierw lekarz.

Młodzik, który mnie zbadał, był profesjonalny, właściwie powtórzył słowa pielęgniarki. Mówił o bliznach i o szynach, niecierpliwiłem się jednak. Wiedziałem już, że nie śnię, ale wciąż nie miałem pewności, czy mnie nie nabierają.

– Chcę porozmawiać z żoną! – krzyknąłem.

Dostrzegłem w ich oczach zdziwienie.

Jeśli rzeczywiście to było Berno, to chyba nie mieli jeszcze do czynienia z tak niezdyscyplinowanym pacjentem. Lekarz skinął pielęgniarce i rzucił kilka słów, teraz już rozpoznałem niemiecki. Znowu zacząłem coś podejrzewać, próbowałem sobie rozpaczliwie przypomnieć, po jakiemu rozmawia się w tym kantonie Szwajcarii. Czy ci ludzie są tymi, za których się podają, czy nie padłem ofiarą spisku.

Moja rozpacz nie trwała jednak długo. Kiedy usłyszałem tętent, już wiedziałem, kto może tak biec.

Staś niemal wpadł na moją nogę; pielęgniarka zrobiła nerwowy gest, jakby chciała go zabrać, ale podniosłem go do góry i przytuliłem. Albo zrobił się cięższy, albo bardzo osłabłem przez te dni. Ale nie miałem czasu o tym myśleć, bo zaraz potem zobaczyłem Maję i Igę. Po chwili cała trójka była na moim łóżku.

Nie rozumiałem, jak Maja tego dokonała. Później opowiedziała mi, jak podniosła z ziemi pistolet i strzeliła do Listka, stojąc nad nami, kiedy mnie dusił. Bo to ją właśnie widziałem, zanim odpłynąłem.

Jak pozbierała mnie, nie wiedząc, czy żyję, i pozostawiwszy trzy trupy, pojechała samochodem Ani po dzieci, do Swetrowej. Jak Swetrowa kłóciła się z nią w środku nocy, a w końcu Iga ze Stasiem pod pachą sama wskoczyła do auta. Jak przez całą drogę do Szwajcarii bała się, że umrę. Jak zajęli się mną w szpitalu.

I tylko jednego nie dokonała. Febika pod naszą nieobecność przygarnęła sąsiadka i Maja nie ryzykowała pójścia po psa. Swetrowa stanowiła wystarczające ryzyko, Maja potrzebowała tych kilkunastu godzin na ucieczkę z kraju. I gdyby nie to, że czułem się teraz największym

szczęściarzem na świecie, to rozplakałbym się z żalu, że już więcej nie zobaczę swojego psa.

Maja nie powiedziała mi wtedy, że nie mieliśmy wiele czasu. Polska policja mogła nas w każdej chwili namierzyć i zwrócić się do Szwajcarii, by nas wydała. Zamieszanie z kontem otwartym dla Mai przez jej ojca miało trwać jeszcze kilka dni. Moją żonę wspomagał jeden z bankowców Macieja Rusa, ten, który parę tygodni wcześniej przekazał jej informację o pozostawionych pieniądzach.

Dlaczego Rus nie poinformował świata, że Maja była jego córką? Zabezpieczył ją, a nie powiadomił prawników o ich pokrewieństwie. Mógł nawet spisać testament na jej korzyść. A może to Maja odmówiła? Ukrywała swoją tożsamość i tak miało pozostać? Bezpieczeństwo rodziny było dla niej warte więcej od pieniędzy?

Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Nie wiedziałem, czy zna je Maja. I może nie miało to wielkiego znaczenia.

Za kwotę, którą Rus pozostawił córce, mogliśmy żyć bez końca, nie pracując. Uświadomiłem sobie, że teraz to może być już konieczność. Mogliśmy wrócić do Polski, spróbować wszystko wyjaśnić i potencjalnie po latach procesów udałooby się nam oczyścić z zarzutów. Lecz macki Marca dopadłyby Maję znacznie wcześniej. A może Łukasz Orski nie uwierzyłby, że jego majątek i jego marzenie o farmie wiatrowej są bezpieczne. A wtedy w niebezpieczeństwie znaleźlibyśmy się i my. Nigdy więcej nie chciałem do tego dopuścić.

Skazani na wygnanie, byliśmy jednak razem. Wiedziałem, że dzieciaki nie będą miały łatwego życia, ale za to obydwójce rodziców i spokój, jeśli tylko uda nam się im to zapewnić. Bo prawda była taka, że to dzieciaki stały się w tym momencie sensem naszego życia – uświadomiłem to sobie w ciągu kilku chwil, kiedy w szpitalnym pokoju obejmowaliśmy się i całowaliśmy.

Nie rozmawialiśmy też o Julii Iskrzyńskiej i tym, co zrobiła czternaście lat wcześniej. Wiedziałem, że to będzie moja prywatna walka. Maja nie powiedziała na ten temat słowa, ale ja w głębi przyjąłem wersję Ani za

prawdziwą i choć wiedziałem, że lata miną, zanim się z nią pogodzę, nie mam innego wyjścia.

Bo nie byłem sam. Był Staś i była Iga, i potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Mieliśmy pieniądze od ojca Mai, a Łukasz Orski wybuduje teraz swoją przełomową morską farmę wiatrową. W pewnym sensie zamykało to również działalność i misję W Imię Natury, które przestało istnieć wraz ze śmiercią drugiej, a ucieczką pierwszej co do ważności osoby w organizacji. Maja nie będzie domagać się swoich miliardów, poprzestaniemy na skromnym życiu i choć kilkanaście dni wcześniej myślałem, że mam wszystko, to wiedziałem, jak łatwo można to stracić.

Iga była w pokoju już pięć minut i nie wyjęła telefonu. Maja musiała go jej zabrać, żeby nas nie namierzono. Pomyślałem, że córka znienawidzi nas za wyrwanie ze swojego życia.

Na twarzy Igi malowała się jednak pogoda.

Od autora

Przy okazji wydania trzeciej powieści chciałbym podziękować tym wszystkim, dzięki którym moje książki mogły się ukazać i zaistnieć w czytelnicznym świecie. Dziękuję zatem całej ekipie Wydawnictwa Czarne. Dziękuję profesjonalnemu działowi promocji – Agnieszce, Zosi, Magdzie, Marcjannie i Dorocie, a także skutecznemu działowi sprzedaży w osobach Piotra, Honoraty, Agnieszki, Łukasza, Beaty i Tomka – to dzięki nim mogłem dotrzeć do czytelników.

Osobne podziękowanie – absolutnie za wszystko – składam redaktorom: Małgosi, Tomkowi, Wojtkowi i Magdzie. Dziękuję zespołowi gorlickiemu. Wiem, że Mateusz, Ewa, Dominik i Edyta wykonują pracę, bez której wydawnictwo nie mogłoby funkcjonować. Dziękuję także wszystkim pozostałym pracownikom Czarnego – jeśli nie mieli okazji mi pomóc, na pewno kibicują.

Magdzie dziękuję za świetne okładki, Maciejowi za wersję audio moich książek, a zespołowi d2d.pl za korektę, projekt typograficzny i skład.

Dziękuję mojemu Tacie, Kasi, Agnieszce, Stanisławowi, Anecie, Damianowi, Pawłowi, Valerii i Skwiotowi, którzy wspomogli mnie w tematach medycznych, notarialnych, łemkowskich, ukraińskich, a nawet budowlanych.

Jeśli przypadkiem kogoś pominąłem – przepraszam.

Chcę również zaznaczyć, że zdarzenia, a także postaci i instytucje występujące w tej powieści są fikcyjne, a podobieństwo do prawdziwych jest przypadkowe i niezamierzone. Choć postawa bohaterów *W Imię Natury* w zakresie ochrony powietrza mogłaby być na świecie powszechniejszym zjawiskiem.